

Stefan Kotarski
1963

Urywki z pamiętników o powstaniu z r. 1863

Zebrała Dr. Zofia Szybalska



We Lwowie. :: Nakładem Towarzystwa Nauczycieli szkół
wyższych. :: :: :: :: :: :: :: :: :: 1913.



URYWKI Z PAMIĘTNIKÓW
O POWSTANIU Z ROKU 1863

GAWĘDY ~~OB~~WOZOWE DLA HARCERZY POLSKICH

Z 9 RYCINAMI

ZEBRAŁA

Dr. ZOFIA SZYBALSKA



WE LWOWIE ~~1888~~ NAKŁADEM TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI
SZKÓL WYŻSZYCH ~~1888~~ 1913

K-58/80

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

CZCZĄC PAMIĘĆ BOHATERÓW WALKI O NIEPO-
DLEGŁOŚĆ Z ROKU 1863, KSIĄŻKĘ TĘ POŚWIĘCA
MŁODZIEŻY POLSKIEJ TOWARZYSTWO NAUCZY-
CIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH. □□□□□□□□□□□□□□□□

Hh



65757

✓

DO CZYTELNIKÓW.

Oddając Wam w ręce ten krótki zbiorak, nie chciałabym Was, Czytelnicy, temsamem powstrzymać od pełnego czerpania z obszernych dzieł i pamiętników, ale raczej tym wyborem zachęcić i wskazać drogi pouczającej lektury. Znaczna liczba pamiętników r. 63 jest w całości przystępną młodzieży i te gorąco Wambym polecała. Takie dzieła, jak *Strusia*: „Szkice z powstania“ i „Ludzie i wypadki 63 r.“; *Brykczyńskiego*: „Moje wspomnienia“; *Frycza*: „Wspomnienia żołnierza“; *Grzegorzewskiego*: „Wspomnienia osobiste“; *Jeziorskiego*: „Pamiętniki“, będą miłą książką, niż niejedna powieść pełna fantastycznych przygód. Nie całość historyczną w chronologicznym następstwie wypadków chciałam podać Czytelnikom, ale wprowadzić w krainę szlachetnych porywów, dowodów męstwa, poświęcenia. Niechaj więc nie wprowadza w błąd następstwo rozdziałów takich, jak n. p.: Traugutt, Narbutt, gdzie działacze ostatnich chwil powstania stoją przed kierownikami w zaraniu — nie o następstwo w czasie tu chodziło, lecz o uwydatnienie wielkości czynów. Niechaj te czasy same mówią za siebie, o ile można, bezpośrednio przez naocznych świadków i współdziałaczy!

Dla zorientowania się w chronologicznym następstwie wydarzeń walki z roku 1863-4 posłuży następujący

Kalendarzyk powstania styczniowego.

1860 11 czerwca. Śmierć generałowej Sowińskiej. Pierwsze manifestacje narodowe w Warszawie.

— 29 listopada. Nabożeństwo w kościele Karmelitów w Warszawie. Poraz pierwszy po r. 31 odśpiewano hymn Felińskiego.

1861 25 lutego. W Warszawie wielka manifestacja uliczna. W dwa dni, w rocznicę bitwy pod Grochowem, strzały do tłumu, 5 rabytych na Krakowskim Przedmieściu.

— 8 kwietnia. Rzeź bezbronnych ludzi w Warszawie.

— 10 października. Manifestacja na pograniczu Horodła nadbużnego i odnowienie unii.

— 15 października. Napad żołdactwa na ludność modlącą się w kościołach Warszawy.

1862 27 maja. Pierwsze posiedzenie Rady miejskiej w Warszawie.

— 1 września. Odezwa Centralnego Komitetu Narodowego, ogłaszającego się Rządem Narodowym.

— 1 października. Otwarcie Rady Stanu i Szkoły Głównej.

1863. Styczeń 15. Zarządzenie „branki“ tj. przymusowego poboru do wojska.

— 22. Wydanie odezwy Komitetu Centralnego jako tymczasowego Rządu Narodowego, w którego skład wchodzi Zygmunt Padlewski, Stefan Bobrowski, Agaton Giller, Józef Janowski i ks. Mikaszewski, zaczynającej się od słów: „Nikczemny rząd najezdniczy“, a wzywającej do powstania. Inne odezwy ogłaszają uwłaszczenie włościan.

— 24. Leon Frankowski zdobywa pod Kurowem pocztę rosyjską z 48.000 rubli.

— Luty 8. Bitwa pod Węgrowem pomiędzy oddziałami Sokoła a Moskalami.

— 19. Klęska Mierosławskiego pod Krzywosądem.

— 24. Klęska Langiewicza pod Małogoszczą.

— Marzec 3. Zwycięstwo Langiewicza pod Pieskową

Skałą.

— 9. Zwycięstwo Padlewskiego nad gen. Tollem pod Myszyńcem.

— 10. Langiewicz pod Goszczą ogłasza się dyktatorem.

— 19. Zwycięstwo Langiewicza pod Grochowiskami.

— 20. Langiewicz z kilku wyższymi oficerami przekracza granicę austriacką i zostaje aresztowany.

— 27. Rząd Narodowy obejmuje z powrotem władzę w kraju.

Kwiecień 22. Zwycięstwo Czachowskiego pod Stefanowem.

— 24. Zgon Mieczysława Romanowskiego w bitwie pod Józefowem.

— 29. Zwycięstwo Taczanowskiego i Fauchera pod Pызdrami.

— Maj 1 i 6. Zwycięstwo Jeziorańskiego pod Kobylanką.

— 8. Wybuch ogólnego powstania na Rusi.

— 13. Zgon Ludwika Narbutta pod Dubiczami.

— 15. Rozstrzelanie Padlewskiego w Płocku.

— 16. Chłópstwo ruskie morduje w Sołowijówce powstańców polskich odczytujących im „złotą hramotę“.

— Czerwiec 27. Zygmunt Sierakowski, wódz Żmudzi, powieszony w Wilnie z rozkazu Murawiewa.

— Lipiec 25. Romuald Traugutt mianowany generałem i naczelnym organizatorem powstania.

— Sierpień 8. Zwycięstwo Kruka-Heidenreicha pod Żyżynem.

— 29. Klęska Taczanowskiego pod Kruszyną.

Wrzesień 3. Zwycięstwo Lelewela-Borelowskiego pod Panasówką.

— 6. Klęska i śmierć Lelewela pod Batorzem.

— 20. Ks. Czartoryski wysyła do hr. Russela memoryał z żądaniem, aby państwa uznały Polskę za stronę wojującą.

Październik 10. Traugutt obejmuje prezesurę Rządu Narodowego.

— 20. Zwycięstwo Czachowskiego pod Osiekiem.

Listopad 6. Śmierć Czachowskiego pod Wierzchowiskami.

— 25. Zdobycie Opatowa przez Bosaka.

Grudzień 19. Rozstrzelanie Chmielińskiego w Radomiu.

— 25. Zwycięstwo Kruka pod Kockiem.

— 26. Ks. Mackiewicz ginie w Kownie na szubienicy.

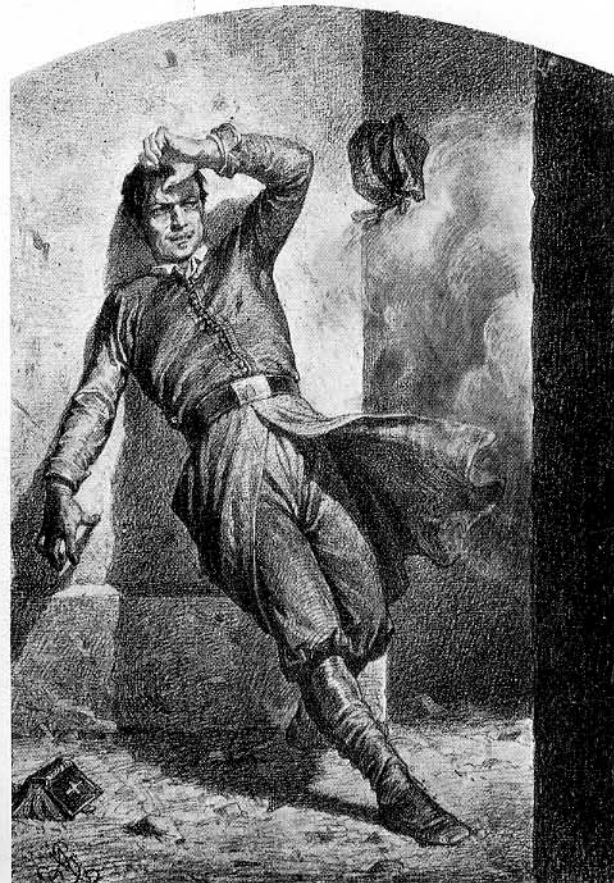
1864 17 stycznia. Zwycięstwo Rębajły pod Ilżą.

24 lutego. Ogłoszenie stanu oblężenia w Galicyi.

— 18 marca. Odezwa Rządu Narodowego do ludów Europy.

VIII

- 10 kwietnia. Aresztowanie Traugutta, prezesa Rządu.
 - 5 maja. Bosak opuszcza Królestwo.
 - 5 sierpnia. Na stokach cytadeli warszawskiej stracenie 5 członków Rządu Narodowego.
 - 27 września. Ostatnia odezwa Rządu Narodowego.
- 1865 23 maja. Ks. Stanisław Brzóska, ostatni zbrojny powstaniec, ginie w Sokołowie na szubienicy.
-
-



ARTUR GROTTGER: PIERWSZA OFIARA
(Z CYKLU WARSZAWA)

OSTATNIA STROFA.

(1864)

*Na ziemi mogił pogasty ogień,
Słysząc w ciemnościach syk węży...
Cięży nam ręka straszna, o cięży,
Lecz nas nie złamie, nie pognie!
Nie płacze naród na trupie syna,
Choć z niego proch i glina.
Gdy przyjdzie pora,
Jutro jak wczora
Proch — na proch weźmiem, glinę — na olów...
Pożary wstaną z popiołów!*

Korneli Ujejski.

CZEŚĆ PIERWSZA.

CHWILE PRZED POWSTANIEM. PRZYGOTOWANIE.

1. Nastrój powstańczy w latach 1858—1861.

Na horyzoncie Europy zaległy chmury, z których wybuchła owa wojna włoska, mająca takie współczucie i taki odgłos w sercach Polaków. Naród niewoli patrzył z tajemną zazdrością na szczęśliwą, choć krwawą walkę swoich współbraci w dalekiej Italii. Legiony nasze, jakie się tam utworzyły, budziły żywe zajęcie i wiele nadziei. Gazety były rozchwytywane po cukierniach i z gorączkowym natcheniem czytano o oznakach choć biernej, lecz nieustającej opozycji Wenecyan przeciw niewoli austriackiej. Zaczęto i u nas, choć z cicha i lękliwie, przebąkiwać, iż czasby było i nam nareszcie pokazać światu, że choć długa niewola przygniotła nas, ale nie zabiła jeszcze.

Pierwsze hasło, jak zwykle, wyszło z grona młodzieży. Poczęto się gromadzić w tajemne koła, nader ostrożnie wybierając towarzyszy swoich, aby się jaki zdrajca nie wcisnął. Celem tych stowarzyszeń było rozbudzać w narodzie przez dostarczanie zabronionych książek i broszur ducha niepodległości i pragnienia oswobodzenia się z pod jarzma nieprzyjaciół... Powoli zaczęło się rozwijać to tajemne życie konspiracyjne, które tak szybko takie przyjęło rozmiary, że kraj prawie cały ogarnęło.

Któż nie przypomni sobie z tych, co byli członkami naszego towarzystwa obchodu 1859 rocznicy rewolucji listopadowej, kiedy to w dzień ten zgromadzone całe towarzystwo w dość obszernym pokoju na 4 piętrze u Zamojskiego obchodziło patriotycznymi śpiewami rocznicę listopadową? Piosnki te pobudzające i tak już rozgorączkowane dusze nasze, przeniosły mnie na skrzydłach fantazyi w owe oczekiwane dni swobody i szczęścia. Stoją mi jeszcze przed oczami owe wieczorki „czwartaków“ (młodzieży, co na 4 piętrze u Zamojskiego mieszkała), na których śpiewał rozogniony Władzio Wolski z kilku kolegami, deklamował początkujący poeta F. Komar, grał swoją fantazyę Dulken, a wszystko to w pokoju natłoczonym słuchaczami i ciemnym od kłębow dymu tytoniowego. Najbogatsze jednak magnackie reuniony pozazdrościłyby nam wesołości i zabawy. Po każdym takim wieczorku powracałem do siebie upojony wrażeniami i muzyką, odurzony marzeniami, budujący nie zamki, lecz szczęście kraju całego na skrzydłach młodzieńczej wyobraźni.

Młodzież, jakby za rozkazem jakim, zaczęła się przestrajać w narodowe czamarki i konfederatki różnokolorowe. Codziennie tłumy ludu zbierały się przed statuami Matki Boskiej, śpiewając „Boże coś Polskę“ i „Z dymem pożarów“. W kościołach z ambon rozlegał się wymowny głos patriotycznych kapłanów, zachęcający do zgody i wzywający do miłości kraju i poświęcenia. W bóżnicach wymowni kaznodzieje, jak Kramsztyk i Jastrów, wzywali swych jednowierców do ścisłego połączenia się z nami i umiłowania kraju tego, jak własnej ojczyzny. W znak zgody Żydzi, czyli Polacy mojżeszowego wyznania, ofiarowali nam monstrancję do kościoła, a my im w zamian siedmioramienne świeczniki do bóżnicy.

Wł. Daniłowski: Notatki do pamiętników, str. 8, 12, 43.

2. Pieśń polska i naród w żałobie.

W roku 1861 życie na całej przestrzeni dawnej Polski zabiło mocniejszym tętnem. Powiał wiatr łagodniejszy z północy i zaczęły wykwiatać nadzieje lepszej przyszłości. Wie-

rzyli wszyscy i w Rosyi i u nas, że już nie wrócą czasy straszego panowania Mikołaja. Literatura wyswobodziła się z więzów cenzury, ministrowie zaczęli mówić takim językiem, za który zwykły śmiertelnik za poprzedniego panowania mógł zgnieć w więzieniu, najsympatyczniejszy w Europie kraj — Włochy, zrzucił z siebie jarzmo niewoli, a wszędzie pragnienie życia, swobody i lepszej doli rozpieściło piersi; ludzie zaczęli weselej patrzeć na świat.

W Polsce uczucia te wylały się na zewnątrz w pieśniach religijnych, które zaśpiewano w kościołach prawie jednocześnie we wszystkich jej dawnych prowincjach.

Wiosna była w pełnej sile. Lud widząc, iż życie staje się lepszym, pełniejszym nadziei, dążył do świątyń, aby podziękować Bogu za tę radość, którą uczuwał, za tę wiarę, która napełniała jego duszę i obudzała chęć do czynu, do życia. W jednym z takich dni wiosennych kilkanaścioro dzieci, studentów, uklękło przed wielkim ołtarzem i zaśpiewało pieśń dawną: Boże coś Polskę.

Przestrach i twoga o los tych dzieci odmalowały się na twarzach obecnych, lecz nikt nie ruszył się z miejsca, a gdy pierwszy czterowiersz skończył się i chór zaśpiewał: Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie, wszyscy upadli na kolana, kobiety zaczęły szlochać, u starców łzy ciekły z oczu, kapłan przed ołtarzem zapomniał, co dalej czynić należy. Za chwilę do głosów dzieci dołączyły się głosy mężczyzn i kobiet, hymn coraz większej nabierał siły, aż wreszcie wszyscy w nim udział wzięli.

Jedna ta chwila zmieniła wszystkich. Gdy śpiew ustał, spojrzano po sobie. Przed chwilą byli to zaledwo znajomi; teraz wszystkie się stany zrównały, wspólna boleść bowiem połączyła wszystkich: każdy zrozumiał, żeśmy z jednej ulepieni gliny, każdy uczuł łzę rozczulenia w oku; dłoń wyciągnęła się ku dłoni, przekształcenie moralne nastąpiło; duch boży z pieśnią wszedł w serca, a jedność połączyła dusze wszystkich.

Taki był początek tej rewolucyi, jedynej na kartach historii. Śpiew dzieci ogrzał, rozbudził nasionka żądzy odzyskania ojczyzny i wolności, a odtąd zaczęło ono kiełkować i rósć, przepelniając całe jestestwo. Wszyscy poczuli potrzebę wyszlachetnienia, poprawienia się i skupienia. Od

tej chwili, od tej modlitwy, wszystko spoważniało, nikt nie myślał o zabawie. Wszyscy włożyli strój polski z żałobą po ojczyźnie i wolności. Żałoba była protestem i oznaką łączności i zgody. Teatry i ogrody publiczne opuszczono, kobiety wyrzekły się strojów, tańców. Żaden zakaz, żaden gwałt, żadne okrucieństwo nie mogły wstrzymać od tego smętnego i milczącego wypowiedzenia wojny wrogowi. Zbliżeni, związani jednogodną boleścią i żądzą, Polacy wszystkich warstw napełniali kościoły, modlili się i śpiewali pieśni nabożne, które stały się hasłem bojowym i godłem rewolucyjnym, jakiej nie widziano jeszcze nigdzie.

Struś: Szkice z powstania, str. 37.

3. Dzień 27. lutego 1861. roku.

Dnia 27. lutego tj. na trzeci dzień po demonstracji na rynku Starego miasta, przybyłem na kursa rano o 8-mej, jak zwykle. Poprzedniego dnia bowiem wstąpiłem do szkoły sztuk pięknych tylko na chwilę, a po uradzeniu z kolegami włożenia żałoby za uwięzionych: Cieleckiego, Nowakowskiego, Szachowskiego i Turowskiego, których brak wśród nas się okazał, udaliśmy się w kilku na miasto. Tutaj na życzenie spotkanego hr. Załuskiego, rozbiegliśmy się po domach, wyszukiwać rannych na Starem Mieście.

Otóż przybywszy rano na kursa, zastałem już na sali kilku kolegów, — później zjawili się ich więcej — ale o zabranii się do pracy z powodu wzburzenia umysłów, wskutek doznanych w ostatnich dniach wrażeń i mowy nie było.

Najważniejszą kwestyą chwili dla nas było smutne położenie naszych więźniów, którym trzeba było iść z pomocą. Nad tem debatowano właśnie, a rezultat narady — jak zwykle u młodych — był krótki: wymódcz na policmajstrze Trepowie ich uwolnienie. W tym celu wszyscy — ilu nas było — ruszyliśmy do ratusza.

Na Saskim Placu spotkaliśmy Abramowicza, który nas zagadnął: — A dokądże „młódcy“ tak ostro walą? Na naszą odpowiedź, że idziemy do „geroja“ (rycerz) co to: na Starym Rynku, „przy wodotrysku — dostał po pysku“

pokręcił głową i odparł: — Po co prosić?! Chodźmy lepiej do Karmelitów na żałobne nabożeństwo za pomordowanych w r. 1831, w tamtejszem więzieniu, stamtąd przed ratusz, walić kamieniami szyby w mieszkaniu Trepowa, a zmusimy go do uwolnienia naszych“.

Zgoda! zawołano chórem — poczem ruszamy do Karmelitów.

Ponieważ idąc na Leszno, musieliśmy przechodzić mimo ratusza, pochód nasz nie uszedł uwagi policyi, która też wkrótce po naszym przybyciu, zjawiła się przed kościołem w znacznej sile z Trepowem na czele.

Kościół był po brzegi nabitý pobożnymi i do środka nie można się było dostać — dużo więc ludzi stało na ulicy. Przeto i my stanęliśmy za nimi — mając za sobą stróżów bezpieczeństwa.

W jakiś czas potem spostrzegamy młodego człowieka przeciskającego się przez tłum, jakby kogoś szukał, a zatrzymawszy wzrok w kierunku naszej gromadki i wymówiwszy z zadowoleniem dość głośno: „A są i sztuki piękne!“ dodał „proszę panów do środka“.

Na te słowa zwarta masa, tak na ulicy, jak i wewnątrz świątyni rozdzieliła się w jednej chwili, robiąc nam wolne przejście do środka.

Po skończeniu mszy, organy milkną, w kościele robi się cisza. Czas zacząć śpiewy. Zaczynam: „Boże coś Polskę“ i aż do bis „Przed Twe ołtarze“ wyciągam sam jeden, nie znano bowiem jeszcze wówczas tej tak rozpowszechnionej potem pieśni. Dopiero przy bis zagrzmiały organy, a w ślad za tem tu i ówdzie ozwały się nieliczne głosy. Następne strofki poszły już znacznie lepiej, gdyż prawie cały kościół wtórował. Na moją prośbę kanonik zaintonował suplikacje, które odśpiewano z różnymi dodatkami patryotycznymi, jak: „Królowo korony polskiej“ i t. d.

Nagle przy głównem wejściu daje się słyszeć niezwykle ruch, przyczem słycać głosy: „rozstąpić się“, a później „tu dom Boży, tu gwałtu robić nie wolno“ — i równocześnie przed wielki ołtarz wpada kilku mężczyzn z paltami na rękach; ściągają z nas płaszczce, wrywają uniformowe czapki, wsuwając natomiast inne — i tak przebranych uprowadzają boczną nawą na ulicę.

Tutaj uszykował się gęsty szpaler z publiki, odgradzając nas od policyi, wypartej już z kościoła.

W ciągu pochodu, idący obok mnie młody człowiek zainteresował mnie o dalszy nasz program. Otrzymałszy zaś odpowiedź, że mamy iść do ratusza uwolnić kolegów więźniów, wyraził zdanie, że może lepiej byłoby udać się na zamek królewski i z namiestnikiem traktować o to. Uznawszy słuszność jego zapatrywania, zgodziliśmy się na projekt pójścia do zamku, a chodziło o to, któremi ulicami iść — dodał: „najlepiej będzie skrócić na lewo, na ulicę Przejazd, to nastraszymy Muchanowa, który mieszka naprzeciw niej“.

Ja bowiem proponowałem dostać się do zamku krakowskim Przedmieściem i wywołać tym sposobem większy efekt.

Ruszylimy ulicą Przejazd, potem Długą. U wylotu ulicy Miodowej wstrzymał pochód na chwilę jakiś powóz, który stanął nam w poprzek, a z którego wychyliła się postać niewieścia, zapytując się: co to za procesya? dokąd i w jakim celu dąży? Z objaśnienia danego jej przez nas wyrozumiała, że powinna i ona przyłączyć się do pochodu; bez namysłu wysiadła, a stangretowi kazała oddalić się z powozem. Ale z objaśnienia tego skorzystał i Trepow, który asystując pochodowi przez cały czas z swoją komendą, stał w tej chwili na rogu ulicy i przysłuchiwał się uważnie. Skoro dowiedział się, o co idzie, odłączył się od pochodu i galopem popędził ulicą Miodową do zamku, aby uprzedzić namiestnika o naszej wizycie.

Na Starem Mieście zjawienie się nasze sprawiło nadzwyczaj dobre wrażenie: z pootwieranych okien panie powiewają chusteczkami, z bram zaś sypie się lud na Rynek jak mrowie. Ale idziemy dotychczas bez żadnych insygniów kościelnych, bo napotkany jedyny dotychczas kościół popauliński był zamknięty — śpiewem więc tylko budzimy czujność mieszkańców stolicy. Na rogu Rynku i ulicy Pivnej ukazuje się na balkonie jakaś pani z dość dużym obrazem, wyobrażającym Matkę Boską z dzieciątkiem Jezus, dając do zrozumienia, żeby go wziąć. Leon Frankowski i Teodor Rieger poskoczyli tam, a równocześnie dopadłem Fary i zdołałem po stoczonyj z zakrystyanem walce, duży drewniany

krzyż i po upływie kilkunastu sekund stoję z nim na czele pochodu.

W chwili wyjścia z ulicy Ś-to Jańskiej na plac Zamkowy wysypuje się z bramy zamkowej kompania piechoty w pełnym pogotowiu bojowym i formuje do nas „front“, zasłaniając sobą bramę. Uzbrojeni w świętości, nie zważamy na groźną postawę „kapuśniaków“, lecz ze śpiewem na ustach, śmiało zblizamy się ku szeregowi piechurów. Wtem daje się słyszeć tentent kopyt końskich, to z poza zamku od strony Nowego Zjazdu pędzi w pełnym galopie sotnia Kubańców, znanych w Warszawie pod nazwą „Czerkiesów“, którzy zamykają przejście na krakowskie Przedmieście.

Mamy zatem już dwa „fronty“, jeden przed sobą, a drugi z boku, ale posuwamy się dalej naprzód ku bramie zamkowej. Jesteśmy już o jakie 20—25 kroków od piechurów, potrząsających karabinami i złośliwie uśmiechających się do nas, gdy zwracamy uwagę na brak natłoku, który dotychczas pochodowi towarzyszył. Oglądamy się, a tu prócz kilkunastu „naszych“ i kilkudziesięciu uliczników miejskich, robiących miny do kapuśniaków, z kilkudziesięciotysięcznego przed chwilą tłumu niema nikogo na placu. Wszystko tłoczy się w ulicy Ś-to Jańskiej, Rynku i przyległych ulicach lub sieniach domów; widok bagnatów i nahajek ostudził ich zapał.

Rozczarowani i pognębieni widokiem tak niespodziewanego „fiaska“ staramy się zebrać myśli dla powzięcia postanowienia, co czynić wypada dalej. Namiestnik naturalnie, nie raczy ukazać swego oblicza tak małej garstce „zatracców“, o tem nie może być i mowy. Trzeba więc postąpić tak, żeby nie dać pozorów, że mieliśmy zamiar tu się zatrzymać. Nie zatrzymując się też ani na chwilę, zwracamy na prawo ku rozciągniętemu o paręset kroków szeregowi Kubańców, którzy stali oddaleni jeden od drugiego o jakie 2 kroki, z czego można było wnosić, że uda się nam przeдрzeć przez nich.

Postawiamy, gdy zblizamy się do szeregu, rozszerzyć swój pochód i starać się pojedynczo przebić, w nadziei, że jeśli uda nam się ta sztuka, to kochani uciekinierzy przyłączą się znowu do nas i dalej pójdziemy przez miasto w tej samej ilości, jak przed wyjściem z ulicy Ś-to Jańskiej.

Stanęliśmy wreszcie oko w oko przed Kubańcami. Ale

ponieważ obraz niosło teraz 3-ch ludzi, chodziło więc, aby ich przepchać naprzód, gdyż dla 3-ch była za wązka luka; w oczekiwaniu na nich ja nie przebijałem się, lecz stoję już za nimi. Obraz znajduje się już w połowie długości stojących obok siebie koni. Nadzieja przebiccia ożywia nas, gdy wtem podnoszą się z obydwóch stron duże olbrzymie ręce, chwytają za górną ramę obrazu, usiłując wyrwać go niosącym. Widząc, że trzej 17-to letni młodzieńcy nie zdołają oprzeć się dwom silnym drabom, składam krzyż swój na bruk, przyskakuję do nich, chwytam za obie boczne ramy i gwałtownem szarpnięciem oswobadzam obraz, ale bez górnej ramy, która wraz z jednym Kubańcem znajduje się na bruku.

Na ten widok odzywa się na prawem skrzydle komenda: „w nagajki“! i rozpoczyna się młocka. Podnosimy do góry kołnierze swych płaszczów, odzyskanych na Starem Mieście, okrywamy niemi głowy i twarze i cofamy się w kierunku studni, będącej na rogu ulicy Podwale i Placu Zamkowego, gdzie za dorożkami, które zatrzymały się tu dla napojenia koni, znajdujemy bezpieczną dla siebie twierdzę. Kubańcy wracają na zajmowane przed batalią miejsce. Zapanowuje względny spokój.

Po upływie kilku minut przedzieramy się w pojedynkę na krakowskie Przedmieście i będąc o kilkadziesiąt kroków za szeregiem Kubańców, zaczynamy znowu śpiewać. Kozunie nawracają konie i galopem zabiegają nam drogę, zamykając ulicę tuż za kościołem Bernardyńskim.

I znowu spokój.

Po pewnym czasie rozlega się w kościele żałobne miserere i wysuwają się na ulicę Kapucyni, idący na czele konduktu. Kubańcy przypuszczają do nich szarżę i po krótkim świście nahajek oczyszczają na chwilę plac z „nieprzyjaciół“.

Wkrótce słyhać powtórne miserere i znowu ukazują się bure habity. Kozacy ponawiają szturm, nahajki świszczą, ale mnisi nie ustępują i idą z krzyżem na czele.

Wtem jedno ramię krzyża opada na dół, a równocześnie rozlega się przeraźliwy krzyk z tysiąca piersi, które nagle jakby z pod ziemi wyrosły. — Zbóje krzyż porąbali! Ze wszech stron posypuje się na kozaków grad pocisków

z lodu i kamieni. Mnisi raz jeszcze cofają się do kościoła — a ordynans dowódcy galopuje z raportem do zamku. Niebawem zjawia się piechota i zamyka plac przed kościołem. Tym razem wyrusza pogrzeb w asystencji jednego księdza i kilkunastu osób orszaku,

Piechota staje na czele konduktu, a Kubańcy zamykają go. Na ulicy rozlegają się głosy: „zbóje zamordowali na Starem Mieście w poniedziałek człowieka i nie pozwalają iść za jego pogrzebem — chodźmy!“ I za plecami Kubańców sunie znowu masa ludu: zgromadzili się już uciekinierzy.

Otoczony wojskiem kondukt, znajduje się już opodal figury Matki Boskiej — naprzeciw domu Malcza, gdy w powietrzu rozlega się nagle echo salwy, brzęk szyb i przeraźliwy krzyk rannych i publiczności.

Dym zaślania dom Malcza, a po chwili ukazują się na murze ślady z opadniętego tynku. Kondukt rusza dalej. Zbliżam się do miejsca katastrofy: ze sklepu wynoszą dwa trupy ułożone na pakach towarowych — kierując się ku wązkemu krakowskiemu Przedmieściu, — to drugi kondukt. Chcąc przeczekać tłok, przystanąłem na chwilę. Nadjeżdża dorożka, wioząca człowieka, dającego słabe oznaki życia; woźnica pyta: co ma z nim począć? „Wieźcie go na zamek“ — odpowiadam. Pojechał tam po namyśle. Przeciskam się przez tłum, żeby zobaczyć, co się stanie z niesionymi trupami. U wylotu ulicy Koziej nadjeżdża jakiś pułkownik, zatrzymuje konie i pyta, co się stało? Idący o parę kroków młody człowiek, jednym skokiem znajduje się na stopniu powozu, wymierza mu siarczysty policzek, zrzuca kaszkiet z głowy, mówiąc „zdjąć czapkę“, poczem niknie w tłumie.

Hotel Europejski oblegają tłumy, ścisk nie dający się opisać, z trudem przedostają się do środka. W jednej z sal I. piętra, na ustawionych obok siebie pakach, spoczywają zwłoki dwóch ofiar. Na ich obnażonych piersiach widać krwawiące się jeszcze rany.

Plac i jeiki napełniają korytarze. Każdy z odwiedzających pochyla się z uszanowaniem nad zwłokami, całując ich rany. Kilku siwych starców z śladem krwi na sumiastych wąsach, klęcząc i złożwszy palce na krzyż, wykonywa głosem przenikającym do głębi serca przysięgę wiecznej zemsty wrogowi.

Wśród przybyłych zjawia się jakiś kadet w uniformie wojskowym; ktoś wymierza mu policzek, zrywa epolety, łamie pałasz, ciska na podłogę, depta nogami!

Młodzieniec zalewa się łzami i woła wzruszony: „ja nie Moskal — ja Polak Panowie!“ Nadchodzi na to jego znajomy i przekłada obecnym, że to syn najlepszych Polaków i sam gorący patriota.

— Ale w poszarpanem ubraniu nie może się stawić ten młodzian przed swą władzą, — robi uwagę ktoś z tłumu i proponuje zaopatrzyć go w fundusze na wyjazd za granicę. Zewsząd sypią się hojne datki, a znajomy młodzieńca uprowadza go z sobą wśród przeprosin obecnych temu zajściu.

Opuszczam przejmujące zgrozą miejsce i wydostaję się na ulicę. Z rozmów zasłyszanych tu i owdzie dowiaduję się, że strzały miał spowodować generał Zabołockoj, który w czasie przejścia pogrzebu, stojąc oparty o stos kamieni złożonych na placu, miał dostać kamieniem w łeb od jakiegoś ulicznika. Zakomenderował do przechodzącego właśnie oddziału piechoty: „pali“ (ognia), za nim zaś miał powtórzyć komendę dowódca oddziału z dodatkiem: „w górę“ (strzelać w górę) i dlatego to większa część strzałów poszła górą, trafiając tylko stojącego w oknie I-go piętra gimnazjalistę, gdy tymczasem dolne strzały przyprawiły o śmierć 4 osoby.

Szymon Katyll: 27. luty 1861 r.

(Książka pamiątkowa 40-lecia powstania styczniowego, str. 186.)

4. Ostatnie chwile i pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego.

Ciągle niespokojności burzyły Warszawę na jesieni 1861 r. Jeżeli na ulicach wzbronione były manifestacje, to lud chował się po świątyniach, gdzie nieustannie grzmiąły pieśni zakazane.

Duchowieństwo bardzo było przychylnie ruchowi narodowemu, co głównie może zawdzięczać trzeba arcybiskupowi Fijałkowskiemu. Zacny i cnotliwy ten starzec dogorywał już na łożu boleści, kończąc swój poświęcony kościolowi i krajowi żywot. Na kilka dni przed śmiercią — było to w pierwszej połowie października 1861 r. — wezwał znaczniejsze duchowieństwo do siebie i wobec nich czynił głośną z ca-

łego życia pokutę. Po przyjęciu najsw. hostyi i namaszczeniu olejami miał długą przemowę do zebranych osób duchownych, zalecając im, żeby zawsze szli z narodem, aby byli obrońcami nie tylko religii, ale i narodowości tego nieszczęśliwego ludu; wkrótce po tej mowie skonał, modląc się o pomyślność kraju.

Mowa tego zgrzybiałego i szanownego arcybiskupa wielkie wywarła wrażenie na całe a szczególnie młodsze duchowieństwo, posuwając go do udziału w sprawach narodowych.

Wiadomość o śmierci i ostatnich chwilach arcybiskupa lotem błyskawicy obiegła Warszawę. Postanowiono uczcić pamięć zacnego arcypasterza wspólnym narodowym pogrzebem, który, jak wszystkie uroczystości, zamienił się w olbrzymią manifestację. Pogrzeb ten pod względem ostentacji, na oko, był jeszcze uroczystszy od pogrzebu pięciu poległych¹⁾, lecz nie miał już tego jakiegoś tajemnego uroku, jaki widniał w pogrzebie pięciu poległych. Te pięć ofiar, niesionych na barkach współbraci, dawały jakiś niezwyčajny i głęboki efekt pogrzebowi, zdawało się, że dusze ich niewinne unoszą się nad orszakiem, niosąc przed tron Boga na białych skrzydłach krew wylaną za swój naród, jak skargę, prośbę i ofiarę. Pogrzeb zaś arcybiskupa był już czysto narodową manifestacją, korzystającą tylko z okazji śmierci szanowanego dostojnika kościoła. Lecz zaprawdę piękniejszej manifestacji uczuć nigdyśmy już i przedtem i później nie widzieli. W pogrzebie 5 poległych była tylko żałoba po stracie niepodległości bez jawnych pragnień, tu zaś już życzenia narodu wybitnie wystąpiły. Dla dodania większego rozgłosu temu pogrzebowi posłano do wsi okolicznych, aby się zgromadzili wieśniacy ze swymi proboszczami dla przyjęcia udziału w tej uroczystości. Z samego już ranka w dzień oznaczony przybywały kolejną i pieszo gromady włościan, witane przez Warszawian na wstępie do miasta i prowadzeni do przygotowanej zakąski, skąd ich z chorągwiami i przy śpiewie: „Boże coś Polskę“, „Z dymem pożarów“ i t. p. prowadzono przez główne ulice Warszawy do przygotowanych dla nich mieszkań.

¹⁾ 5 poległych to ofiary manifestacji z 27. lutego 1861 zabite przez Moskali.

Od samego już południa zaczęto urządzać przygotowania do pogrzebu. Znaczniejsze gmachy ulic, przez które pogrzeb miał przechodzić, obite były kirem. Ogromny orszak rozciągał się przez wiele ulic aż ku kościołowi katedralnemu. Po duchowieństwie, po pastorach protestanckich i rabinach żydowskich następowało kilkadziesiąt korporacji, każda poprzedzana sztandarem z kolorów narodowych z wyszytymi Orłami Białymi i Pogonią litewską, jak i Orłem srebrnym na drzewcu okrytem krepą żałobną. Za trumną, wieszoną na wspaniałym karawanie z baldachimem, niesiono na aksamitnych amarantowych poduszkach koronę królewską, Orła srebrnego i Pogoń litewską, jako oznaki godności królewskiej za najwyższym dostojnikiem kościoła, chcąc pokazać, że go jako prymasa w bezkrólewie uważano; dalej postępowali konsulowie zagraniczni w galowych mundurach, za nimi tłumy ludu. Orszak ten cały ze swymi kilkudziesięciu sztandarami narodowymi przeciągał uroczyste przed oknami zamku królewskiego, gdzie mieszkał namiestnik i przypatrywał się z całym swym sztabem tym buntowniczym dla nich oznakom. Orkiestry i chóry śpiewaków i śpiewaczek wykonywały marsz żałobny Szopena. Pogrzeb trwał do samego zmierzchu, upajając Warszawian swą patryotyczną uroczystością.

Nazajutrz w hotelu Europejskim wyprawiano obiad dla chłopów, na którym spełniano toasta zgody i oswodzenia i szczęścia kraju. Liczne mowy o braterstwie ludu z panami, wzywające do wspólnej pomocy, brzmiały nieustannie. Ze strony wieśniaków niejednokrotnie występował z mową dzielny jakiś i sędziwy wieśniak, napominając, aby te przyrzeczenia nie poszły tak z niczem, jak w 30-tym roku, kiedy to dużo mówiono, a nic nie zrobiono. Po obiedzie sami panowie rozwozili chłopów i chłopki do kolei żelaznej. Omnibusy, wiozące liczne towarzystwa, ozdobione były chorągwiami z orłami białymi. Na dworcu kolei oczekiwał już ekstra cugowy pociąg z kilkudziesięciu wagonów, na który wsadzono braci naszych wieśniaków, my zaś wsiedliśmy obok nich także dla odprowadzenia i rozwinąwszy znów narodowe chorągwie i zanuciwszy „Z dymem pożarów“, ruszyliśmy ku Łowiczowi.

Wł. Daniłowski: Notatki do pamiętników, str. 70—73.

5. Dzień 15. października 1861. r. w kościele św. Jana.

Głośne manifestacje wyprowadziły rząd z cierpliwości i postanowił silną represją koniec im położyć. Dn. 14. października po pogrzebie arcybiskupa ogłoszono stan wojenny w Warszawie. Rozlepiono po rogach ulic plakaty, obwieszając prawidła stanu obłączenia, zapowiadające między innymi, że w razie buntowniczych śpiewów w kościołach, kościoły otoczone zostaną wojskiem, zgromadzeni wszyscy aresztowani i oddani sądowi polowemu dla ukarania winnych.

Właśnie naznaczone było nabożeństwo za Kościuszkę. Nabożeństwo to odbyłoby się bardzo skromnie, lecz przy ogłoszonym zakazie chcieliśmy umyślnie nadać jak najuroczystszy charakter, aby i uczcić pamięć bohatera i pokazać, że na zakazy władzy nie zwracamy uwagi w rzeczach dotyczących celów narodowych. Wydaliśmy przeto polecenie wszystkim naszym kołom, aby jak najliczniej zebrano się w kościołach na ten obchód żałobny, którym miano i zakończyć manifestacje kościelne. W naszej drukarni kazaliśmy odbić krótki życiorys Kościuszki i odlitografować jego popiersie dla rozdawania obecnym w kościele na pamiątkę tego obchodu.

Okolo 10-ej rano wyszedłem z domu, udając się na te egzekwie do kościoła św. Jana. Na placach wojska były jeszcze powiększone. W kościele czekały już tłumy ludu. Nabożeństwo się rozpoczęło. Rozdawszy przyniesione plakaty, wzięłem przygotowany portret Kościuszki i wszedłszy na katafalk przybiłem u góry. Czyniłem to nie bez pewnego wrażenia, gdyż przebrani policyjanci, tak czujni, mogli mnie łatwo zauważyć, ale zrobiłem to dla podniesienia odwagi w zebranych, na twarzach których widać było jakieś pomieszanie, nikt nawet śpiewów nie zaczynał, choć nabożeństwo już się miało ku końcowi. Zeszedłszy z katafalku dałem znak stowarzyszonemu i śpiew, choć cichy i drżący z początku, rozległ się po kościele, rosnąc powoli w siłę. Zaledwo kilka strof prześpiewano, gdy nagle pieśń zaczęła cichnąć, jakieś zamieszanie wkradło się do kościoła; szmer głośny poszedł od strony drzwi, aż nagle w okrzyk się zamienił: „Wojsko otacza kościół!“

Trwożliwi zaczęli wołać, by śpiewów zaprzestano. Ale młodzież nie zwróciwszy uwagi na krzyki, ciągnęła dalej śpiew, choć mało jej głosów towarzyszyło. Po ukończeniu śpiewów cichość chwilowa zaległa świątynię, a później znów szepty głośne przebiegały między obecnymi. „Wojsko otoczyło kościół ze wszystkich stron!”

Wszyscy rzucili się ku drzwiom. Przed drzwiami błyszczały bagnety i ściśle szeregi opasywały bramy świątyni. Cofnąwszy się od głównych drzwi, rzuciliśmy się z tłumem do bocznych wyjść — i tam bagnety; idziemy ku zakrytych — i tam szeregi wojska.

„Otoczeni jesteśmy ze wszystkich stron” — odezwały się liczne głosy.

„Potrzymajmy nas z godzinę i odejdą” — rzekło kilku z tłumu.

Wojsko jednak nie odchodziło, a godziny mijały powoli. Przed wszystkimi wyjściami z kościoła tłoczyły się ciekawe głowy zamkniętych, zarzucając pytaniami oficerów: „Czego chcą, po co nie puszczają z kościoła”. Odpowiadano, że wszystkim wolny wychód, pojedynczo jednak, lecz z zastrzeżeniem, że każdego zaprowadzą do protokołu i jeżeli okaże się niewinny, puszczony zostanie wolny do domu.

„Nie wyjdziemy, tylko razem wszyscy, albo siedzieć tu będziemy aż do dnia sądnego” — odpowiadano z tłumu.

Było już około 2-ej popołudniu, głód zaczynał nam już dokuczać w kościele, a tu z nikąd nadziei jakiegoś pożywienia. Wszystką wodę święconą, jaka była w kościele, wypito, część jej tylko zostawiwszy dla ocucenia mdlejących ze znużenia kobiet. Kobiety mimo swobodnego wyjścia z kościoła za nic nas opuścić nie chciały, podtrzymując nas w wytrwałości. Kilka z pań, wyszedłszy do swych domów, powróciło znów do kościoła niby po swe dzieci, przynosząc ukrytą pod sukniemi żywność, ale było to kroplą w morzu dla zgłodniałej przeszło 2000-nej ludności. Kilku z młodzieży, odkrywając wazjutki dziedziniec, oddzielający katedralny od kościoła Pijarów, na który wychodziło parę okratowanych okien z cel księży, urządziło z nimi komunikację i na sznurku zaczęły spuszczać się woda, chleb, bułki. Na widok tych niespodziewanych darów, tłum, jak zwykle, nieostrożny, zaczął

wydawać okrzyki radości. Usłyszeli to komenderujący wojskiem i odbiwszy małe drzwiczki, wpadli nagle między krzyżujących. Zamieszanie i gwałt wielki powstał między tłumem. Część zapasów dostała się w ręce wojska. Jednemu młodemu człowiekowi, który po drabinie dostał się do okna Pijarów i nie mogąc wleźć przez kratę, rozmawiał z księżmi, wyrwali żołnierze drabinę z pod nóg i ten nieszczęśliwy długo rękami zawieszony na kratkach, błagał słabnącym z wysilenia głosem pomocy, aż wpół zemdłony runął na bruki, skąd go żołnierze wynieśli zemdłonego.

Przychodzili co trochę parlamentarze.

Kilkadziesiąt kobiet zbliżyło się do krat żelaznych: „Panie! — rzekł oficer — namiestnik przysłał mnie, abym oświadczył, że wszystkie kobiety mogą bezpiecznie udać się do domów z kościoła, bez żadnej odpowiedzialności, pod słowem honoru namiestnika, inaczej mogą być panie narazone na nieprzyjemności ze strony rozjątrzonych żołnierzy, których my nawet wstrzymać nie będziemy mogli. Niech Panie przykład dla mniej upartych pokażą, a tak tylko nieszczęście sprowadzicie tym uporem” — słowem zachęcał i prosił w jak najwyszukańszy sposób.

„Idź Pan i powiedz namiestnikowi — odpowiedziała jedna z kobiet — że my naszych mężów, synów i ojców nie opuścimy w nieszczęściu. Wyjdziemy tylko razem z nimi, albo z nimi zostaniemy”.

„Tak, tak! — zawołały zebrane panie — same nie opuścimy kościoła. Nie chcemy łaski dla nas jednych tylko”.

Noc już nastała głęboka, ciemna, światła w oknach przeciwnych domów pogasły, gdyż tak kazano, lecz za czarnemi łłami okien rozróżnić mogliśmy ciekawe i niespokojne głowy mieszkańców, rysujące się niejasno za szybami. Mogliśmy z okien wieżyczek kościelnych rozpoznać, że wszyscy prawie mieszkańcy na całej Świętojańskiej ulicy i Starem Mieście czuwają jeszcze, bo co chwila to okno, lekko odemknięte, rzucało ku nam z ust nieznanego jakiegoś niedosłyszane słowa pociechy, czy wytrwałości, to postać jakaś kobieca zabielała w oknie, dając nam jakieś niewytłomaczone i ledwie dojrzone znaki. Światła tylko nigdzie nie było, bo najmniejszy błysk budził zaraz okrzyki gęsto rozprószonej policji, rozkazującej gasić ogień, a nieposłusznych



wyrywano z domu, prowadząc do więzienia. Ileż to rodzin w nocy tej, burz pełnej, oczekiwało swoich synów, mężów lub ojców? Ileż to matek, przez całą noc skurczonych w oknie, chwyciło każdy szelest uliczny, ciesząc się nadzieją lub w jeszcze większą wpadając rozpacz!

Północ już się zbliżała; znużenie i głód na wielu już twarzach posępną bladością się malował. Kobiety niektóre upadały zemdlone na stopnie ołtarza, żadna z nich jednak nie myślała korzystać z udzielonej łaski i opuszczać nas na pastwę przemocy. Widząc, że już żadnej niema nadziei, aby wojsko odstąpiło kościoła i że w najlepszym razie przyjdzie nam do rana w murach świątyni pozostać, urządziliśmy strażę zmieniane przy wszystkich wejściach, aby reszta odpocząć w bezpieczeństwie mogła.

Tymczasem przy drzwiach parlamentowanie i namowy odbywały się bez przerwy, grożono wkońcu, że szturmem będą kościół zdobywać. Sprowadzono jakąś deputację obywateli z kościoła OO. Bernardynów, gdzie również publiczność modląca się była zamknięta, aby ta deputacja zaświadczyła nam, iż siłą wojsko weszło do kościoła i wszystkich zabrano. Widząc jednak, że to nic nie pomaga, dano już pokój namowom i udano się po stanowcze rozkazy do zamku.

Po odejściu parlamentarzy uciszyło się wszystko i sen zaczął kleić już moje powieki, kołysząc umysł najdziwaczniejszymi fantazyami — gdy wtem huk nagły i krzyk zebranych na równe nogi podniósł mnie ze stopni katafalku; nie mogłem jednak chwilowo kroku postąpić, bo wyżej leżący towarzysze, podnosząc się również jak i ja gwałtownie, zrzucili na mnie jakiś kawałek obicia i mnóstwo ciężkich świeczników. „Drzwi odbijają! Wojsko kościół zdobywa! Rzeź będzie! Bronić się, bronić do upadłego!” krzyczano dookoła mnie.

Wydostawszy się na wierzch z pod tych okryć i świeczników ołowianych, ujrzałem dopiero, że drzwi od ulicy zostały zajęte i wojsko stało już poza ażurową z żelaza bramą, najeżone swymi bagnietami; dalej jednak nie postępowało ni krokiem i brama ta kratowa oddzielała ich od ludności. Po takim gwarze nastąpiła nagle cichość grobowa; każdy czuł, że ważna jakaś, może krwawa nawet chwila jego żywota

przybliża się wolnym, lecz nieubłaganym krokiem. Umysły do tego stopnia były rozdrażnione, że nawet przypuszczano, iż wojsko rzeź robi w kościele.

Po tej chwilowej ciszy krzyknęło naraz kilka głosów: „Bronić się, bronić się!” i wielu młodzieży uchwyciwszy kije, krzyże i wielkie metalowe świeczniki, posunęło się ku bramie żelaznej, poza którą błyszczały bagnety. Wojsko jednak nie ruszało się z swojej pozycji, patrzyło tylko z pewną obawą choć i nie bez złości na tłum zgromadzonych. Rozsądniejsza część publiczności zaklinała, aby nie stawić oporu i nie spowodować rzezi, która wówczas mogła być prawdopodobną. Wielu jednak młodzieży nie rzuciło owych słabych oręży, przyrzekając jednak używać ich tylko do obrony życia, a nie do zaczepki. Kobiety przestraszone latały między nami, błagając o spokój i cierpliwość. Zamieszanie jednak to chwilowe uspokoiło się znowu, nie na długo jednak. Niewielu trwożliwszych biegało w różne strony, szukając ukrycia po korytarzach i chórach kościoła. Ja z kilku akademikami i inną młodzieżą stanęliśmy przy wielkim ołtarzu, uspakajając bardziej wrażliwe kobiety. Naraz rozległ się znów łoskot gwałtowny, a w ślad niego krzyk stłumiony: „Bramę wybijają, bramę ostatnią wybijają!” „Bronić się, bronić!” wołali gorętsi.

„Spokojności! Czekajmy” — mitygowali starsi.

Zamieszało się coś przy owej bramie i nagle z ogromnym łoskotem rozwarły się rozbite oskardami wrota żelazne. Po tym łoskocie nastąpiła cisza chwilowa, pełna przeżającego oczekiwania, a po niej zaszczękały karabiny i krzyk znów wielki podniósł się u samego wchodu. Widzieć zaledwie mogłem z przed wielkiego ołtarza, jak coś zakotłowało się, jak w burzy przy bramie, zmieszało razem, podnosząc kłęby kurzu, a w ślad ich jęki przeciągłe i głosy kobiece: „Zabijają, ranią naszych!” i kilka pań z rozwianym włosom wbiegło na katafalk, powiewając skrwawionymi chustkami, a za nimi ustępujący tłum wywracał świeczniki katafalkowe, tłocząc się ku nam.

„W dzwony na gwałt uderzyć!” — odezwały się jakies głosy i kilka rąk pochwyciło za sznur od dzwonu. „Dzwonić, to z miasta pomoc nadejdzie” — i głuchy przeraźliwy jęk dzwonu się rozległ.

„Nie dzwonić, nie dzwonić! — odezwali się starsi — bo się miasto tu zbiegnie i rzeź wielką wywołamy“.

Kilka stojących bliżej kobiet skoczyło ku sznurowi i przecięło go u góry i dzwon zamilkł. Gdyby nie ten rozsądny postępek, kto wie czyby mnóstwo rzemieślników ze Starego miasta nie przybiegło na ratunek swych braci i czy rzeczywiście rzeźby nie wynikła.

„Księżda! księżda z krzyżem wyprowadzić do wojska: może się wstrzymają żołnierze“ — i w jednej chwili wyprowadzony ksiądz z zakrystyi, odziany w komżę i stułę, szedł blady, drżącym krokiem, podtrzymywany przez jakieś kobiety, trzymając krzyż oburącz naprzeciw wojska. Ja stojąc przy wielkim ołtarzu z kilkoma, pochwyciliśmy z niego wielkie ołowiane świeczniki, pragnąc przynajmniej drogo sprzedać swe życie. Kilku rzemieślników, otaczających nas, zaczęło coś na karteczkach zapisywać.

„Co panowie robicie?“ zapytałem. „Zapisujemy swoje nazwiska, aby wiedziano, kto tu zginął“.

Przyznam się, że niebardzo przyjemne wywarła wrażenie ta odpowiedź. Rzecz się tymczasem wyjaśniła. Nikogo nie zabito, a tylko żołnierze, idąc naprzód ze spuszczonemi jak do ataku bagnietami, ranili kilkunastu stawiających opór, za co też byli poczęstowani tęgami uderzeniami metalowych świeczników.

Uspokojeni przynajmniej na chwilę co do swego losu, oczekiwaliśmy zbliżenia wojska ku ołtarzowi. Przestrzeń już niewielka rozdzielała nas od nich.

„Idą już“, zawołały stojące przy nas kobiety.

„Mój syn! mój syn!“, szepnęła niemłoda już, stojąca przy mnie pani i zsunęła się zemdlona na stopnie ołtarza.

Nie miałem jednak czasu jej ratować, bo nagle schwycony zostałem przez jakąś kobietę, która zarzuciła mi swoją chustkę na szyję, szepcząc mi do ucha: „Ukryj pan swój kołnierz! Akademików przedewszystkiem wyszukują w tłumie“.

„Zrzuć pan mundur“, szepnęła druga.

A nim się obejrzałem, już wraz z dwoma drugimi kolegami byłem bez munduru, a kołnierz paltota okryty był jakąś ciemną chustką. Schowawszy czapkę do kieszeni, czekałem w niepewności dalszego losu. Wojsko było już o kilka kroków, nas jednak nie widziano, bo otoczeni byliśmy wkoło

podwójnym szeregiem kobiet. „Niech się Panie rozsuna; tam w środku są mężczyźni, a może nawet akademiki!“, wołał jakiś oficer po polsku.

„Tu niema akademików, to nasi synowie, młodzi, my ich nie damy!“, krzyczały odważnie kobiety, ściskając się silniejszym kołem wkrąg nas. „Niech się Panie rozstapia, bo każę wojsku iść naprzód“, wołał oficer.

Nie chcąc narażać naszych szlachetnych dam na gburowatość żołnierzy, wystąpiliśmy sami, oddając się w ręce oficera. Otoczył nas szereg wojska, popychając ku wyjściu i łącząc się z innymi aresztowanymi. Co kilka kroków przypadał jakiś adjutant, szukając między szeregami prowadzonych, czy niema gdzie akademików. Ale dzięki przebraniu nie byliśmy jeszcze poznani. Gdy już próg kościoła przestępował, wiatr silny zerwał mi niedobrze zawiązaną chustkę:

„Wot akadjemik!“, wrzasnął jakiś głos za mną i w jednej chwili kilka rąk żołdackich chwyciło mnie za ramiona, za kołnierz i piersi i wyprowadzono mnie z grona towarzyszy. Niesiony prawie w powietrzu, gdyż bardzo się obawiano, abym w tłumie nie zniknął, postawiony zostałem w kruchcie kościoła za potrójnym szeregiem wojska, gdzie już trzech kolegów oczekiwało.

Zaprowadzono ich do cytadeli.

Wł. Daniłowski: Notatki do pamiętników, str. 74—86.

6. Obchód rocznicy Unii w Kownie.

Opowiem o najświetniejszym dniu przed powstaniem dla Kowna — o obchodzie pamiętki Unii lubelskiej.

Na kilka tygodni przed rocznicą tej unii zaczęto mówić w mieście, że w ten dzień procesya z chorągiewami i ołtarzykami pójdzie przez miasto do Aleksoty (wzgórze) na spotkanie podobnej procesyi idącej z Królestwa...

W dzień oznaczony tłumy ludu przybyły do Kowna. Kobiety ubrały się w białe suknie, bo na ten dzień zrzucono oddawna noszoną żałobę narodową. Procesya miała iść wprost ku mostowi.

Tymczasem generał Burhard z pułkownikiem żandarmskim wyprowadzili wojsko z koszar. Na placu w Nowem

Mieście stanęli ułani, oczekując rozkazu, aby się na koń i uderzyć na lud. Na jednej ulicy, prowadzącej ku mostowi, postawiono sotnie kozaków w plutonowej kolumnie, a za nimi garnizonowy batalion, któremu nakazano broń nabić ostrymi ładunkami. Na placu ratuszowym, w mundurze i przy wszystkich orderach, stanął pan generał ze Skwarcowem, policmajstrem i adjutantem, w zamiarze nie puszczenia ludu ku mostowi łyżwowemu, który już od świtu na rozkaz wicegubernatora został rozprowadzony.

Dzień był precudny. Letnie słońce promieniami swymi zalewało całe miasto i dolinę. Żadnej chmurki na niebie, tylko łagodny wietrzyk odświeżał powietrze. Poważnie i cicho wysunęła się procesya z kościoła. Na czele szedł wysoki i silny mężczyzna, niosąc krzyż wielki. Za nim postępowały dziewczęta w bieli, niosąc ołtarzyki — następnie księża i lud zebrany. Nikt nie dowodził procesyą, a jednak wszystko było w największym porządku; rezygnacya i poddanie się losowi były wypisane w oczach i postawie każdego.

W chwili, gdy czoło przynajmniej piętnastotysięcznej kolumny doszło do kozactwa, dowódca kazał zbliżyć konie do siebie, żeby nie przepuścić tej lawiny ludzkiej. Lecz niosący krzyż na przodzie przedarł się między końmi, które przestraszone, uskoczyły na bok — i przesunął się do drugiego plutonu. Za nim przeszły dziewczęta z ołtarzykami.

Widząc pierwszą linię złamaną, mężny generał krzyknął: „nahajkami ich walcie!“ Pierwsze uderzenie spadło na głowę niosącego krzyż z taką siłą, że powaliło go na ziemię. Ukłakł uderzony i zaczął śpiewać: „Święty Boże, Święty mocny“. Dziewczęta, okładane razami, klękały kornie, lecz wstecz się nie usuwały. Lud idący z tyłu, słysząc słowa pieśni, którą tak często śpiewał, ukłakł i z piersi tyłu tysięcy ludu wyrwała się modlitwa do nieba: „Święty Boże, święty!“

Kozacy, słysząc tę pieśń nabożną, którą i oni śpiewają, zatrzymali się w spełnieniu rozkazu, zdjęli czapki i żegnać się zaczęli. I ich wzruszył ten jęk boleści bezbronno ludu.

Pułkownik Skwarcow widząc, że kozactwo zawiodło oczekiwania jego, podbiegł do generała, który zupełnie głowę stracił i zdjąwszy kaszkiet, żegnał się nieustannie. „Generale! rzekł — zgubisz siebie, jeżeli się dowiedzą, żeś po-

zwoił w swojej obecności na podobną demonstracyę i nie rozpędził ludu orężem“!

Ocknął się generał i posłał adjutanta po ułanów, z rozkazem uderzenia na modlący się lud... Gdy rozkaz ataku posłano ułanom, wicegubernator Korecki, Rusin, człowiek zacny i uczciwy, który całe życie przepędził na Litwie i zrosł się z nią, otrzymał na placu ratuszowym raport o tem, co się działo. Znając lud litewski, znając charakter jego, wiedział, że przyjdzie do krwi rozlewu, jeżeli temu nie zapobiegnie; usłuchał więc głosu sumienia, które mu wskazywało, jaki cięży na nim obowiązek w tej chwili; prędko ubrał się w mundur, wsiadł do dorożki i wyprzedziwszy ułanów, idących do ataku, powstrzymał ich. Następnie pojawiwszy się niespodzianie na placu, rozkazał zebranemu wojsku wrócić do koszar i nie przeszkadzać procesyi. Sam powrócił do domu, wiedząc, że most jest rozprowadzony i że Niemna w bród przebyć nie można. Zostawiając lud samemu sobie, sądził, iż widząc niepodobieństwo dostania się na drugą stronę rzeki, rozjejdzie się spokojnie.

Po ukończeniu modlitwy, lud powstał i procesya ruszyła naprzód. Doszedłszy do Niemna, zebrani stanęli na wzniosłym brzegu rzeki, nie wiedząc, co począć dalej. Przewidywania Koreckiego spełniłyby się napewno, gdyby w tej samej chwili na wyżynach Aleksoty nie pokazała się procesya idąca z Augustowskiego. Na czele jej szedł stuletni prawie starzec Godlewski. Na ten widok Żmudzini ukłękli nad brzegiem Niemna i z ust ich wyrwała się nie pieśń, ale jęk żallosny: „Boże, coś Polskę“. Procesya idąca z Królestwa także ukłękła i modlitwa wspólna, łącząc się nad rzeką, wzniosła się do nieba. Kobiety i starcy płakali.

Tymczasem młodzież, wyciągnęła z kąsów czołna, umieściła na nich księży i ołtarzyki i zaczęła przeprować na drugi brzeg rzeki. Drudzy rzucili się do mostu i zaczęli go naprowadzać. Chwila była tak uroczysta, widok tak wzruszający, że żołnierz stojący na warcie przy moście, stary Litwin, zdziżały pod straszną moskiewską dyscypliną, uczuł w sercu ciepło i lzy mu płynąć z oczu zaczęły. Patrząc na nieudolność młodzieży w nawodzeniu mostu, zapomniał o obowiązku bronienia go i zawołał: „Nie w tę stronę kręćcie! Kręćcie

na lewo"! Po długiej pracy most był złożony i cała procesya przeszła na drugi brzeg rzeki.

Chwili spotkania nikt nie zapomni. Ludzie nieznajomi rzucali się w objęcia, ściskano się i całowano z uniesieniem, łzy były w oczach, a rozczulenie w sercu. Połączona kolumna ruszyła naprzód do kościoła o pół mili oddalonego od Aleksoty; tam ukląkszy, tysiące ludzi wspólnie błagało Niebo o lepszą dolę dla siebie i dla kraju.

Struś: Szkice z powstania, str. 69.

7. Sołowijówka.

Gdy powstanie w Królestwie wybuchło, młodzież polska na Rusi z uniesieniem przyjmowała wieści o bohater-
skim porwaniu się na wroga. Dzięki właściwej wiekowi za-
palności, młodzież, pomnąc niedawne jeszcze powstania
ludowego na Ukrainie, liczyła na ten lud, wierząc, że w nim
znajdzie sojusznika i rwała się do szabli. Nareszcie w nocy
8. maja wyruszyło około 300 młodzieży z Kijowa w stronę
lasów powiatu radomyskiego, dla połączenia się z powstań-
cami tego powiatu.

Jednocześnie 21 ludzi, z których najmłodszy miał lat
15, a żaden nie liczył 25, wybrało się na niesłychanie odwa-
żną wyprawę w stepy, ogłaszać ludności ukraińskiej „Złotą
hramotę“, która jej niosła swobodę, uwłaszczenie i wzywała
do walki ze wspólnym wrogiem. Przedsięwzięcie było isto-
tnie szalone, poświęcenie się bezprzykładne, bo na stepowej
Ukrainie, gdzie ani las nie kryje, ani góra nie zasłoni, a woj-
sko moskiewskie wszędzie się znajduje, ludzie ci zginąć mu-
sieli pierwsi i niechybnie, czy to zasłaniając piersiami lud po-
ruszony, czy też spotkani przez ten lud z niedowierzaniem
i obojętnością. Młodzież ta wiedziała, że idzie na śmierć pe-
wną, lecz jest to cechą młodości, że w sprawach szczytnych
nawet i śmierć jej nie przeraża; to też żartem przezwali siebie
straceńcami.

Na stepie spotkała garstka nasza uzbrojonych konnych
włościan. Tu wobec uroczystej natury ukraińskiej przemówili
powstańcy do ludu gorącemi słowy. Młodość tych dzieci,
ich odwaga junacka, przemówiły do serca ludu więcej, ani-

żeli słowa, których może nie rozumiał dobrze; przeczuł lud
szczerą chęć młodzieży i rzewnem zbrataniem zakończyła się
ta scena. Był to jedyny szczęśliwy epizod w całej tej wy-
prawie.

Wieść o powstaniu przeleciała po Ukrainie, jak iskra
elektryczna. Popi i policya zwiększyli zabiegi, aby podburzyć
lud przeciwko powstańcom; w imieniu carskiem popi od
ołtarza obiecywali chłopom ziemie i majątki panów, upewnia-
jąc, że na przeszkodzie spełnieniu tych obietnic stoją tylko
powstańcy, że zatem w interesie ludu leży zgniczenie powsta-
nia. Słowo „pańszczyzna“ poruszyło namiętności tego cie-
mnego, a obdarzonego bujną wyobraźnią ludu i usposobiło
go złowrogo do powstania.

Fatalizm pchnął garstkę młodzieży w kierunku Soło-
wijówki, wsi słynnej z hajdamackiego usposobienia i z tra-
dycyjnej skłonności do rozbojów i kradzieży.

Zaledwie oddział wszedł do wsi, był natychmiast oto-
czony uzbrojonym tłumem ludu; uderzono w dzwony na
alarm. Na wieść, że Moskale są w pobliżu, powstańcy
zatrzymali się i uszykowawszy się pod płotem, czekali ich
nadejścia, aby walką z nimi, aby śmiercią w oczach ludu,
przekonać go o czystości swych zamiarów. Wierząc silnie,
iż nastąpiła dla wszystkich chwila ostatnia, chciał dowódca
w bezpieczne miejsce wysłać przez konnego pozostałe pie-
niądze, sztandar i nierozdane jeszcze hramoty, ale było już
zapóźno. Wszystkie drogi były już zajęte, a zresztą nikt nie
zgodziłby się na to, aby odłączyć się od towarzyszy w uro-
czystej chwili nieuchronnej śmierci, bo o poddaniu się Mo-
skalom nikt nie myślał.

Zmóźnienie nieszczęśliwej młodzieży było tak wielkie, iż
pomimo niebezpieczeństwa, które im groziło, powstańcy spali
stojąc w szeregu. Niektórzy mniej zmęczeni starali się wy-
tłómaczyć ludowi i przekonać go, że za swoją wolność i za
wolność ludu wystąpili do walki przeciw Moskalom. Wówczas
wysunęło się kilku starszych włościan i oświadczyło, że oni
nie chcą powstańcom uczynić nic złego, ale wypuścić ze
wsi nie mogą, Moskale bowiem całą wieś wymordowaliby za
to. Wskutek tego oświadczenia zgodzili się powstańcy zostać
we wsi w oznaczonej im chacie i tam oczekiwać Moskali
i w oczach ludu zginąć w walce z nimi.

Trudno wyobrazić sobie tragiczniejsze położenie! Młodzieńcy, co tak marzyli o pracy dla ludu i o jego wyzwoleniu na drodze swojej, w chwili gdy życie byli gotowi zań oddać, spotykają ten sam lud, jako wroga.

Idąc więc do chaty, zatrzymując przy sobie tylko rewolwery, którymi mają przywitać Moskali. Lud ośmielony, coraz szczelniej ścieśniał mały oddziałek. Niektórzy zaczęli sięgać po broń, złożoną na wozie. Wtem dubeltówka, niezgrabnie podjęta, wystrzeliła. Na ten strzał, który nie ugodził nikogo, zrobił się alarm straszliwy. Ktoś w tłumie krzyknął: „bij na śmierć“! i w jednej chwili lud się rzucił na nieszczęśliwych z siekierami i kołami, obalił, podeptał, strącał, a pomordowanych zaczął kaleczyć okropnie.

W pół godziny po okropnej tragedii przybył na czele dwóch sotni kozaków pułkownik Isajew. Kazał on wykopać wielką mogiłę, do której wrzucił ciała zagitych, a dających znaki życia odwiózł z początku do Brusilowa, a potem do więzienia w Żytomierzu.

Struś: Szkice z powstania, str. 83.

8. Pogląd na powstanie.

Nieszczęśliwy kraj powstał. Młodzież zaczęła powstanie wyjściem z Warszawy w Kampinowską puszcę i w lasy Sierockie — w dzień słoneczny, śnieżny, bez broni, bez obuwia, bez odzieży, prawie z gołymi rękami; z kijami, kosami i starami szablami rzuciła się na nieprzyjaciół i zaczęła zdobywać na nich broń palną. Broni tej zatem było bardzo mało, a do tego niewielu się z nią obchodzić umiało, niwielu wiedziało, jak nabić, a większość nawet nie miała pojęcia o celowaniu. W ciągu lat trzydziestu rozbrajani nieustannie biedni rzemieślnicy od igły, szydła i młota biegli na wezwanie Ojczyzny z gołymi pięściami do walki z nieprzyjacielem, uzbrojonym karabinu, a potem rzucali tę broń krwią nabytą, bo obchodzić się z nią nie umieli... Pod Radziwiłłowem jeden z powstańców nabił broń dziesięciu nabojami, sadząc kulę za kulą. Po opuszczeniu kurka, trącony własnym strzałem, został powalony na ziemię. Idący za nim, sądząc, iż towarzysz zo-

stał zabity, rzucił się dla podjęcia karabinu. „Nie ruszaj! zawołał leżący na ziemi — bo jeszcze dziewięć razy wystrzeli!“! Pomimo jednak braku wyćwiczenia, braku doświadczenia, występując przeciwko nieprzyjacielowi uzbrojonemu od stóp do głowy, powstańcy nieraz go pokonywali, nawet w pierwszych chwilach po wybuchu powstania, bo przewyższali wroga świadomością celu, poświęceniem, męstwem i wytrwałością.

W późniejszych miesiącach przedłużającej się walki, korzystając z oszołomienia wroga, dowódcy mieli już nieco czasu wyćwiczyć żołnierzy swoich, zorganizować z nich porządniejsze oddziały, nauczyć ruchów wojskowych i pewnych sygnałów, czy to na trąbce, czy na gwizdawce, nareszcie choć częścią uzbroić w lepszą broń, którą z nadzwyczajnym trudem i kosztem sprowadzano z zagranicy.

W obozach polskich powstańców, cudzoziemcy ze zdziwieniem spotykali pomiędzy szeregowcami ludzi zupełnie wykształconych, z którymi mogli mówić o wszystkich przedmiotach wiedzy ludzkiej; były to obozy całego narodu stojącego pod bronią. W powstaniu wziął główny udział stan średni, który wzmógłszy się w ostatnich kilkudziesięciu latach liczebnie, przyszedł był do pełniejszego poczucia obywatelskiego. Stan ten krwią własną zapisał istnienie swoje i stanowisko w narodzie, a niezrównaną wytrwałością, której nie posiadała szlachta i zawziętością, godną czci najwyższej, wielce zasłużył się Ojczyźnie. Jemu to zawdzięcza kraj uporność i wytrwałość powstania, które mu zaszczyt przyniosły. Niedopuszczanie włościan do praw politycznych było główną przyczyną upadku wszystkich poprzednich powstań. Ostatnie natomiast powstanie odznaczało się wybitnym charakterem równouprawnienia obywatelskiego i religijnego, a jeżeli upadło, to dlatego tylko, że chłopci przez wiele wieków uciskani, niedość jeszcze dla sprawy ojczystej zostali pozyskani. Mylnem jednak jest twierdzenie, że chłopci przeciwni byli powstaniu. Prawie we wszystkich oddziałach służyli dobrowolnie włościanie; wiele oddziałów na Litwie składało się wyłącznie z chłopów, którzy nawet dowódców wybierali z pośród siebie. Wszędzie po wsiach przyjaźnie przyjmowano powstańców, chłopci oddawali im wszelkie możebne usługi,

przed Moskalami zaś kryli się po lasach. Gdyby był dostateczny zapas broni, tłumy ludu można było łatwo poruszyć.

Kobiety polskie nie tylko przewoziły broń i korespondencje, ale i rannych, których wwoziły w lasy i niedostępne miejsca, gdy nadchodzili Moskale i opiekowały się nimi w ciągu choroby. Okropny widok ran i okaleczeń, pucynanych rąk i nóg, jęki i westchnienia boleści i męki konania nie odstraszały matek, żon i dziewcząt polskich od tych przybytków ludzkiej niedoli. Niedość było tam poświęcenia Siostry Miłosierdzia, potrzeba było i męstwa męczennicy, odwagi iście bohaterskiej, aby zginąć wraz z rannymi, gdy kozactwo odkryło lazaret — bo w takich razach często dzicz pałała dom, zabijała rannych i usługujących im, a co najmniej ciągnęła wszystkich do więzienia.

Na Litwie do jednego z obywateli przywieziono rannego powstańca. Ledwo ułożono go do łóżka, nieprzyjacieli otoczył dom. Rannego schowano do piwnicy. Przy rewizji spostrzegł oficer krwawe ślady na poduszce i zawołał: „Skąd ta krew? tu był powstaniec! gdzie on? Oddajcie mi go!“ Wtedy córka właściciela, młode dziewczę, słysząc te słowa w drugim pokoju, porwała nóż i zadała sobie głęboką ranę w rękę, a przestąpiwszy próg, rzekła do oficera, wskazując na krew ciekącą: „Ja w tem łóżku leżałam. Skaleczyłam się przypadkiem i ślad krwi pozostał na poduszce“.

Powstanie nasze nie znało hańby kapitulacji. W przeciągu całej wojny ani jeden oddział polski nie złożył broni przed wrogiem! Porażeni i otoczeni rozpierzchali się powstańcy, ale nie poddawali się. Bywały zaś wypadki, że wszyscy powstańcy w oddziale polegli, a żaden broni nie złożył. W wieluńskim powiecie oddziałek z 17 powstańców złożony, pod komendą podoficera, został otoczony przez rotę moskiewskiej piechoty; w pierwszej chwili, dowodzący podoficer, pochwycony przez Moskali, został powieszony na drzewie przy drodze rosnącym. Pozostałych kapitan moskiewski wezwał do poddania się na łaskę i niełaskę, lecz powstańcy mając broń, odrzucili wezwanie i stanawszy pod drzewem, na którym wisiał ich dowódca, postanowili drogo sprzedać swe życie. Otoczeni ze wszystkich stron przez 200 piechoty moskiewskiej, bili się godzin kilka i wszyscy padli pod drzewem, a żaden z nich nie ocalał.

A jakież to było nędzne, biedne i głodne nieraz życie powstańca! W niedostatecznym ubraniu i obuwiu, w zimie, w czasie trzaskających mrozów, wśród śniegów w czasie północnych wichrów, w czasie deszczów lub skwarów letnich, nocować i odpoczywać musiał zawsze pod otwartym niebem, nie znając, co to jest namiot. Wielu było takich, co przez rok cały jednej nocy nie spędzili pod dachem i na posłaniu. Pomimo starań dowódców i administracji krajowej, często w obozie, w polu i w czasie pospiesznego marszu, żołnierz narodowy przez wiele dni nie widział nic, prócz suchego chleba i kieliszka wódki. Wyplacanie żołdu istniało tylko na piśmie, bo pieniędzy nie było — słuźono więc, znoszono trudy niezmierne i oddawano życie tylko z poczucia świętego obowiązku. Braki te, trudy i cierpienia powstańcy znosili w przeważnej większości bez skarg i żalów, ginęli jak bohaterowie, a na mogiłach ich porosła trawa i niczyja ręka nawet drewnianego krzyżyka na nich nie postawiła.

Struś: Szkice z powstania, str. 306—323.

9. Organizacja. Komitet centralny.

Jadąc z Gaszyńskim do Warszawy z Krakowa, spóźnił się na komorę w Michałowicach, która była już zamknięta i zajechaliśmy do karczmy przy trakcie pomiędzy komorami, austriacką a rosyjską. Gaszyński wyszedł, około północy powrócił, przyprowadzając dwóch dwudziestokilkuletnich chłopów. Byli to pocztynioni. Przyszli, celem przeprowadzenia nas przez granicę, sposobem przekradanym.

Przewodnicy nasi przeprowadzili nas z ziemi naszej, dla mnie zakazanej, na ziemię naszą, również dla mnie zakazaną. Bezprawie uczyniło mnie wyrzutkiem z własnej Ojczyzny.

Prawo przyrodzone upoważniało mnie do gwałcenia bezprawia. Powiodło mi się to pomyślnie. W przechodzie przez granicę, w pobliżu komory, jedna tylko trapiła mnie niedogodność; trzeba było przeleźć na brzuchu przez psią w płocie dziurę. Przeszliśmy, Gaszyński z pocztynionem niższym odszedł, mnie zaś pocztynion wyższy do stajni wprowadził i pod zbożem na sianie schował. W schowku tym pozostawałem niedługo. Gaszyński załatwił formalności w biurze

pocztowem. — Z pod złoba wylazłem, na wózek obok Gaszyńskiego siadłem i po bitej drodze wyciągniętym ruszyliśmy kłusem.

Pocztylioni, co nas przekradli, zajęli mnie żywo.

— Walne chłopaki — odezwałem się do Gaszyńskiego. Ciekawym, ile też sobie zapłacić kazali...

— Nic...

— No... jakże?... zdziwiło mnie to.

— Do organizacyi przecie należą...

Jechaliśmy ostro. Okolicy w pomroku widzieć nie mogłem, zawinięty we futro, drzemalem po nocy poprzedniej bezsennie w wagonie spędzonej. Z drzemki wyprowadziło mnie nagle zatrzymanie się wózka pocztowego. Gaszyński z siedzenia zeskokczył; do okiennicy stojącego przy drodze domku w szczególny sposób zapukał. W dziesięć najdalej minut później na drugim siedzieliśmy wózku i pędzili drogą pocztową do stacyi następnej, przy której powtórzyło się pukanie szczególnie.

Przy stacyi dalszej powtórzyło się znów.

— Co to znaczy? zapytałem.

— To hasła umówione...

— Poczty więc?...

— Do organizacyi należą...

— „Czołem przed organizacją taką!...” powiedziałem sobie w duchu.

Pierwsze z nią zetknięcie się dobre, obiecujące wywarło na mnie wrażenie. Stała mi w oczach Polska cała w taki zorganizowana sposób. Gdyby zorganizowana była stale, nie z dziś na jutro, ale na zawsze, przed każdym powstaniem i po każdym powstaniu — jakżeby ona siebie szanować, jakby się z sobą liczyć kazała! Taka Polska mogłaby o przyszłość swoją być spokojną. Przyszłość zapewniałaby jej organizacya, czuwająca nad nią nieustannie i powołująca naród do czynu nie kiedy się zdarzy, nie kiedy miara cierpliwości się przebierze, ale kiedy nadejdzie sposobna i odpowiednia pora.

Przybyłem do Warszawy, wezwany dla narad w rzeczach wojennych, odnoszących się do powstania w ogóle, do kierownictwa powstaniem i zapewnienia mu powodzenia. Komitet centralny zamierzył był do obrad w tej materji zwołać

konferencyę wojskową z ludzi kompetentnych, a przeciwko wojnie powstańczej nie uprzedzonych.

O co chodziło? — o powstanie; na kiedy? — w miesiącu stycznia r. 1863.

Takie kwestyi postawienie samo przez się nasuwało i regulowało treść i porządek obrad, wywołując przedewszystkiem organizacyę i środki, a zasoby materyalne.

Organizacya, mniej więcej wykończona i porządna, obejmowała Królestwo; do Litwy zaś i na Ruś wkraczała odpryskami, żarzącymi się tu żywiej, ówdzie słabiej po miastach: w Wilnie, w Grodnie, w Mińsku, w Żytomierzu, w Kijowie, w Kamieńcu, w Odessie nawet. W tym względzie wnet wystąpiłem z objekcją. Zdaniem mojem, organizacya nasza, za cel powstanie mająca, objąć powinna była całą w jak najrozleglejszych granicach Polskę, a to dla rozerwania sił nieprzyjacielskich. Do tych względów czysto wojennych przyczyniały się względy polityczne; zadokumentowanie praw Polski do wydartych jej krajów, że Polska pamięta i myśli o nich, że się o ich los troszczy. Komitet zgadzał się na to i zapewniał, że czyni starania usilne celem zcentralizowania organizacyi na Litwie i Rusi i nadania jej takiego, jak w Królestwie rozwoju. Zapewnienie to nie wiele znaczyło wobec krótkości czasu, którego prowincye te ze względu na stosunki lokalne, więcej aniżeli Kongresówka do zorganizowania się porządnie potrzebowały.

Co do środków i zasobów materyalnych, polegały one całkowicie na pieniądzach, osiągniętych drogą podatku, nałożonego przez Komitet i płaconego przez obywatelstwo. Na zapytanie moje, jaką wysokość wynosi kwota pobranego dotychczas podatku, jeden z członków Komitetu przyniósł spory blaszany kuferek. W kufierku tym, gdy został przy mnie otworzonym, ukazała się zapelniająca go moneta papierowa rosyjska. Nie wiem, ile tam być mogło tysięcy rubli, mogło atoli starczyć na zakupno broni w takiej ilości, ile potrzeba było na uzbrojenie oddziałów, powołanych do rozpoczęcia ruchu orężnego w oznaczonych na ten cel z góry punktach. W tym sensie uwagę uczyniłem i otrzymałem odpowiedź, że nie na inny tylko na ten cel, pieniądze te są przeznaczone i że są już gotowi wysłańcy, którzy we Francyi i Belgii broni, ile się da, zakupią i drogi do prze-

wiezienia jej otworzą. Strzelby myśliwskie i tradycyjne kosy braki uzupełnią w pierwszych chwilach wybuchu, który przygotować i wykonać w taki należy sposób, ażeby powstanie nadal, własnym zawijając się impetem, własnym żywiło się sumptem.

— Rozwiązanie tego zadania do was należy ludzi wojskowych — odezwał się któryś z członków Komitetu.

— Do rozwiązania każdego zadania potrzebne są dane odpowiednie — odparłem.

I z zarzutem wystąpiłem przeciwko dacie powstania — dacie, która zdaniem mojem, była zanadto ryzykowną pod tym właśnie względem, że w razie niepowodzenia narazi kraj na fiasco.

— Lepiej zginąć szlachetnie, aniżeli porwać się i głupio klapnąć.

Z tego punktu wywiązała się dyskusya, która ustawała i wzmacniała się z dnia na dzień. Przedstawałem im, że na samo zakupno i sprowadzenie broni mało dwa miesiące czasu, że broń, gdyby na czas sprowadzoną być mogła, to do i dla Królestwa tylko, a zatem Litwa i Ruś nie będą korzystały — nie będąc zorganizowane, nie wezmą w powstaniu udziału.

— Nie możnaby popisowych przenosić z powiatu do powiatu, z guberni do guberni?... Wysłać część do Galicyi?... część na Mołdawię?... i w ten sposób nie tylko pobór udaremnić, ale rekrutów moskiewskich na powstańców przerobić!

— Myśleliśmy o tem... Toby się zrobić dało, gdyby nie bruzdzili nam Mierosławczycy, wskazując datę poboru, jako rodzaj święta nad świętami, rezurekcyi polskiej... Mierosławski z jednej strony, Wielopolski z drugiej, dwom tym naciskom nie sprostamy... Moglibyśmy ustąpić, usunąć się i ręce umyć, alebyśmy zawiedli zaufanie, jakie w Komitecie centralnym pokłada kraj, a które nas obowiązuje robić wszystko, co w naszej mocy, ażeby odpowiedzieć zaufaniu tych, co się powstania domagają i pieniądze na nie nie nam, nie Mierosławskiemu ani komu innemu dają.

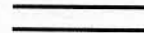
Pieniądze widziałem, domagania się słyszałem, istnienie i funkcjonowanie organizacji sprawdziłem. Miałem powiedzieć: „wątpię“ — i usunąć się?... Wątpiłem w możliwość



ARTUR GROTTGER: CHŁOP POLSKI I SZLACHTA
(Z CYKLU WARSZAWA)

dokonania przygotowań w samej nawet Kongresówce i wogóle w powodzenie powstania. Wątpienie nie jest dowodem, jest zaś zawsze pretekstem do usuwania się wobec niebezpieczeństwa dla zajętych serc. Jam w piersi nie czuł serca tego rodzaju. Wątpienie przytem — czyż zawsze się sprawdza? Do walki z czysto techniczną potęgą Rosyi występowała potęga zapалу: kto wie, jaka w tej ostatniej tkwi siła? Kto tę siłę mierzył i zmierzył?... Powiedziałem więc sobie: „Ma się spełnić ofiara, niech się spełni“.

Z. Miłkowski: (Ks. pamiątkowa 40-lecia), str. 278.



CZEŚĆ DRUGA.

KIEROWNICY I BOHATEROWIE POWSTANIA.

1. Romuald Traugutt i jego dyktatura podczas powstania.

Podczas licznych usiłowań naszych wyjarzmiania się zwykliśmy powtarzać słowa Pisma: „Hominem non habuimus“ — „człowieka nie mieliśmy“. W wielu razach okrzyk słusznym mienić się mógł, lecz nie zawsze. Styczniowe powstanie posiadało męża niepospolitego, cnót obywatelskich wyjątkowych, który umiał się wzniesć ponad tłum i wypadki, zdołał sięgnąć okiem szerzej, niż inni i kierować całą machiną powstańczą dłonią energiczną i twardą pół roku, a więc dłużej niż trzecią część okresu walki. Mąż ten wybitny a niezapomniany — Romuald Traugutt.

Dni lipcowe 1863. posiadały jeszcze znaczną liczbę ludzi poświęcenia. Powstanie trwało wówczas w swej mocy całej, przynajmniej w Królestwie, gdzie około 1 sierpnia liczone pod bronią we wszystkich oddziałach powstańczych 30.000 zbrojnych. Nieliczne oddziały na Litwie rozprószone, kryjące się wśród lasów, do obliczenia były trudne; tam jednak każdy ze zbrojnych, ze względu na charakter, duch patriotyczny Litwinów, wysoce rozwinięty, ze względu na obycie się z bronią, przy upowszechnionem łowiectwie, każdy, powtarzamy, zbrojny, mógł być liczony za trzech powstańców z innych okolic Polski.

Ci strzelcy z zawodu, oswojeni od dzieciństwa ze strzelbą, z puszcza, z dzikimi ostępami, w których umieli wybornie zasadzki lub pościg czynić na grubego zwierza, ścigać go, osaczać, chronić siebie od napadu niedźwiedzia, od skoków rysia i kopyt łosia, zastosowywali teraz swoją łowiecką sztukę do partyzanckiej walki. Na żołnierza ci łowcy przekształcili się szybko, na żołnierza tem celniejszego, iż nie tylko mogli, umieli działać samodzielnie, zeznawczo stawać do wykonania tych lub owych obrotów, lub forteli wojskowych, ale ożywiały ich duch bez zaprzeczenia wielki; owi ludzie, z szeregu ówczesnej, litewskiej partyzantki, odznaczyli się patriotyzmem podniosłym, bez względu, czy z bardziej czy też z mniej wykształconych warstw pochodzili; i ów duch podniosły, ów patriotyzm, czysty niby łą, dźwignią się stawał w prywatnych, w trudach obozowych, w cięższych daleko na Litwie, niż w Koronie łośach ówczesnych powstańców. Twardymi były losy ówczesnych powstańców w Królestwie Kongresowem, lecz o wiele cięższymi były prywatnie i warunki trudne, z którymi się ścierał powstaniec litewski. Z tych szeregów litewskiego powstania o hartownym duchu poświęcenia, o patriotyzmie podniosłym, a czystym niby kryształ, z tych ludzi wielkiej wiary w moc Boga, z tych szeregów gorąco miłujących ojczyznę wyszedł ten, co zdołał w chwilach najcięższych dla powstania wziąć je na swe barki, ująć rozsypaną się organizację w żelazne kleszcze woli i siły i sterować tą słabnącą łodzią walki do bohaterskiego końca swych dni — wyszedł mąż wybitny a niezapomniany wśród narodu — Romuald Traugutt.

Traugutta oddział, złożony przeważnie z mieszkańców Kobrynic, nie należał do najliczniejszych, był wszakże przy całym ubóstwie środków, dobrze zorganizowany i odznaczał się niezwykłą karnością. Karność, ład, dyscyplina wojskowa nader ostra, którą Traugutt swą stanowczością wprowadzić umiał, wyróżniały ów oddziałek od innych. Taka karność spotykała się tylko u niego, lub u Edmunda Różyckiego na Wołyniu, w pułku jazdy wołyńskiej. W obu też rzeczonych oddziałach dowódcy cieszyli się taką niezwykłą miłością swych żołnierzy, jak się to gdzieindziej nie spotykało. W latach późniejszych, na ziemi wygnania, żołnierze oddziału

Traugutta na wspomnienie o wodzu odpowiadali łąą głębokiego żalu...

Owa noc przerażającej ciemności z dnia 7 na 8 maja, która była chwilą wybuchu w prowincjach położonych na południe od Prypeci, patrzyła na wystąpienie Kobryńskiego oddziału; miał nim Traugutt dowodzić. W głuchym, leśnym ostępie, na gruntach miasteczka Autopola, położonego o 4 mile na wschód od Kobrynic, zebrał się poraz pierwszy oddział Kobryński czyli Traugutta, liczył on 160 zaledwie ludzi, którzy, chociaż zaliczali się do różnych zawodów, wszakże większość zaznajomiona była z myślistwem... Wpędce po północy przybył dowódca i w chwili, gdy słońce miało się ukazać z poza błot i lasów ościennej Pińszczyzny, powitał tę garstkę zbrojnych, które; miał przewodniczyć, energiczną przemową.

Przemówienie krótkie, nacechowane siłą, wywarło wrażenie niezmiernie. Zapal tych ludzi, pełnych poświęcenia bezbrzeżnego, tych bezimiennych bohaterów, wzrósł do najwyższej potęgi. Poprzysięgli na owej leśnej polanie spełniać godnie obowiązek polskiego żołnierza i spełnili go, więcej niż ze ścisłością, z bohaterstwem.

Traugutt w swych przemówieniach publicznych, których zaledwie kilka słyszano, wywierał wielkie wrażenie, ani głos, ani postawa nie wskazywały mowcę, lecz prawda tryskająca z każdego słowa, prawdziwe uczucie, stanowczość, logika niczem nie przeparta, czyniły zawsze silne wrażenie. Tem jędnym słowem, ba i przykładem własnym, prowadził na wroga swój oddział i nauczył go wpędce zwyciężać, acz w nierównym boju.

Po kilku zwyciężkach potyczkach, choć zwyciężeni pod Kołodnem, traugutowscy żołnierze nazajutrz znowu stanęli pod swą chorągwią, ale wódz był chory i warunki dalszego marszu przez Polesie tak trudnymi się okazały, iż Traugutt podzielił oddział na dziesiątki i ku Kobryńszczyźnie zalecił im oddzielnymi gromadkami dążyć, trzymając się różnych dróg i ścieżek. Sam zaś z dwudziestu najdzielniejszymi czas jakiś posuwał się za nimi, lecz choroba zniewoliła go szukać wypoczynku. Żołnierze jego pod innem dowództwem dalej dążyli, lub szukali dla siebie później innych oddziałów, a Traugutt w bezpiecznym schronieniu nieco wypocząwszy, wyle-

czony i z siłami wzmocnionymi, podążył przez Kobryńskie i Podlasie do Warszawy, gdzie stanął w ostatnich dniach lipca.

Więcej niż dwa tygodnie od owej chwili bawił Traugutt w Warszawie, głównie, wyłącznie nawet, oddając się studyt waniu ówczesnego powstania, wychylając się mało na ulicę, nie tracąc już i wówczas wcale czasu na wizyty lub czcze gawędy. Zresztą bezcelowe przepędzanie czasu zawsze od niego stało zdala: wszystko, co w ówczesnej Warszawie przykładało rękę do robót powstańczych. — a kto do nich wtedy ręki nie przykładał? — pilnie krzątało się, tembardziej udziałem to stawało się tego czynnego umysłu... Pierwsze kroki, postawione na ówczesnym podminowanym przez powstanie bruku warszawskim, orzekały niejako o dalszych losach Traugutta. Przypatrywał się pilnie, przysłuchiwał się, o ile zdołał, w zakresie dostępnym wówczas dla siebie t. j. w zakresie spraw wydziału wojny — i postanowił nie wracać do obozu, ale swe siły, uzdolnienie, całego siebie niejako złożyć w ofierze sprawie narodowej. Na czele malutkich oddziałów, rozprószonych po obszarach Litwy mogli stać inni, on był powołany do szerszej działalności, na obszerniejszym widnokręgu, niż dowodzenie małymi oddziałkami wśród puszczy i dzikich ostępów litewskich. Sam zeznawał to wówczas wybornie, gdy o kilka miesięcy później, podczas swej tajemnej dyktatury, rzekł raz poufnie do mnie, którego w ostatnich miesiącach życia zaufaniem wielkiem obdarzał: „Zauważyłem, iż po lasach Polesia może chodzić kto inny“... Nie dodał wprawdzie: „ja zaś mogę się przydać gdzieindziej z większym pożytkiem“. Konkluzya jednak sama przez się nasuwała się. On, widocznie, przedewszystkiem niezbędnym był w głównem centrum robót powstańczych.

Dyktatura Traugutta dnia 14. października.

Październikowa zmiana Rządu, wytwarzająca tajemną dyktaturę Traugutta, nie może się mienić ani zamachem, ani przewrotem, wpływającym z knoń spiskowych, było to jawne, przyjęte z oklaskiem przez wszystkich, rozpędzenie żywołów, które długo bruździły, a nikt nie ośmielił się stawić czoła i ich usunąć bodaj brutalnie. Dokonał tego mąż nie-

pospolity, który prawdziwie opatrnościowo staje na zachwianym gruncie władzy, aby podnieść jej moc i urok — i gdy nie stało dla niej miejsca na ziemi, oddać ją czystą i ofiarną Bogu. Posłannictwa tego podjąć się mocen on był jedynie, podjął się i spełnił je po bożemu, gdyż zaiste postać to wśród przedniejszych najprzedniejsza, wśród czystych górująca.

Wieczorem tegoż dnia już dyrekcje wydziałów były obsadzone, o ile możność pozwalala najlepiej. Przewodniczący w nowej tej kombinacji, która miała trwać najdłużej, ze wszystkich przedtem zawiązujących się, oświadczył dyrektorom wydziałów, że Rząd Narodowy to on, że z nim tylko bezpośrednio komunikować się będą, że on wreszcie, stosownie do własnego uznania, bądź zawiąże pewne koło rządzące, bądź nie, z ludźmi mu wiadomych, w sposób jedynie jemu wiadomy, lecz i w takim razie całą odpowiedzialność wzięłby na siebie; wszystkie zaś najwyższe stojące czynniki od niego jedynie rozkazy brać, jemu posłusznymi być mają. Rzecz tak postawiona w pierwszym dniu rządów Traugutta nie była zmieniona aż do ostatniego dnia jego władzy i prac, który to dzień był już zarazem ostatnim dniem jego wolności (10 kwietnia 1864). Żadnego koła rządzącego on nie zawiązał. Od pierwszej do ostatniej chwili swych rządów, w ciągu 6 miesięcy, sam był wszystkim: był dyktatorem tajemnym, o dłoni więcej niż sprężystej, o dłoni żelaznej, o takiej dłoni, jaka zawsze potrzebna dla polskich usposobień.

Dyrektorowie wydziałów zmieniali się, stosownie do okoliczności różnych, ale on wciąż, w ciągu owego ciężkiego półroczia rządów swych, był jeno sam, dźwigał na własnych barkach ciężar władzy i ciężar odpowiedzialności, z nikim troski niesienia brzemienia tego nie dzielił; współrządzących nie miał; obok niego, ani też nad nim nikogo nie było.

Sprawowanie dyktatury, praca nad rozwiązywaniem ciężkich zadań, wynikających z brzemienia, które na swe barki dyktator tajemny wzięł, odrazu, omal nie od pierwszego dnia, weszły w karby porządku, systematyczności wojskowej, od której nie odstępowano aż do końca, bez względu na trudności, piętrzące się coraz bardziej, bez względu na przegradzające się szeregi pracowników, na grunt z pod nóg usuwający się, niemal codziennie, opadający niżej i niżej. Zap-

dano w przestrzeń bezdenną, ale dyktator stał u steru, wciąż spokojny, wciąż jednak, bez wytchnienia pracujący. Nic go nie trwożyło, nic nie osłabiało wiary w jutro, które umysł jego widział pomyślniejszem. Przetrwac, przetrwać, bądź co bądź — to jego hasło. „Umieliście pracować w warunkach lepszych, przyzwyczajcie się do gorszych, uczcie się pracować i w najgorszych“ — mawiał do tych, których ciągle przeciwności przerażać zaczynały, wytrącały im z ręki oręż, a z serca wiarę w przyszłość.

O tragicznym końcu swym, jako o rzeczy bardzo możliwej, wciąż on myślał i wcale nie dorywczą to myśl, rzucaną w jednym z listów jego, pisanym w lutym 1864 r. do pewnego wybitnego dowódcy powstania; widzimy tam słowa wybornie odzwierciedlające jego pojęcia o władzy i o swej codziennej, zagrożonej nieustannie pozycji. „U nas — pisze on — władza nie jest celem ambicyi, ale aktem poświęcenia, a to, co głosimy, nie jest piękną tylko i czczą formą, ale wynikiem naszych przekonań, prac i trudów całego życia, pojęciem tak stałem i niezłomnem, że za nie w każdej chwili też życie dać jesteśmy gotowi i codzień je narażamy“.

I rzeczywiście „codzień je narażał“ w tych wycieczkach na sesje z dyrektorami wydziałów i na owych sesjach, które zmieniały wciąż miejsce posiedzeń; niebezpieczeństwa nieraz jeszcze groźniejsze urastały z drobnych niekiedy przyczyn, potrzeba było nieustannie mieć się na baczności. Jak dalece ostrożność zachowywaną była przy widzeniach się z różnymi, to komisarzami, to agentami, powołamy się na jednego z wiarogodnych działaczy ówczesnych, mających możność osobistego zetknięcia się z Trauguttem za dni jego dyktatury. Oto dr. J. Łukaszewski, komisarz pełnomocny w zaborze pruskim, pisząc o swej audyencji, jaką miał u Traugutta, tak się wyraża: „Traugutt zawezwał mnie na konferencję w cztery oczy. Dla większego skupienia ducha konferencja odbyła się wieczorem, w ciemnym pokoju, przy zamkniętych drzwiach“. Nie o większe skupienie ducha tu chodziło, ale była to jedna z licznych ostrożności przedsięwziętych w celu zabezpieczenia się od różnych, drobnych niekiedy wypadków, sprowadzających wielkie następstwa, brzemienne klęskami.

Po ukończeniu konferencji codziennych, około 7-ej lub 8-ej godziny wieczorem, wracał do swego zacisza dyktator

strudzony i wówczas to miał jedyną chwilę wytchnienia, trwającą dwie godziny, czasem nieco dłużej. Wtedy przybywał do niego, zdając sprawę z udzielonych mi poleceń i następowała długa rozmowa, która po ukończeniu urzędowej wymiany myśli, wchodziła na tory przyjacielskiej pogadanki, podczas której dyktator zażywał prawdziwego wytchnienia... Wśród poufnych rozmów, w których dyktator zawsze okazywał się człowiekiem pełnym wiary w swą misję, kończył się dzień w cichej izbie samotnego domostwa na ulicy Smolnej. 10-ta godzina wieczorna była hasłem rozejścia się. I lampa postawiona wówczas na biurku dyktatora, przyświecała jeszcze rozbicie z piórem w dłoni jeszcze trzy, cztery godziny. W owych to nocnych godzinach powstawały te liczne depesze, odezwy, listy, instrukcje, które tak oficjalnie za dni dyktatury wychodziły z pod pióra Traugutta.

O godzinach popołudniowych głuchej nocy zimowej gasła wreszcie lampa samotnika, który w modlitwie szukał ukojenia po znoju pracowitego czuwania i myśl zwrócona ku przedwieczności zamykała dobę trudu.

Jaką widzieliśmy jedną dobę, takimi wszystkie były dni Traugutta. Wszystkie jednakie, poświęcone jednej myśli, jednym uczuciem przejęte. Smutny, niby w więzieniu zamknięty, wpatrzony w przyszłość mającą przynieść wyzwolenie narodu, Traugutt przez cały półroczny okres dyktatury, stał już nieustannie niby na rusztowaniu, u słupa szubienicy: wszystkie swe myśli, uczucia, całą swą przeszłość, wszystkie swe rodzinne ukochania poświęcał codziennie na ołtarzu niepodległości Ojczyzny. Ile dni upłynęło podczas jego rządów, tylekroć razy on poświęcił siebie, całą swą ziemską istotę dla idei, którą żył, ku której urzeczywistnieniu dążył.

Dyktatury znamieniem głównym wiara w zwycięstwo bez obcej pomocy. Taką wiarą przejęty był sam dyktator, taką pragnął przelać w serca swych współziomków. Przelanie wiary w niechybne zwycięstwo w serca swych współpracowników, w serca ogółu ziomków oddających się zwątpieniu i beznadziejnej rozpaczce, to praca olbrzymia, na którą siły dyktatora — niestety — bezowocnie zużywały się; by cel ten najbliższy osiągnąć, należało walczyć z bojaźnią, ze zwątpieniem coraz wzrastającym tłumów. Zniechęcenie, opuszczanie omdlałych dłoni rozszerzało się z niezrównaną szybkością

wśród narodu, przelatywało kraj z gwałtownością pożaru, niszczącego słomianą strzechę.

Pomimo zwątpienia rozpaczcy, które ku końcowi dyktatury przeważnie zaczęły w kraju wzrastać i rozszerzać się w pierwszych tygodniach Trauguttowskich rządów, dużo otuchy wstępowało do serc i umysłów zastępów organizacyi, a z ich umysłów ten pierwiastek wiary w siebie samych zaczął potroszę przenikać do szerszych kół społeczeństwa. Pod kierunkiem stanowczej dłoni dyktatora sprawy powstańcze zaczęły iść porządniej, szybciej i raźniej, „wiara i otucha w lepszą przyszłość — jak twierdzi jeden z przedniejszych urzędników organizacyi — w serca wstąpiła“. Dyktator wszelkich wysiłków nie żałował w celu utrzymania tej „wiary i otuchy“: przeświecają jego usiłowania w rzeczonym celu łożone w mnóstwie listów, instrukcyi, które zarówno do władz wojskowych, jak i cywilnych redagował i wysyłał.

W czasach nawet najgorszych, gdy zwątpienie rozwielać się zaczęło i górować ponad wszystkim — na dwa tygodnie przed swem uwięzieniem — nie przestaje Traugutt przemawiać słowem takiej energii i pewności siebie, jakby w dniach pogodnych dla powstania, które to dni już były dla nas stracone. Oto, jak woła do jednego z dowódców: „K. niech rusza coperdziej, a po wyjściu podsyłać mu ludzi i broni. Bić się tem trzeba, co mieć można, nie czas wybredzać i przebierać. Zapomniał, że w roku zeszłym szczęśliwy ten był, kto z dubeltówką wychodził. Więcej wiary i energii, a mniej wymagań, to się rzeczy prędzej zrobią“. A na dni kilkanaście przedtem, w innych sprawach snuje nic śmiałych konjunktur i tak wyrazami zachęty przemawia: „Bywa czasem, że to, co dziś do prawdopodobnych rzeczy zaliczyć trudno, jutro okazuje się prawdziwym. Miejcie się przytem na baczności i bądźcie gotowymi na wszystko“.

Dla urzędników organizacyi, przekraczających swe atrybucye, był surowym; przeważnie w miejskiej organizacyi Warszawy spostrzegać się to dawało; wedle jego wskazówek ową organizacyę stolicy oczyszczał pilnie z chwastów warcholstwa naczelnik miasta, energiczny Waszkowski. „W urzędach naszych mieć chcemy gorliwych wykonawców woli naszej; sądzić nas kto inny hędzie“, tak pisał dyktator do jednego z wyższych funkcjonaryszy powstania i myśl w po-

wyższych zawarta wyrazach przewodniczyła jego postępowaniu w stosunkach z władzami mu poddanymi. Rygor, karność wojskowa, górująca niegdyś w jego maluczkim obozie powstańczym wprowadzone były, o ile się dało, do szeregów organizacji cywilnej. Wichrowatym głowom dawano dotykalnie do poznania, że ich czas przeminął, że bruźdzenie dalsze niemożliwe... Traugutt wszelkich usiłowań dokładał, aby z oddziałów powstańczych, rozrzuconych po kraju, niemających z sobą żadnej wojskowej spójni, gdzie każdy dowódca mienił się i był rzeczywiście „właścicielem oddziału“, utworzyć wojsko, o ile możność pozwala, regularne, a przynajmniej kadry wojska. Nazwy nawet takie jak „partya“, „oddział“ zostały usunięte na mocy dekretów dyktatora: natomiast występuje nazwa „wojska“.

Uwięzienie Traugutta.

Dnia 10 kwietnia 1864. uwięziony został Dubiecki. — „Nie wiemy, jak długo czuwał Traugutt wieczorem w dniu tym, gdy smutnymi myślami był przynębiony, który to dzień stać się miał ostatnim dniem jego dyktatury, ale wiemy, iż o godzinie 1-iej w nocy posłyszał bardzo głośne, natarczywe dzwonięcie. Udał się do pokoju środkowego i zakołatał mocno do drzwi Kirkorowej (gospodyni domu), mówiąc: „Po panią przyszła policja“.

Przerażona kobieta, nie tracąca wszakże nigdy panowania nad sobą, pośpieszyła odemknąć drzwi główne, u których już od dłuższego czasu dzwonięto. Nie było wątpliwości, iż naszli dom, by kogoś uwięzić.

Orszak zbrojny zapytał o lokal p. Michała Czarneckiego i tam wtargnął. Traugutt był w łóżku. Ujrawszy wchodzących, rzekł ze spokojem sobie właściwym: „to już“.

Tak, już wszystko runęło, już z poza osłony złudzeń stawała przed nim rzeczywistość straszna, nie dla niego — bo siebie oddawna poświęcił dla ojczyzny — ale straszna dla Polski wchodzącej do nowego cyklu cierpień; już stał przed nim kielich ofiary, przeznaczony do spełnienia — spełnił go tak wzniośle, jak wzniosłem a niezwykłym było to jego przejście przez ówczesną arenę dziejową.

Śmierć Traugutta.

4 sierpnia — a był to czwartek, dzień pogodny, ciepły, tak bardzo słoneczny, iż zdawało się, mógłby rozniecić nadzieję nawet w sercach samotnych więźniów — około 10 z rana, byłem (Dubiecki) wyprowadzony na chwilową przechadzkę. Przechodząc koło jakiegoś drewnianego przepierzenia w korytarzach więziennych, posłyszałem głos donośny: „Czego się przechadzasz? Wracaj do swej celi; pięciu kapucynów przybyło, zapewne jeden dla ciebie“. Głos to był Jarosława Dąbrowskiego, który od roku przebywając w więzieniu cytadeli, wybornie obeznał się ze wszystkimi sposobami komunikowania się z więźniami i nieustannie przekraczał przepisy więzienne. Wróciłem do swej celi i wnet zatelegrafowałem do Traugutta... Odpowiedź brzmiała: „Mam księdza“. Kiedy po paru godzinach z Nr. 19 (cela Dubieckiego) do 20-go (Traugutta) znowu zakołatano, odpowiedź po dłuższej chwili nadeszła: „Modlę się“. Dobę całą spędził więzień z 19 numeru u muru oddzielającego od celi Traugutta, oczekując, ażali pukanie nie wydzwoni chociaż jednego słowa. Godziny jednak upływały i najmniejszy szmer z poza ściany nie dobiegał. Więzień czekał dzień cały, czekał noc całą, nie udając się wcale na spoczynek. Cekał i modlił się wśród nocnej ciszy... Ciszy nic nie przerywało. Powoli upływały godziny dnia, a jeszcze wolniej biegły godziny nocy; jutrenka, zwiastun dnia straszego, owego 5 sierpnia, weszła do celi więźnia i zastała go w tej pozycji, w jakiej zostawiło zachodzące słońce. Ciszy z poza muru nic nie przerywało. Aż wreszcie, około godziny 8-mej z rana, szybko wydzwoniło pukanie jeden wyraz... wyraz ostatni: „do widzenia“. Po chwili rozległ się szczeń broni i przyspieszone ciężkie kroki wielu dały się słyszeć u drzwi celki oznaczonej Nr. 19. Tłum zbrojny szybko przeszedł, a echo przejścia wprędce umilkło w głębi budynku. Traugutt to szedł na śmierć. W godzinę potem na stokach cytadeli tracono go. Inkwizycya pragnęła traceniu Traugutta nadać niezwykły rozgłos, wytworzyć z owej chwili epilog powstania. Pod tym ostatnim względem miała słuszność zupełną: był to epilog.

Powstanie skończyła w ową noc kwietniową, gdy Traugutta ujęto; zgaśnięcie powstania stało się zarazem chwilą zgaśnięcia władzy powstańczej Rządu Narodowego. We 4 miesiące po zgaśnięciu Rządu Narodowego Rosya, święcąc swój tryumf u słupa szubienic, na stoku cytadeli warszawskiej dnia 5 sierpnia 1864 r. ogłosiła światu o owym zgonie władzy powstańczej, wcielającej w sobie wolę najwyższą narodu i ideę jego niepodległości.

Spowiednicy wnet po egzekucji podążyli do domów i rodzin straconych i zdawali sprawę z tego, co przed ich okiem przesunęło się... Spowiednik Traugutta nie miał do kogo udać się. Zamordowany dyktator nikogo z rodziny nie miał w Warszawie; ale wiemy, że dysponujący go na śmierć kapucyn zdumiał się wobec ogromu rezygnacji, wobec nieskazitelności duszy a chrześcijańskiego bohaterstwa, z jakim Traugutt śmierć spotykał. Bolesną pracę dysponowania skazanych podejmował ten kapłan w życiu swem wielokrotnie, lecz jak twierdził, pełen kornego podziwu, nie spotykał nigdzie, chyba na kartach martyrologii, ludzi, którzyby szli ku bramom wieczności z takim spokojem prawdziwie nieziemskim, z jakim szedł Traugutt.

W kilka dni po zgonie Traugutta, gdy na stokach cytadeli warszawskiej wznoszono nowe szubienice dla trzech skazanych, z których dwóch z rusztowania miało pójść na Sybir, dysponował jednego z mających być ocalonymi tenże kapłan, który Trauguttowi towarzyszył w ostatnich chwilach pod szubienicą. Otóż ów kapłan, dysponując na śmierć swego penitenta, jako wzór prawdziwie chrześcijańskiego zgonu, sławił mu naprzód bohaterów, ginących dla imienia Chrystusowego, na arenie pogańskiego świata, a obok nich podnosił imię Romualda Traugutta. To imię miało wzorem być, źródłem odwagi, przykładem wzniosłym dla skazanego. Gdy wreszcie egzekucya rozpoczęta nie została dokonana i skazany zstąpił z rusztowania, wówczas kapłan uradowany darował mu krucyfiks, z którym w dłoni Traugutt umierał: „Nic cenniejszego dać ci nie mógłbym, mój synu, nad tę pamiątkę po owym mężu prawdziwie świętym“, mówił kapłan odchodzącemu. Zdarzenie to jest jeszcze jednym świadectwem owego bohaterskiego ducha Traugutta, który wszędzie i zawsze, czy na polu pracy, czy w epoce ostatnich wysiłków, gdy pod-

nosił wysoko sztandar Polski wojującej o niepodległość, czy na rusztowaniu, był podziwem dla wszystkich.

Maryan Dubiecki: Wyjątki z dzieła: Romuald Traugutt.

2. Ludwik Narbutt.

Urodzony w powiecie lidzkim od samej kolebki otoczony był pamiątkami przeszłości — i mimowolnie czuć w sobie musiał tętno życia narodowego. Rodzina ojca przeważna niegdyś wpływem w okolicy, przez długie pokolenia wszystkie urzędy powiatowe w Rzeczypospolitej piastowała, nosiła więc w sobie tradycję tej średniej klasy narodu, która polityczny jego żywot streszczała w sobie; ojciec Ludwika, Teodor, oddany nauce dziejów, autor ogromnej 10-cio tomowej historii Litwy, całą myślą i duszą żył w tej przeszłości, którą dla swego pokolenia rozświecał i opowiadał. Matka przeciwnie, córka ubogiego rolnika, żołnierza niegdyś Kościuszkowskich czasów.

Pierwsze lata dziecinne przeszły szczęśliwie, na zabawach z młodszymi braćmi, wśród tkliwych pieśczęt matki, której opowiadania o ojcu i Kościuszcze, obok zajmujących wszystkich powieści o świeżo ubiegłym 31 r. kształciły najpierw jego wyobraźnię i myśl dziecięcą budziły. Ale bardzo prędko przyszły osobiste dotkliwe wrażenia. Zaledwo chłopięcych lat dorastające dziecko ujrzało ojca uwięzionego, zamkniętego w klasztornej celi w Wilnie. Pamięć gwałtu i poczucia obcej przemocy została niezatarta w sercu.

Młody, żywy, bujną wyobraźnią obdarzony umysł, zaczął skupiać się w sobie, przetrawiać te wszystkie wrażenia i powoli rozbudziły się w nim właściwe wszystkim wyższym naturom w tych latach rojenia o wielkich czynach, poświęceniu się, o niezwykłym losie, przeplatane dziwnem czasem na siebie samego spojrzeniem. Matce utkwilo w sercu, co raz w tej epoce, patrząc w lustro, powiedział: „Matko, będzie ze mnie albo wielki człowiek, albo wielki łotr“.

Zaledwo podrośł trochę, oddali go rodzice do szkół do Lidy, skąd później przeszedł do wileńskiego gimnazjum. W dzieciństwie już piosenki i drobne wierszyki układać lubił, ale w miarę jak podrastał, zaczęła go coraz bardziej

zajmować historia. Zebrane przez ojca i rozstawione w ogrodzie kamienne fetysze (bożki) litewskie, stały się jego przyjaciółmi, powiernikami młodzieńczych myśli i marzeń, nieraz długie godziny wśród nich przesiadywał, szukając na kartach pisanej przez ojca historii ich znaczenia, albo próbując sam odgadnąć zamkniętą w nich myśl ubiegłych pokoleń.

Pierwsze miesiące 48. r. minęły cicho, nowe tylko ofiary zaczęły zaludniać opróżnione przed rokiem więzienia. Ale wkrótce miała przyjść kolej i na młodego Ludwika. Przed Bożem Narodzeniem, wskutek jakiejś denuncjacji, o północy policja z wojskiem otoczyła mieszkanie biednego studenta, rozbudzonemu powiedziano, że jest aresztowany i odbyto najściślejszą w jego pokoiku rewizję. Nie znaleziono nic, na nieszczęście jednak była między szpargałami studenta kartka treści zupełnie niewinnej, przez niego do kolegi pisana, w której się podpisał Orzeł-Krzyż. Biegła w układaniu zarzutów oskarżających komisja śledcza chciała w tem widzieć dowód jakiegoś spisku i zatrzymano młodzieńca w więzieniu. Wsadzony zrazu do ciasnego, ciemnego więzienia, po kilku dniach ujrzał wchodzącego do siebie ówczesnego wielkorządcę Litwy Bibikowa; ten oświadczając politowanie nad młodym więźniem, kazał go do obszernej i wygodnej przeprowadzić celi, skąd po nowych kilku dniach stawionym był przed generał-gubernatora. Pogrożki i obietnice kolejno następowały po sobie, a gdy młodzieniec niczego wyznać nie chciał i stawiał się śmiało, odprowadzono go do prawdziwego lochu. Tygodnie wlokły się w tem wilgotnym więzieniu. Bibików kilkakrotnie upominał młodzieńca, że tylko dla dopełnienia aktów potrzebuje przyznania się z jego strony, zaręczał, że się nic jemu, ni jego towarzyszący nie stanie. Zmęczony więzieniem, odurzony obietnicami wyznał nareszcie młodzieniec, że był autorem tej nieszczęsnej kartki. Na dowód prawdziwości słów generała zmieniono mu zaraz więzienie, dano znowu suchy, światły i obszerny pokój, pozwolono nawet widywać się z młodszym bratem, ale tymczasem posłano akta do Petersburga i po 3 tygodniach nadszedł stamtąd wyrok, skazujący 19 letniego młodzieńca na 300 różg i 12 lat żołdactwa. Sprowadzono umyślnie rodziców do Wilna, aby byli świadkami egzekucji, zebrano także wszystkich starszych uczniów z gimnazjum, kolegów Ludwika i po odczytaniu

carskiego wyroku wyliczono przepisaną chłostę. Młodzieniec zniósł ją mężnie, a żegnając się później z rodzicami, upadł im do nóg, prosząc o błogosławieństwo.

Nazajutrz wywieziono go z Wilna do Kaługi, gdzie kwaterował pułk, w którym będąc żołnierzem miał wyrósć prawdziwie na męża. Czekają go tam, co czeka każdego ukształconego młodzieńca w wojsku rosyjskiem, kiedy stanie w szeregach naznaczony krzyżem niełaski cesarskiej, jako zbrodniarz polityczny. Dowódca kompanii obchodził się z nim grubiańsko i pewnego dnia chcąc mu prawdziwie dokuczyć, łątał go, wyrzucając, że jest Polak buntownik. Krew młoda zawrzała u Narbutta i dał kapitanowi policzek. Aresztowany, miał uleść sądowi wojennemu, ale na jego szczęście istniał ukaz Mikołaja, zakazujący najsurowiej oficerom robienia podobnych wyrzutów zsyłanym do wojska Polakom. Przyjaźniejsi dla Narbutta wyżsi oficerowie skorzystali z ukazu i skończyło się na prostym areszcie. Przeniesiony wkrótce do Moskwy, wyruszył stamtąd z pułkiem swoim na Kaukaz.

Dla skazanych w żołdactwo, wojna jest zawsze pożądaną, musztra, która zazwyczaj stanowi dla nich plagę prawdziwą i którą wojsko rosyjskie w pokoju niemiłosiernie męczone było za Mikołaja, staje się wtenczas mniej drobiazgową i dokuczliwą. Przyszły zresztą partyzant uczył się tam w swoim żywiole. Zawsze zajęty myślą o ojczyźnie i koniecznej za nią walce z Moskwą, starał się poznać wojnę partyzancką i oddał się temu z zapałem. Podczas pobytu swego na Kaukazie brał udział w 90 przeszło potyczkach, wpisując się nieraz do oddziałów wyprawianych przeciw rozbójnikom górskim Kaczachom. Złożone z ludzi, co się jakiegoś dopuścili przewinienia i nie śmieli stanąć przed obliczem fanatycznego naczelnika Minrzydów, póki go krwią niewiernych nie okupili, oddziały Kaczachów, biły się zazwyczaj ze wściekłością i trwogą napępiały okolice. Walka z nimi najlepszą była szkołą dla partyzanta. Między wodzami kaukaskimi najwybitniejszą postacią w owe czasy był Chodzi-Murad; przytomny, zręczny, osobiście nieustraszony, a przebiegły i niewyczerpany w pomysłach, był przedmiotem postrachu i podziwienia dla wielu. Wyobraźnia Narbutta silnie nim uderzoną była i kiedy wrócił do rodziny, partyzant kaukazki był często przedmiotem jego opowiadań.

W szeregach armii kaukaskiej znalazł Narbutt wielu rodaków, krewnych nawet, których los wspólny jemu tam zagnał. Było to pewnego rodzaju pociechą dla żołnierza-wygnańca, a długie rozmowy o kraju i jego przeszłych i przyszłych losach zajmowały chwile od trudów obozowych wolne. Szczytna natura i życie wśród ciągłych niebezpieczeństw podnosiły duszę, a oddalenie, które wszystkie silne uczucia potęguje, miłość rodziny i ojczyzny rozżarzało coraz bardziej. Zyskiwała ona na głębokości i mocy, a w listach do ukochanej siostry, z którą stałą prowadziła korespondencję, wylewała się w tkliwych nieraz wyrazach. Domagał się zawsze jakich ojczystych pamiątek, to polnego kwiatka, to motyla z nad łąki, to kłosa z litewskiego łąnu.

Kampania krymska wyprowadziła go za granicę Kaukazu, pułk jego wcielony do armii Murawiewa, miał udział w bitwie pod Karsem, tam Narbutt w nogę ranionym został. Wyleczony, za odznaczenie się w bitwie, w której generał Sanecki otoczony przez Turków, przerzucił się do swoich potrafił, otrzymał nagrodę 3 rubli w srebrze. Później awansowany na podoficera, w 1859 r. przesłużywszy lat 10 jako żołnierz, otrzymał stopień oficerski.

Była to chwila łagodniejszych w Polsce rządów; wielu wygnańców wróciło do domowych progów. Narbutta pierwszą myślą po otrzymaniu szlif, było skorzystać z tego usposobienia. Prosił o urlop, dano mu go na 3 miesiące i z bijącym sercem puścił się w drogę. Rodzina wiedziała, że już przyjechał, ale chciano sędziwego ojca przygotować do tej radości, lękając się zbyt silnego wzruszenia. Starzec wierzyć nie chciał, w końcu powiedział ten wiersz z dawnej często powtarzanej przez niego pieśni: „Myśmy tyle łez wylali, że nie stanie łez pociechy“. Było to prawie w chwili, kiedy ukochany syn, w kaukaskiej czapce zajeżdżał przed dom rodzicielski.

Znalazłszy się między swoimi na ukochanej Litwie, uczuł, że wrócić znowu na Kaukaz byłoby niepodobieństwem, prosił o dymisyę i szczęściem dano mu ją, zostawiając tylko pod nadzorem policyi. Osiedłszy przy ojcu, oddał się gospodarstwu wiejskiemu, które bardzo lubił. Bywał zamysłony, czasem wyrwało mu się jakieś słowo o ojczyźnie, walkach z Moskwą, poświęceniu się. Szeroko o tem jednak rozprawiać



ARTUR GROTTGER: KUCIE KOS (Z CYKLU POLONIA)

nie lubił. Pewnego dnia, a było to w 62 r. brat jego młodszy Bolesław przyjechał nad rankiem z Wilna i przywiózłszy z sobą odezwę warszawskiego Centralnego Komitetu, obudził śpiącego Ludwika, aby mu ją odczytać. Wysłuchawszy odezwy, zerwał się Narbutt, zdjął wiszącą nad łóżkiem czerkieską szablę, ucałował ją i już słowa sobie o tem powiedzieć nie pozwolił. W tym wiernym pocałunku odbiła się cała dusza przyszłego wodza litewskiego.

Ojczyzna z r. 1865 Nr. 2. 3. 4.

3. Śmierć Narbutta.

Wracałam z obozu brata mego Narbutta z lasów lidzkich. Co tylko odebrałam polecenia, które miałam przewieźć dalej, gdy w lesie spostrzegłam przebiegające świtki powstańcze. Nie pytając o nic, szłam dalej, by siadać na wózek, gdy z plebanii wybiega młoda dziewczyna, chwytając mnie z rozpaczą za rękę i woła: „Ja panią samą nie puszcze”. Myślałam, że to egzaltacja młodości, wsunęłam jej tylko do rąk 2 listy, które miałam od pp. Kraińskich dla żon, wskazując na dworki ich i prosząc, by tam je zaniosła. Pobiegła natychmiast, a ja kierowałam się do leśniczówki. W leśniczówce zastałam młodszego brata oblanego krwią: „Wiesz, szepnął, tam bitwa stoczona, brat nasz zabity”. Nie pytając nic dłużej, pospieszyłam do matki, która sama została w domu. Wiedziała już o wszystkim, nie spodziewała się i mnie ujrzeć, więc tylko rękami mnie chwytając, pytała: „Tyż to jest, ty”. Myślałam, że z rozpacz dostała obłąkania — jak najspokojniej mogłam mówiłam: „Ależ to ja, mamó, uspokój się”. Syn nie żyje; jakie szczęście, że nie uwięziony! powtarzała. Niedługo zatrzymałam się w domu. Chciałam odszukać ciało brata, aby godnie go pochować. Dowiedziałem się, że pod Dubiczami w obozie zdradą został wzięty. Chłopi mieli do obozu dostawić chleba. Jeden z powstańców wysłany został dla doprowadzenia ich. Ukazali się w siermięgach, niosąc ukryte toboły, na czele ich kroczył wysłany. „Coś ich za dużo!” szepnął Andrioli, stojący obok Narbutta. „Stanać w szyku bojowym i czekać!”, zakomenderował Narbutt. Chłopi zbliżyli się na odległość strzału. „Oto dowódca”, wskazała na Nar-

butta posłany. Wtej chwili chłopci zrzucili siermięgi i ukazały się mundury moskiewskie. Dowódca dostał strzał w czoło i serce i upadł. „Z godnością panowie“!, zawołał, gdyż popłoch stał się w obozie, potem już tylko: „Jakie szczęście umierać za ojczyznę“, szepnął i umarł.

Jechałam po ciało mego brata przez wioski zamknięte dla przejezdnych — teraz jednak otwierały się przedemną szlabany. W miejscu, gdzie była potyczka, zastałam taki tłum, że przecisnąć się było trudno. Rozpychałam Moskali, zewsząd zaczęto szeptać: „siostra, siostra“. Dotarłam do pułkownika. „Gdzie brat?“ zapytałam. „Z bratem pani postąpiliśmy z szacunkiem, jaki należy się wojskowemu“, odpowiedział i wskazał miejsce, gdzie leżały ogołoczone ciała. Znalazłam go, miał ranę w czole i piersiach. Pozwolono na pogrzeb. „Takich, jak moi, rzekła matka dwu braci Brzozowskich nad wspólną mogiłą usypaną dla poległych, znajdziemy tysiące, ale któż nam Narbutta zastąpi!“

Z opowiadań pani *Mączyńskiej*.

4. Dołęga - Sierakowski.

Nazwaliśmy Sierakowskiego mężem nadziei. Był nim rzeczywiście. Kto go znał, a znała go cała patriotyczna Polska, ten spodziewał się po nim wielkich rzeczy, łączył bowiem w sobie wszystkie przymioty i nawet wady, konieczne w polskim wodzu. Rozum wszechstronnie wyrobiony zostawał w harmonii z uczuciem, patrzył więc na sprawy ludzkie zdrowo, jasno, a mówił zawsze z duszy. Serce było w jego słowie, sercem pociągał ku sobie i sercem odgadywał wszystkie tajemnice i zagadki czasu. Nauka wojskowa i polityczna, które posiadał w wysokim stopniu, nie przeszkodziły mu czuć po młodzieńczemu, kochać całą istotą swoją. Miał on właściwy sobie sposób postępowania i mówienia. Przemawiał do każdego: serce, bracie, a w jego uścisku ręki czuła miłość, jaka w tym człowieku spoczywała. Mówił zawsze szczerze i prawdę, czy to w niebezpieczeństwie, czy też w mundurze, na drodze świetnej kariery zostając. I jak niegdyś młodzieńcem będąc, jako więzień, dowodził szefom tajnej policji słuszność praw polskich, tak później, jako oficer

jeneralnego sztabu, nie tań przed ministrami i jenerałami uczuć swoich. Gdy wychodził z posiedzenia sądowego w Warszawie, na którym był widzem rozdierającego duszę dyalogu pomiędzy Rzońcą a jego matką, a później obrony matki, wołającej na klęczkach: „Boże! natchnij sędziów sprawiedliwością, ażeby nam synów nie zabijali“ — spotkawszy we drzwiach sali oficera, odznaczającego się serwilizmem, rzekł doń głośno: „Czy słyszałeś? i czy możesz potem występować przeciwko narodowi, którego nędzarki przemawiają w uczuciu całej dostojności ludzkiej?“ W powstaniu zaś już jako dowódca, widząc w czasie przysięgi siwizną okrytego kosyniera, zalewającego się łzami radości, ukląkł przed nim i prosił o błogosławieństwo. Wszystkich, z którymi się stykał, zjednywał tą szczerością, oraz prawdą miłości; jednakowo był lubianym jak i szanowanym przez mieszczan, chłopów i szlachtę polską, przez dzikich synów Kirgizyi, przez żołdatów moskiewskich, jak i przez uczonych i mężów stanu. Wpływ jego na młodych oficerów akademii wojskowej w Petersburgu był ogromny, a wywierał go w duchu ludzkości i postępu; wszystko też, co jest lepsze w armii moskiewskiej, zawdzięcza to kierownikowi, jaki dał nieznacznie jej organizacji powrócony z azyatyckich pustyń polski wygnaniec. Zwrócił na siebie uwagę członków kongresu statystycznego w Londynie, a dyplomaci moskiewscy, ambasadorowie w Londynie, w Paryżu, w Wiedniu wyróżniali go szczególnem uznaniem. Jak w obozie patriotycznym polskim, wierzono mu i ufano również w petersburskim ministerjum wojny, oraz w partyi rewolucyjnej moskiewskiej. Takt, zręczność, szczerość i wspianłość uczuć jednała mu wszędzie względy, tak oficerów sztabu francuskiego w Paryżu, marszałka Pelissiera w Algierze, jak i Garibaldięgo, którego odwiedzał na Caprerze. Zwycięzca z pod Marsala (Garibaldi), poznawszy bliżej Sierakowskiego, proponował mu, ażeby porzucił służbę rosyjską i pozostał przy nim, jako naczelnik sztabu. „Nie umiem kierować większemi masami, mówił skromny pustelnik z Caprery, gdy będziesz przy mnie, odważ się na dowództwo i 200.000 armii“. Zygmunt jednak nad łatwą sławę we Włoszech wołał pracę dla Polski, za którą wija laury z zazdrości i szubienicznych postronków i przekładał mozolne, nie rozgłośne usiłowania

ku uwolnieniu żołnierza carskiego od różg i pałek i osłodzeniu doli więziennych nieszczęśliwych w Rosyi. Niemordowany w trudach, wytrwały, silnej woli, myśl zaraz w czyn zamieniał, a przeciwnościami nigdy się nie zrażał. Odwagę żołnierza i namaszczenie męczennika nosił w sobie. Wymową porywał tłum, a słowo jego ogniste zastępowało przepisy karne dyscypliny wojskowej. W obozie skarcił raz tylko oficera za złe postąpienie z szeregowcem, nikogo śmiercią nie ukarał, a umiał utrzymać porządek. „Wojsko jego, pisze Medeksza, miało minę bratniego szeregu, którego głową i sercem zarazem był Dołęga. Związały się kolumny na jedno skinienie wodza, a rzekłbyś, iż legion ów posiada potęgę wszech Polski“. Pełen ambicji dobrze czynienia i szlachetnej sławy, entuzjasta lecz przytem zdolny do zimnego rozważenia, słusznie Sierakowski budził wielkie nadzieje. To też nie tylko Żmudz zelektryzowaną została, gdy stanął na czele jej synów, nie tylko Litwa, ale Polska cała zwracała pilnie swe serce i oko ku wodzowi, którego pobożni włościanie witali psalmami, śpiewając: Bóg, nasza ucieczka; któremu dzieci w pochodzie bojowym kwiaty pod nogi rzucały, księża witali procesyą, rabini na czele kahałów chlebem i solą; który z chorągwią w dłoni, na przodzie hufca swojego, jak Stefan Czarniecki, wstępował do kościołów dla wysłuchania pobożnej nauki ks. Peży i odebrania, wraz z błogosławieństwem od ołtarza, łaski Bożej.

Ale nie tylko Polacy spodziewali się po nim wielkich rzeczy. Moskale niespokojnie powzięli wiadomość o jego ruchu, a wielu wyższych oficerów oczekiwało na pierwsze stanowcze zwycięstwo lub oczyszczenie Żmudzi, ażeby przyłączyć się do powstania. Z dworu wielkiego kniazia Konstantego i z jego sztabu donoszono nam wówczas o wrażeniu, jakie wywołało zanominowanie Sierakowskiego na naczelnika sił zbrojnych województwa Kowieńskiego. Dziwili się naprzód, że porzucił dla niepewnych losów ruchawki świetną karierę w służbie carskiej i byli pewni, że pokona wojska rosyjskie na Żmudzi. Niestety! nadzieje zawiodły, nie dlatego, ażeby były bezzasadnymi, lecz dla nieszczęśliwego losu, który zbyt wczesnie pozbawił Polskę wodza. Murawiew, wieszając (27 czerwca) rannego Zygmunta w Wilnie, usłużył więcej tem

morderstwem ohydnej sprawie moskiewskiej na Litwie, niż innemi swemi okrucieństwami.

Giller: Historia powstania narodu pol. 1861-4 t. II. str. 287.

5. Aleksander Chmielewski.

Są ludzie, których życie całe od kolebki do grobu jest czyste, jak łąza, a zasady twarde, jak stal, dla których miłość kraju nie jest dekoracją odświętną, lecz codziennem ubraniem, nieskalanem najmniejszym odstępstwem nawet w rzeczach bagatelnych. Do takich należał Chmielewski.

Gdy wybuchło powstanie, Wydział uznał za konieczne iść za ogólnym narodowym prądem. Potrzeba było w województwach wybrać ludzi znanych z energii i powszechnego zaufania. W Kownie najwybitniejszą postacią był Chmielewski. Wezwano go do Wilna i zamianowano wojewodą żmudzkiem. Chmielewski, wezwany do tej czynności, głęboko się zamyślił, lecz pojmując, że nadeszła chwila, w której wszelkie wahanie winno ustąpić mężkim czynom odrzekł: „Niech się dzieje wola Boża“! Przystąpiono też zaraz do mianowania naczelników powiatowych, a żaden z wybranych nie splamił się brakiem obywatelskiego poświęcenia.

Chmielewski wrócił do Kowna, do ciężkiej pracy. Wszystkiego tam brakło — a jednak w kowieńskiej gubernii lepiej szły rzeczy, aniżeli gdzieindziej, bo cztery miesiące ciągłego niebezpieczeństwa ani na chwilę nie złamały energii Chmielewskiego. Miał on dzielnego pomocnika w Napoleonie Nowickim, niegdyś towarzyszu Konarskiego, starcu, który lat 20 przebył w Syberii, a po powrocie, gdy spostrzegł, że go oszczędzają, zaprotestował przeciwko pominięciu go w pracy narodowej, mówiąc, że „spoczynek dla nas tylko w grobie“. Bóg mu dozwolił na własnej ziemi złożyć kości. W lipcu 1863 r. wysłano Chmielewskiego do gubernii Ufimskiej za Ural. W 1873 r. pozwolono mu wrócić do Warszawy, a następnie do Kowna.

Wielu w powstaniu naszym było ludzi rozumu i nauki, zacnych ojców rodziny i wiernych synów ojczyzny, lecz nie było drugiego człowieka, któryby w takiej harmonii łączył te wielkie zalety, jak Aleksander Chmielewski. Zdobył on

wybitne stanowisko żelazną pracą i wytrwałością, a nie zawałał się ani na chwilę przed ofiarą wszystkiego. Sam surowy dla siebie, jasno pojmujący usterki i błędy — dla ludzi błądzących miał serce wyrozumiałe.

Struś: Ludzie i wypadki 63 r., str. 233.

6. Książd Mackiewicz.

Ks. Mackiewicz był ową iskrą, która zapaliła nagromadzone żywioły. Bez broni i bez ludzi, znających sztukę wojenną, organizuje półtysiąca żołnierzy, wpajając w nich poczucie obowiązku i wielkości sprawy, za którą poszli walczyć. Żołnierze w przeważnej części byli włościanie z okolic, które znały i szanowały poważnego kapłana. Uzbrojenie składało się z pojedynków myśliwskich, dubeltówki były niegęste, a najczęściej kos oprawionych mocno na długich drewnianych trzonkach. Przeszło tydzień świeżo zgromadzeni powstańcy stali na miejscu. Zwożono zewsząd broń, zbiegali się ludzie, kuli kosy i lance w obozowych kuźniach. Obozowisko miało minę niewielkiej mieściny, ulepionej z chrustu i jodlanycu sęków. Są to namioty, baraki, kuźnie, stajnie, kapliczka, arsenał tymczasowy — krócej: cała wojenna gospodarka. Zdawałoby ci się, że mieszkańcy opuścili swe domostwa i przenieśli się na mieszkanie do lasu. Zdawałoby ci się, że Moskwa nigdy się nie poważy przestąpić tajemniczej powłoki lasów i zajrzeć w oblicze nowych gospodarzy. Nieinaczej też myśleli powstańcy, będąc niedawnymi świadkami demoralizacji i panicznego strachu Moskali.

Przededniem 17 marca oddział ks. Mackiewicza wyruszył w drogę. Oddano rozkazy kompaniom, rozdzielono chleb i mięso, zawołano do broni i w pogotowiu czekano na przybycie naczelnika. Ks. Mackiewicz na czarnym, niewielkim koniku, odziany w narodówkę, w czerwonej konfederatce i z szablą u boku, zwolna przejeżdża szeregi. Przemówił słów kilka, zachęcając do wytrwałości i skinął do marszu. Ruszyli powstańcy, zdążając ku lasom Datnowa.

W tych stronach miał się znajdować Jabłonowski, naczelnik województwa. W miejscowości zwanej Pujdakiem nastąpiło spotkanie. Jabłonowski otoczony gronem doborowej

młodzieży, zasilił inteligencją wieśniaczy zastęp ks. Mackiewicza. Dymisjonowany kapitan z wojska moskiewskiego, wdrożony przytem w partyzancką długoletnią praktykę na Kaukazie, Jabłonowski, z bystrością sobie właściwą przeprowadza nowy porządek i swoją organizację. Obywatelskie grono ks. Mackiewicza zamieniło się w hufiec zbrojny, który choć pozornie, przybrał wojenną postawę. Tydzień cały uczono musztry i wojennych obrotów, przysposabiając nowozaciężnych na bitwę, której się niebawem spodziewano.

Ojczyzna r. 1865, Nr. 38.

7. Żuawi śmierci i dowódca Rochenbrun.

Skąd powstać mogła nazwa „żuawów śmierci“ dla polskiego oddziału wojsk powstańczych. Przedewszystkiem znaczą, że nazwa ta powstała w głowie Francuza, który żywił dawne sympatyje do naszego narodu i pamiętał o przelanej obficie krwi polskiej dla Francji w licznych bojach, uświetniających historię wojen napoleońskich. W czasie naszego powstania szlachetne uczucie wdzięczności nie wygasło jeszcze w sercach Francuzów i Rochenbruna, dopóki go nie opętała mania wielkości; ulegając wewnętrznym pobudkom, poszedł z nami bić Moskali.

Francuskie pułki żuawów, biorąc swój początek w Algierze, wśród ludności butnej i wojowniczej, odznaczały się w bitwach największą zawsze dzielnością i brawurą. Ubiór ich stanowi niebieska kurtka, czerwone spodnicowe spodnie, czerwony fez na głowie i białe kamasze po trzewikach; odznaki zaś służbowe wyszywane są na rękawach. Otóż z ubioru żuawów, Rochenbrun, jako były podoficer tych pułków francusko-afrykańskich, przyjął do naszego stroju tylko fezy i odznaki służbowe, a inne części odzieży przystosował i słusznie do naszej polskiej natury.

Ustaliwszy w ten sposób całe umundurowanie dla swoich terazniejszych podkomendnych, nazwał ich żuawami, aby samem mianem i jakąś wewnętrzną charakterystyką wlać w nich przymioty zuchwałe pierwowzorów.

Chcąc prócz tego jeszcze więcej podnieść siłę moralną i ducha żołnierzy powstańczych, zachęcić ich do bezwzględnej,

bezpardonowej walki dla siebie i wrogów, nazwał ostatecznie „żuawami śmierci“ pułk mający się utworzyć pod jego rozkazami i przybrał go w grobowe kolory. Chorągiew, godło pułku, odpowiadała także temu pomysłowi, a wielka co do rozmiarów, wyrobiona była z czarnej materyi, z białym na niej naszytym krzyżem. Chorągiew ta również doskonale symbolizowała charakter epoki ówczesnej — ówczesne usposobienie narodu naszego, który w żałobie, z modlitwą na ustach podjął śmiertelną walkę z potężnym wrogiem.

Całe więc wyposażenie pułku, jego godło, strój, nazwa trafnie były obmyślane przez Francuza, a harmonizując z treścią ducha Polaków i zewnętrznymi jego objawami, unaoczniały żołnierzom konieczność walki na śmierć i przypominały przymioty, jakimi odznaczać się powinni do odniesienia zwycięstwa.

Grzegorzewski: Wspomnienia osobiste z powstania 63. r. str. 44.

8. Przybycie do oddziału Rochenbrun'a.

Przygnębiające wrażenia pogromu miechowskiego zacierają się szybko w Krakowie pod wpływem nowych wieści z Królestwa, które nadbiegały codziennie, co godzina, donosząc o rozwijającej się walce powstańczej, a przybierały z oddalenia rozmiary fantastyczne. Duch młodzieży otrząsał się ze zwątpienia; wracała nadzieja klęski miechowskiej.

Obok mnóstwa wymienianych miejscowości, w których stoczono potyczki, słyszało się nieznanne dotąd nazwiska dowódców, a między niemi powtarzane najczęściej, otoczone aureolą nieustającej walki nazwisko Langiewicza. Szydłowiec, Święty Krzyż, Staszów, Małogoszcz, Pieskowa Skała — co raz bliższe, coraz głośniejsze echo spotkań, z których oddział Langiewicza bezbronny, bo jak i inne zbrojny tylko w kosy i trochę strzelb myśliwskich, atakowany stale przez wojsko rosyjskie, wychodził bez wątpienia o tyle zwycięsko, że nie był rozprószony, a nawet przeciwnie dawał się temu wojsku we znaki, rósł w liczbę, a zdążył ku granicy z nadzieją zaopatrzenia się w niezbędną broń i amunicję. W pierwszych dniach marca dotarł Langiewicz do Goszczy, tuż nad granicą naprzeciw Krakowa. Tłumnie rzuciła się znowu mło-

dzież krakowska do obozu. Szosą, na komorę w Michałowicach, zajęta przez forpocztę powstańcze, bez przeszkód ze strony austriackiej, ciągnęły jawnie w biały dzień gromady ochotników. Poznałem w tym czasie Poznańczyka, studenta uniwersytetu wrocławskiego, który przybywszy do Krakowa nieznanym nikomu, szukał sposobności zwierzania się komuś z zamiaru pójścia do powstania, błąkał się samotnie w obawie aresztowania, wreszcie zbliżył się do mnie w kawiarni; postanowiliśmy wspólną wyprawę. Zaraz nazajutrz ruszyliśmy dorożką do Goszczy, a wieźliśmy skarby nielada: on iglicówkę pruską wraz z kilkudziesięciu nabojami, ja — stary karabin przerobiony ze skałkówki na kapiszonowy, a kupiony przypadkiem, do tego 20 naboji własnej roboty. Dojeżdżając do Michałowic, spotkaliśmy strażę węgierskich huzarów — puścili nas wolno, a na pożegnanie krzyknęli „elien“. Przy szlabanie stała warta strzelców powstańczych, a na komorze był odwach. Zabiły nam serca radośnie na widok naszych strzelców już z prawdziwymi karabinami na ramionach, z prawdziwymi na nich bagnietami! Jedziemy dalej, deszczyk wiosenny prosi, wyteżamy wzrok ku Goszczy, pod laskiem spostrzegamy ułana, jak z igły na dzielnym koniu, w kasku z kitą, w obszernym płaszczu, w lakierowanych butach, z błyszczącymi ostrogami, laną i pałaszem stoi na pikiecie. Jesteśmy w uniesieniu, oczami wyobraźni widzimy całe pułki takich ułanów. Koń pod nim gorącuje się, rzuca, ułan bodzie go ostrogami, zrywa munsztunkiem — myślę sobie: to jakiś fuszer, trzeba mu jeszcze dobrej szkoły; podjeżdżamy bliżej, ze zdumieniem poznaję „Zyzią“, później smutnej sławy, pięknego, pieszczonego, salonowego łobuza. Zyziowi łyż leją się po twarzy, z pod nosa kapie wilgoć kroplami — bierze mnie śmiech pusty: „A ty co tu robisz, waleczny żołnierzu?“ Zyzió becząc, klnie: „Niech wszyscy dyabli wezmą powstanie! kazali mi stać na słońcu, nie wytrzymam!“ — „No, radzę ci wytrzymać, rusz się, a kula w łeb cię nie minie. Do widzenia, mazgaju“. Droga coraz cięższa; błoto, szkapy dorożkarskie ustają — żegnamy się więc z furmanem; ze smutkiem decyduje się powracać, bo jak my cieszył się nadzieją ujrzenia obozu. Idziemy pieszo. Spotykamy dwu żołnierzy w tureckich, czerwonych fezach; przypatrzawszy się nam bacznie, zapraszają nas do żuawów — przystajemy chętnie,

wiedząc, że dowodzi niemi głośny z pod Miechowa Rochenbrun; byli to werbownicy, wysłani umyślnie na drogę ku Krakowowi z poleceniem ściągania do żuawów ochotników dobrze ubranych i wyglądających zdrowo, a cóż dopiero takich, którzy mieli nadto i broń własną. Idziemy więc z przewodnikami, widzimy dwór na wzgórzu — zajmuje go generał Langiewicz z podkomendnymi oficerami; w około rojno, uwijają się adjutanci z przepaskami trójkolorowymi na rękawie; niekiedy przechodzi ktoś ze starszyny z szarfą przez ramię; w budynkach folwarcznych pełno kawaleryi, dalej już na polu obóz kosynierów, a niżej na łące, wzdłuż rowu i szeregu starych wierzb, przy których tulą się budy sklecone z gałęzi i słomy, stoją kwatery żuawów. Już się ma ku wieczorowi, więc apel; kompanie stają w szeregach, wachmistrze czytają nazwiska z listy. Zjawia się Rochenbrun, przedstawiają mu kilku świeżo przyjętych; chorąży przynosi sztandar, wielki, czarny z białym krzyżem, kładą go na beczce przewróconej dnem do góry, rozlega się komenda „prezentuj broń“, kładziemy prawe ręce na sztandarze, powtarzamy za adjutantem słowa przysięgi... Wyrazów nie pamiętam; zostało mi jeno dotąd wspomnienie wielkiego, głębokiego wrażenia. Po skończonym akcie Rochenbrun przemawia, wyjaśniając znaczenie przysięgi — adjutant jednocześnie powtarza wybornie jego słowa po polsku. Tymczasem w dużych kotłach gotuje się kolacja: kasza ze słoniną; każdy czerpie, ile chce, potem zabieramy się do spoczynku. Mieścimy się pod szałasami, jak kto może... Nazajutrz znowu apel, śniadanie, mustra, obiad, znowu mustra, kolacja, modlitwa, wszystko podług regulaminu, a wybornie oddziaływa na ducha młodych żołnierzy.

Grabówka-Frycz: Wspomnienia żołnierza.

9. Marsz Żuawów pod Chrobrzem.

Jeszcze saperzy mieli dosyć roboty, gdy z przesmyku między wzgórzami a Nidą, z lewej strony naszej, zaczęły się wysuwać kolumny Moskali. Było to od nas może 2 kilometry, może trochę więcej; położenie więc nasze nie było do pozazdroszczenia, ale kazano stać, stoimy.

może jeszcze z pół godziny, moskali coraz więcej sypie się na łąkę i już zaczynają się formować do bitwy — więc saperzy nasi, nie dokończywszy rozbierania mostu, resztę podpaliłi. Gdy most już się dobrze palił, zakomenderował Rochenbrun pochód i poszliśmy najkrótszą drogą, przez szerokość doliny ku centrum naszego wojska.

Idziemy.

Moskale ze swej strony w szyku bojowym wyciskają się coraz głębiej naprzód, na równinę, tak, że jeszcze trochę, a będą mogli łatwo odciąć nas żuawów, nie dopuścić do połączenia z oddziałem i zniszczyć.

My idziemy ciągle, a idziemy pospiesznym marszem; nie byliśmy jednak w $\frac{1}{3}$ części drogi, gdy widzimy, że kawalerya moskiewska wybiegła przed kolumny piechoty i stanęła — a po chwili cały pułk, czy ilu ich tam było, leci w największym pędzie wprost ku nam.

Położenie nasze teraz zaczęło być poważne bardzo, serce żywiej bić zaczęło, a ci i owi, co niecierpliwi, wybiegają ze szeregów i strzelają do moskali. Mimo to idziemy ciągle naprzód frontem w kolumnach plutonowych i w możliwym porządku. Oficerowie, starszyna krzyczą, nawołują, aby nie strzelać, ale bez skutku, bo młody żołnierz nie mógł wyczekać, aż moskale przybliżą się na pewny strzał, nie miał dość zimnej krwi, nie mógł opanować podniecenia.

Tymczasem moskale pędzą galopem, przestrzeń między nimi a nami szalenie się zmniejsza, a położenie nasze staje się coraz groźniejsze. My jednak maszerujemy i trzymamy się dobrze, a nie tracąc z oczu szarżujących i myśląc o starciu w ręcznej walce, przygotowujemy się do zmiany frontu, gdy już będą przed nami. Już dragonów można rozpoznać, już słychać wyraźnie tentent galopu, już za chwilę nas najadą — więc cisza się zrobiła w szeregach, wszyscy spowaźnieli; tu i ówdzie tylko kończą nabijanie karabinów, poprawiają na sobie ładownice lub opatrują bagnety, czy dobrze osadzone i ostre. Wtem widzimy, że nasza kawalerya, pod górą stojąca, rusza z miejsca, wybiega naprzód i pędzi wprost na moskiewską.

I w tejże chwili wszystko stanęło.

Moskale pierwsi osadzili konie, zagrożeni odcięciem od swoich i wzięciem we dwa ognie; potem nasza kawalerya —

nie wiem dlaczego, może była za słabą do pojedynku w otwartym polu — a nareszcie i my stanęliśmy bez rozkazu mimowolnie, pod wpływem odniesionych wrażeń. Odetchnawszy cokolwiek ze wzruszenia, jakie ta szarża sprawić musiała w organizmie każdego i zrównawszy szeregi, znów maszerujemy dalej, a byliśmy już prawie w połowie drogi i mogła być godzina około pół do szóstej.

Zaledwieśmy uszli kilkadziesiąt kroków, widzimy, że między moskalami wszczął się ruch na nowo i zmieniają swoje pozycje. Kawalerya, która szarżowała u nas, cofa się i ustępuje na bok, a inni wysuwają się szybko naprzód i kręcą się na miejscu. Wtem błysk, huk — a po chwili szum gruby, huczenie jakiegoś w powietrzu nad nami dały znać, że ustawili baterie w dogodnej pozycji i walą teraz z armat na nas.

Ha, cóż robić było! oni strzelają, a my idziemy dalej.

Ciekawy to był widok jednak tego naszego żołnierza nieoswojonego jeszcze z kulami armatnimi. Błysk i huk nie robił wrażenia, dopiero słysząc huczenie w powietrzu, ten i ów mimowolnie przysiadł do ziemi. Ile razy moskale strzelili, a warczenie granatu dało się słyszeć, jak na komendę pewna ilość naszych przycupnęła, choć żadna kula nie może być szkodliwą, gdy się ją słyszy, już bowiem przeleciała, sprawiając tylko ruch w powietrzu głosem się wyrażający.

Moskale haniebnie strzelali; ani jeden granat między nami nie eksplodował. Z początku przenosiły nas pociski i za nami ryły się w ziemię, potem znów przed nami widzieliśmy bałwanienie się gruntu.

Ale można się oswoić ze wszystkim; wkrótce też pewność i swoboda powróciły do szeregów i żartowano, jak na paradzie. Tak idąc pod tym ogniem armatnim, zbliżaliśmy się do naszych głównych sił. O zachodzie słońca armaty ucichły, a myśmy już w spokoju dobili do swoich. — Lżej się na sercu zrobiło.

Przyjęto nas okrzykami życzliwości i podziwu za ten marsz więcej niż godzinę trwający wobec niebezpieczeństwa śmierci każdej chwili, rzeczywiście świadczący o duchu męstwa, karności i gotowości do poświęceń młodego żołnierza, za tę defiladę garstki wobec potęgi zgromadzonej Moskwy, garstki wytrzymującej z zimną krwią grozę napadu licznej konnicy w czystym polu; — za tę defiladę pod ogniem dzia-

łowym, którą nawet najwięcej ostrzeliwane wojsko szczyćby się mogło.

Dyktator i naczelnicy pospieszyli ucisnąć dłoń Rochenbrunowi. My w szeregach odczuliśmy żywo to podziękowanie naczelnika narodu, a chwila ta wzniosła wraz z szlachetną dumą, zostanie do śmierci w pamięci każdego żuawa.

Grzegorzewski: Wspomnienia osobiste z powstania 63 r., str. 91.

10. Wyprawa Lelewela.

W Samborskim organizowano oddział dla Lelewela... W połowie sierpnia dostałem rozkaz stawienia się w punkcie zbornym; pocztą narodową dojechałem do granicy, gdzie w lasach zbierał się oddział. Ze wszystkich stron ściągali ochotnicy rozlokowani poprzednio na kwaterach. Pierwszy raz znalazłem się w okolicy tak oddalonej od moich stron rodzinnych; długo wśród tłumu upatrywałem twarzy znajomej, aż z radością spostrzegłem kolegę mego brata, Chodorowskiego, mężczyznę już dojrzałego, który jednak świeżo opuścił ławę szkolną. Chodorowski w r. 1849, jako gimnazjalista, uciekł z Galicyi na Węgry, zaciągnął się do legionu polskiego, odbył kampanię, a wzięty do niewoli po złożeniu broni przez armię został oddany do wojska austriackiego na prostego żołnierza; w czasie wojny francusko-austriackiej w r. 1859 awansował na oficera. Po zawarciu pokoju podał się do dymisy i wstąpił do szkoły technicznej w Krakowie, gdzie kolegował z moim bratem, teraz wprost ze szkoły stawał znowu w szeregach narodowych. Po powstaniu wrócił do techniki, ukończył ją pomyślnie i został dyrektorem cukrowni na Ukrainie. Ten chyba zaprzeczył czynem owej przysłowionej niewytrwałości polskiej. Jako byłego oficera austriackiego mianowano Chodorowskiego kapitanem; chętnie przyjął mnie pod swoją komendę.

Organizacja oddziału postępowała szybko i składnie; wszystko było przygotowane należycie; w ciągu doby byliśmy gotowi do wymarszu. Piechota otrzymała karabiny, jazda pałasze i krótkie karabinki. Ubrani nieopowiednio dostali obuwie i bieliznę, piechota otrzymała nadto jednakowe szare bluzy i czapki — jazda granatowe bluzy i także kepi; da-

wało to wszystkim wygląd prawdziwie wojskowy. Oddział liczył 600—700 piechoty i około 200 jazdy. Na czele stał Lelewel (Marcin Borelowski) z zawodu blacharz, już głośnego imienia szczęśliwy, dotąd partyzant, człowiek wielkiego serca i charakteru, jedna z najpiękniejszych postaci r. 1863. Szefem sztabu i duszą militarną oddziału był Węgier, major austriacki hr. Niary, synowiec jednego z generałów węgierskich, straconych haniebnie przez Heynana w 1849...

Wyekwipowani byliśmy wybornie; furgony wiozły zapas sucharów i bulionu; konie niosły pudła z amunicją. W śliczną pogodę oddział przeszedł granicę i zanurzył się w ogromne lasy południowej części województwa Lubelskiego. W pewnej odległości od granicy poddano żołnierzy rewizji lekarskiej, chorych i niezdatnych, a także kilka dziewcząt ukrytych w męskim ubraniu wyłączono i pod konwojem kawalerii zawrócono do Galicyi. Oddział szedł prawie ciągle przez lasy ogromne, szeregowiec nie mógł wcale zdać sobie sprawy, gdzie się znajduje, wyjątkowo pamiętam jedną dużą wieś z pańską rezydencją; gdyśmy ją mijali, liczna służba w liberyi wyszła przed bramę pogapić się na nas; zapraszałyśmy ich z sobą żartobliwie — wreszcie jeden młody, jak stał we fraku, skoczył do nas i — poszedł.

Porządek w oddziale panował wzorowy; na każdy nocleg obóz bywał wytknięty, każda kompania zajmowała wyznaczone stanowisko; służbę nocną na pikietach odbywały kolejno warty — zmieniane co 2 godziny. Żywność rozdawano regularnie. Marsze robiliśmy duże, lecz nie nad siły; raz czy dwa mieliśmy dniówkę z kilkudniową musztrą. — Niary w austriackim mundurze, na dzielnym węgierskim deresz, niezmordowanie czynny, rychło zyskał sympatyę i zaufanie oddziału. Lelewel ubrany po cywilnemu, w kapeluszu ryżowym, bez broni, wyglądał na gospodarza, który objężdża swoje pola. I w samej rzeczy był on raczej gospodarzem oddziału, niż wodzem. Pilnował porządku, karności, obchodził nocne stráže, zachęcał do wytrwałości i dawał z siebie przykład powstańca.

Po bitwie pod Danasówką nastaly ciężkie dni dla naszego oddziału. Zaledwie zajaśniał pierwszy brzask świtu, a już ruszamy z noclegu; maszerujemy cały dzień, do ciemnej nocy, prawie bez wytchnienia, wśród okropnych upałów;

często nie gotujemy wcale z powodu braku wody lub dlatego, żeby nie palić ogni. Raz nocowaliśmy, pamiętam, na bagnach, gdzie nawet położyć się wygodnie nie można było, bo grunt grzęzki zapadał się i trzeba było wciąż przesuwać się na inne miejsce; potem maszerowaliśmy korytem rzeczki głębokiej wyżej pasa; ładownice z nabojami i nasze manatki musieliśmy nieść zawieszzone na karkach, żeby uchronić je od zamoknięcia. Zatrzymaliśmy się na nocleg już późnym wieczorem; moja kompania idzie na służbę nocną, podoficer rozstawia łańcuch pikiet. Stoimy w gąszczu leśnym opodal polanki, na której obozuje oddział. Mijają godziny, stoimy, nasłuchujemy, czy nie idą zlużować nas — cisza, nikt się nie zbliża; dnieje — czekamy — już widno; mój towarzysz z jednej strony idzie ku mnie, daje znaki zniecierpliwienia — drugi z przeciwnej strony wygląda, czy jesteśmy; ogarnia nas niepokój — nigdy nie zdarzało się nic podobnego! Czyżby o nas zapomnieli? Wtem idzie kobieta, zatrzymujemy ją, pytamy, skąd idzie? a ona: „Co tu robicie? Przecie Polacy dawno poszli“. Spozstrzegamy chłopca, ten potwierdza opowieść kobiety: „Już i ognie wygasły, Polacy szli przededniem“. Biegniemy do obozowiska — pusto! Gromadki włościan grzebią w popiele i w pozostałych rupieciach zbierając jakieś resztki. Puszczamy się w pogoń. Ślady oddziału wyraźne, bo ziemia zdeptana i zryta kopytami kawalerii. Z lasu wychodzimy na szeroki gościniec wśród pól obszer-nych, biegniem zwawo, ale oddziału nie widać! Jeden towarzysz słabnie, ustaje, co począć? niema rady, sami biegniemy dalej. Już i drugi towarzysz zaczyna zostawać w tyle, dadają mu ducha: przecież oddział musi być nie daleko — ale jak okiem sięgnąć jeno pusta równina, nigdzie żywej duszy, ani na gościńcu, ani w polu. Towarzysz mój zostaje gdzieś za mną, biegnę sam; pot zalewa mi oczy, czuję, że padnę za chwilę. Droga wznosi się lekko, dosięgam punktu najwyższego, spozstrzegam w oddali 3 jeźdźców, postępują wolno; kiedy niekiedy błyska broń w słońcu — to żelazne pochwy pałaszów — a więc tylna straż oddziału! Sił mi przybywa — próbuję wołać, ale za daleko — nie słyszą; oddzieram więc kawał koszuli, przywiązuję na końcu bagnetu i wywijam, jak chorągwią — może spozstrzegą — daremnie; jadą dalej... Wtem jeden przystanął; zsiada z konia, poprawia coś przy

kulbace, spostrzega mnie, siada na koń i pędem zbliża się do mnie. W dwu słowach objaśniam mu, co zaszło; chce więc wziąć mnie za siebie na konia, ale na nic: kula od kulbaki i toboł przymocowany za nią zawadzają; wpadam na myśl lepszą: każę mu odpiąć popręg, przykładam rękę na brzuchu konia, każę mu popręg przypiąć: „Ty jedź, a ja pobiegnę przy koniu“. Wziął mój karabin, ruszyliśmy z kopyta i za chwilę dopędziliśmy oddział. Lelewel natychmiast wysłał pluton jazdy po pozostałych towarzyszach. Czy ich odszukali — nie dowiedziałem się nigdy.

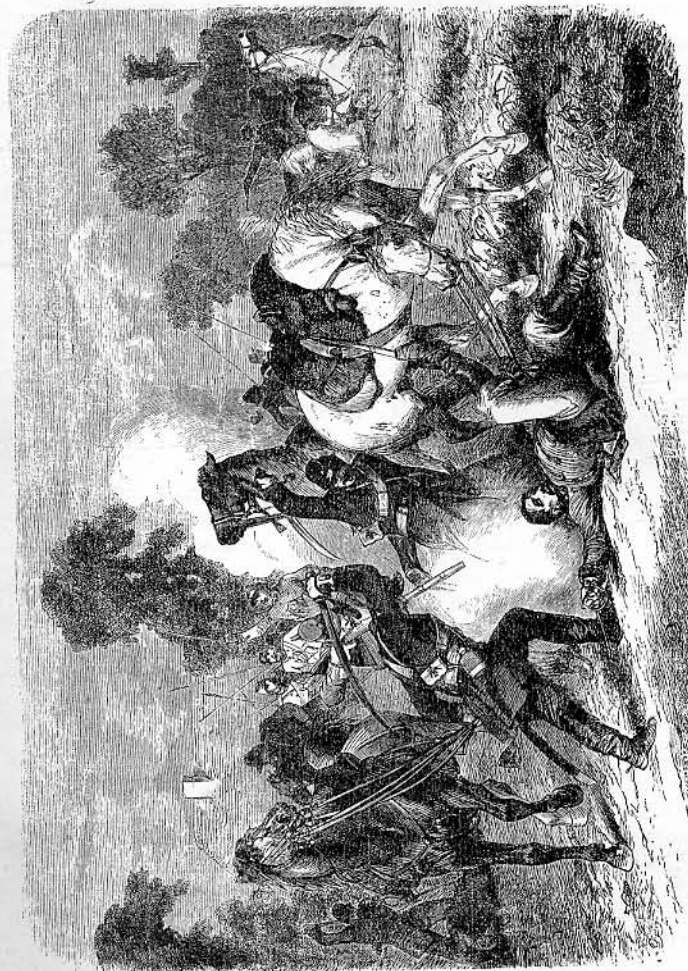
Grabówka-Frycz: Wspomnienia żołnierza.

11. Obóz Rembajły (Kality).

Wśród wspaniałych lasów bukowych i jodłowych, między licznymi w tamtej okolicy głębokimi wąwozami stały rozrzucone malowniczo duże szałas, dla każdej kompanii osobny, zbudowane jednakowo w podkowę w ten sposób, że miały ścianę północną pochylałą, jakby połowę dachu podpartą kołami i dwie ściany boczne, wszystkie utkane szczelnie z gałęzi jodłowych; pod dachem spaliśmy na słomie głowami na wewnątrz, a nogami do ogniska podsycanego ciągle drzewem, rębanem przez najętych robotników. Broń na dzień stawialiśmy w kozły przed szałasami, na noc kładł każdy swój karabin przy sobie. Przed każdym szałasem stał na warcie żołnierz z bronią na ramieniu, dzień i noc, zmieniany często...

Oddział nasz przedstawiał się wspaniale. Kilkuset żołdaków, wszyscy, chociaż młodzi, a już starzy żołnierze, tężdzy, zdrowi, pełni wojskowego animuszu, ubrani prawie jednakowo w krótkie kozuchy, w płaszcze wojskowe austriackie, czapy granatowe z czarnym barankiem, rogatki, jakie noszą chłopcy sandomierscy, a uzbrojeni w doskonałe karabiny jednego kalibru... Porządek, ład, koleżeństwo, ochota i zgoda, oto jakim duchem pałał ostatni, znaczniejszy oddział w tych stronach. Mustry odbywały się rzadko: wszyscy znali służbę i umieli obchodzić się z bronią. Oficerowie i podoficerowie byli przeważnie z wojska austriackiego...

...Jazda nasza była zgoła osobliwa. Gdy pierwszy raz ją ujrzałem, schwyliłem za karabin, tak łudzaco podobni byli



ARTUR GROTTGER: ŚMIERĆ CZACHOWSKIEGO

ci jeźdźcy do Kozaków. Dowodził nią oficer kozacki Popow, który poszedł do powstania i w oddziale zwał się Huraganem. Wszyscy kawalerzyści ubrani byli w prawdziwe uniformy kozackie; z przewieszonymi na rzemieniu spisami, z nahajem w rękę, na kozackich kulbakach udawali doskonale kozaków, co miało im ułatwiać zwiady i podjazdy.

Podczas obozowania w Cisowie zdarzył się niezwykle epizod: w potyczce oddziału Rembajły pod Iłżą dwaj oficerowie zamiast iść w ogień na czele swych komend, ukryli się i przesiadzieli gdzieś chwile niebezpieczeństwa — sprawa wydała się, nastąpił sąd, po którym kompanie uszykowane w czworobok stanęły poza obozem w szczerem polu, w środek wprowadzono pod strażą obu nieszczęsnych, przeczytano wyrok, strażę odstąpiły, czworobok rozwarł się, oddział pomaszerował w milczeniu do obozu, a oni oba zostali sami, wydaleny haniebnie z szeregów... stali, jak skamieniały; obejrzawszy się, widziałem ich jeszcze z dali stojących wciąż na tem samem miejscu z pochylonemi głowami.

Grabówka-Frycz: Wspomnienia żołnierza.

12. Formowanie oddziału Komorowskiego w Galicyi. Zwierkowski i Kahane.

Ochotnicy przybyli partyami.

Wtem patrzę, przyjeżdża furą Zwierkowski, a zanim wkrótce Kahane; z rozczuleniem ścisnąłem obydwóch. Początkowo sądziłem, że oni przyjechali popatrzeć się na nasz obóz, zobaczyć się z kolegami, zachęcać do wytrwałości, ale dowiedziawszy się, że mają zamiar brać udział w wyprawie, wykrzyknąłem zdziwiony: „A to poco? daliście już dosyć dowodów swej ofiarności. Będziemy bić jeszcze moskali“.

„Ale to złudzenie z waszej strony; z wyczerpanym organizmem, nie zniesiecie trudów obozowych, z jedną ręką nie obroni się nawet żaden z was od moskala“.

„Mamy jeszcze dosyć sił“.

Naturalnie moje uwagi, jakich pewnie nasłuchali się dosyć od wszystkich, nie zachwiały ich postanowieniem.

Obydwaj ci bohaterscy młodzieńcy stracili po jednej ręce pod Grochowiskami, teraz kalecy spieszą drugi raz

w szeregi narodowe, aby, nie już ramieniem, którego nie mieli, ale piersiami walczyć z wrogiem — wskazywać, jak się poświęca całego siebie dla ojczyzny.

W historii świata niema podobnych przykładów miłości ojczyzny i tylko w dziejach Polski porozbiorowej widzieć można żołnierzy na szczudłach i bez rąk walczących za wolność swego kraju.

Władysław hr. Tarnowski, żołnierz z mojej kompanii, pod wpływem uczuć, jakie widok w obozie tych dwóch potężnych duchem kalek wzniecać musiał, napisał wiersz następujący:

„O wy! o jednym ramieniu
Straciwszy drugie wśród boju,
Nie pozostali w spokoju,
Lecz, jak orlemu plemieniu
Przystało — z jedną w bój ręką
Idący! Pieśń wam, śle,
Jak pożegnalną łzę!
Jakkolwiek cichą, maleńką,
Lecz kiedyś, kiedyś, może i ona,
Jak ziarno wichrem poroznoszona,
Ujrzy w ojczyźnie weselszy czas;
Niechaj jej wtedy przypomni was,
Coście szli z jedną ręką na bój!
Wołając: Boże patrz! carze stój!
Gdy druga ręka z ziemi sterczała
I „patrz“ o piorun do Boga wołała.

Grzegorzewski: Wspomnienia osobiste, str. 190.

13. Czajkowski i jego Kozacy.

Kozacy Czajkowskiego byli to ludzie, którzy z Turcyi przez Rumunię, Galicyę, konno, zbrojno, w swoich malowniczych mundurach do powstania się przetrzęli. Dziś byłoby to niepodobieństwem, ale myślę, że i w owych czasach, mimo niezmiernie małej ilości kolei i telegrafów, nie łatwą to było rzeczą! Trzeba było takich ludzi, jak oni, żeby tę imprezę wykonać. Ależ bo to i byli żołnierze, jakich już niema i chyba nigdy nie będzie! Gdzie oni nie byli? Za kogo nie walczyli?

Prawdziwi rycerze wolności, a pokłuci, porąbani, postrzelani, jak rzeszoto, a mający niesłychaną praktykę żołnierską, umiejscawiając sobie radzić w każdym położeniu i okoliczności!

Pamiętam raz, kiedy przyjechała do nas żona naczelnika, pani Cieszkowska, a ziemia była wilgotna po deszczu, w mgnieniu oka urządzili z karabinów, postawionych w kozły cztery, jakby słupy, rozparli je położonemi w poprzek karabinami i w tych ramach z powiązanych żołnierskich płaszczy urządzili wygodny hamak. Nauczyli mnie także, jak otwierać najcięższe drzwi prędko i bez kłopotu; trzeba odstąpić parę kroków i puścić kulę ponad dziurkę od klucza, a drzwi się w jednej chwili otwierają. Jeżeli znów chce się podpalić dach słomiany, to wpycha się karabin cały w strzechę i obraca nim kilkakrotnie, trzymając za kolbę, potem cofa go się w tył do połowy i daje ognia, a dach w jednej chwili staje cały w płomieniach. Jeżeli zaś idzie o wykopanie studzienki, to się kilkanaście bagnetów zapuszcza jeden koło drugiego w ziemię w krąg, a potem wyrwa całą bryłę ziemi, następnie drugą i trzecią i t. d. Takich różnych sposobów znali mnóstwo, wogóle z karabinu i bagnetu umieli najrozmaitsze rzeczy robić, nie mówiąc już o pałaszach. Oni to także wprowadzili u nas w modę nazywanie wódki szrubą, a to od szruby, którą się manierki z wódką lub winem zakręcało. „Dawaj szruby!“ znaczyło: „dawaj wódki!“

Pamiętam, jak raz na dzielnych koniach przyjechało do nas kilku młodych obywateli, a między nimi jeden garbaty, który pomimo tego doskonale na koniu siedział i, jak mówiono, świetnie się bił.

Bo jest coś takiego we krwi, że jak Polak narodowe znaki zobaczy i trąbkę usłyszy, to wszystkie rozumowania biorą w łeb i uczucie i zapal swoje robią! Tak n. p. pewien obywatel z Lubelskiego, człowiek zamożny i poważny, a przytem, jak w owych czasach, ogromna większość obywateli ziemskich, posiadający wyższe wykształcenie, wytłómaczywszy synowi bezcelowość i bezużyteczność powstania, wysłał go na kursa zagranicę, ale sam, pojechawszy obejrzeć partyę, zaciągnął się w szeregi. A na drugi dzień ku wielkiemu zdziwieniu spotkał się ze swoim rodzonym synem, który niby pojechał na kursa. Powitanie było nader serdeczne i już potem obok siebie służyli.

Antoś Domaszewski z Domaszewnicy, bogaty jedynak, psuty i pieszczony przez matkę, która go do tego stopnia wydelikaciła, że nawet w lecie, po zachodzie słońca nie inaczej, jak w zamkniętej karecie, poobwijanego szalami, wozila, drząc ze strachu, że się od rosy zaziębi, także uciekł do powstania i na początek wśród padającego śniegu przebył rzekę Wieprz wplaw wraz z całym oddziałem kawalerii, do którego się zaciągnął. I o dziwo! Temu rozdelikacjonemu paniczkiowi, który dostawał kataru, jak w trzecim pokoju w lecie ktoś okno otworzył, ta kąpiel nie tylko nic nie zaszkodziła, ale owszem po kilku miesiącach bytu w powstaniu rozrósł się, zmężniał, nabrał doskonałej cery, słowem zrobił się z niego chłopak, jak dąb. — Podobna historia trafiła się i u nas, albowiem pewnego pięknego poranku, gdy już moja ręka zupełnie wydobrzała i na dyżury stawałem, w wolny dzień wezwano mnie do naczelnika, gdzie zastałem mego drugiego starszego brata, będącego klerykiem w seminarium. Wyszliśmy zaraz i po krótkim wstępie oświadczył mi bardzo uroczyście, że już dość dla mnie tego wojowania i że mam z nim zaraz wracać do domu. Rodzina moja bowiem, dowiedziawszy się o tem, gdzie jestem i że otrzymałem znów ranę, wysłała go po to, aby mnie przywiózł; zakończył zwykłą oracyą o młodości, nauce i t. d.

Wysłuchawszy z przynależną dla osoby duchownej pokorą, odpowiedziałem mu krótko, ale wyraźnie, że ja wracać ani myślę, ale że daleko będzie właściwiej, żeby on z nami został. Na to poczciwy Antoś odrazu się zgodził i przyznał rację tem bardziej, gdy mu wytłumaczył, że on miał polecenie odszukać mnie i przywieźć, jako rannego, więc potrzebującego kuracyi, skoro zaś jestem zdrow, ergo cel wycieczki chybiony. Po paru godzinach mój pan brat z karabinem w ręku i ładownicą daleko się lepiej prezentował, niż pierwej.

Brykczyński: Moje wspomnienia, str. 184.

14. Zgon Mieczysława Romanowskiego.

Śp. M. Romanowskiego poznałem w obozie oddziału śp. Lelewela (M. Borelowskiego), jako kapitana formować się mającej gwardyi i zarazem audytora obozowego, co je-

dnak nie przeszkadzało temu bohaterowi ze sztucem i bagnetem stawać w pierwszych szeregach walczących strzelców naszych.

Po bitwie z Moskalami pod Borowem, która została nierozstrzygnięta, wskutek zapadłego wieczora nasze lewe skrzydło strzelców, w zapale bojowym, nie dosłyszało hasła do odwrotu, aż gdy kapelan, ks. Żółtowski, z obawy o brata, który walczył w naszym skrzydle, nadbiegł i obwoływał, że oddział środka i prawego skrzydła jest na rozkaz wodza w odwrocie (co też przypłacił życiem) i gdy Moskale także cofnęli się, zebraliśmy się w szeregi, lecz wskutek nocy zdążyć za oddziałem nie mogliśmy.

Nastąpiła więc narada, z śp. Romanowskim na czele, ażeby przenocować na miejscu, zaś z brzaskiem dnia zdążyć pod granicę, celem zasiągnięcia języka o naszym oddziale i połączenia się z nim, co też nastąpiło dopiero dnia trzeciego, bo cały dzień oczekiwaliśmy w lesie pod granicą przewodnika. Tymczasem głód szarpał nam trzewia i wyczerpywał siły.

S. p. Romanowski był cierpiący i wyczerpany i z tem wobec mnie nie taił się, że pragnąłby choć dwudniowego wypoczynku pod dachem. Ja namawiałem ś. p. Romanowskiego, ażeby przeszedł granicę w celu wypoczynku, a miałem także w tem osobisty interes, bo starałem się posiadać jego własny sztuciec belgijski z bagnetem, uzbrojony bowiem byłem w lichy, stary, pruski karabin. Ś. p. Romanowski, jakby w przeczuciu śmierci, wahał się, lecz w końcu oświadczył stanowczo:

— Nie, nie przejdę, bo nie uwierzą, że jestem fizycznie wyczerpany i ogłoszą mię uciekinierem.

Z oddziałem złączyliśmy się, lecz Moskale tropiąc nas, starali się otoczyć nasz oddział, wobec czego wódz nasz Lelewel zmuszony był ciągle zmieniać obóz. Otóż przez wszystkie noce maszerowaliśmy głodni bez wytchnienia.

W krytycznym dniu 24. kwietnia r. 1863. odbyliśmy marsz lasami, trwający do g. 4 popołudniu, a stanęliśmy obozem na polanie leśnej przy bagnie pod Józefowem.

Zdawało się, że tam wypoczniemy. Rozstawiono czaty, wzniesiono ogniska, zabierano się do ugotowania kaszy ję-

czmiennej. Dwie kompanie strzelców szykowały się do mustry. Obfity opad śniegu orzeźwiał nasze zbiedzone członki.

Wtem doszedł nas rozpaczliwy jęk zakłutego piką kozacką młodziutkiego żołnierza z naszych czat. Nieszczęśliwy, a zapewne i inni zmęczeni wysiłkiem marszów, zgłodniiali i niewyspani — zasnęli na czatach!

Potem nastąpiła komenda „do broni“, lecz równocześnie także moskiewska, z trzech stron, a tak blisko, że każdy wyraz komendy moskiewskiej był słyszany. Pułkownik Lelwel wołał: „Kto mężny na ochotnika, zasłaniać odwrót!“ (przez bagno sięgające do bioder). Otóż i katastrofa.

Stało nas około 70, lecz krótko trwał nasz opór otaczającej przewadze Moskali tj. piechoty, dragonów i kozaków; wystrzelano naszych. Cofając się przez nieszczęsne bagno, zobaczyłem, że ś. p. Romanowski padł na wznak i że sztuciec wypadł mu z ręki. Gramoliłem się, ostrzeliwując w oczekiwaniu na moją kolej, lecz naszpikowany w odzież 5 kulami, dotarłem do twardego gruntu.

Zapadła noc, śnieg topniał w ciepłej krwi poległych. Niedobitki, a zebrało się nas 13, skupiliśmy się w gąszczu pod rozłożystą sosną, ażeby paść na wysłane śniegiem łoże. Zasnąć nie mogliśmy, bo przymrozek przez przemokłe ubranie wnikał aż do szpiku.

Nastąpił ranek, lecz jakże był smutny, gdy oczom naszym przedstawił się widok ciał białych, okrwawionych, gęsto jak snopy po żniwie leżących na przemarzłym i śniegiem pokrytym bagnisku. Jedno z tych ciał drgało resztkami życia.

Ś. p. Mieczysław Romanowski leżał, jak wszyscy polegli, zupełnie nagi, odarty przez rycerzy moskiewskich nawet z bieleziny. Leżał na wznak z wyrazem twarzy, jak gdyby uśmiechniętej w błogim marzeniu.

Kula moskiewska przeszła przez pierś bohatera na wyłot, przecinając na zawsze tętno tak gorąco Polskę kochającego serca.

Cześć i chwała poległemu za wolność Ojczyzny, Pola-kowi, poecie, żołnierzowi!

Wincenty Rudnicki: (Księga pamiątkowa 40-lecia, str. 401).

15. Henryka Pustowójtówna.

Adjutant Langiewicza, dwudziestoletnia dziewczyna, córka jenerała rosyjskiego z matki Kossakowskiej, skoligacona z najpierwszemi naszymi rodzinami, wysoko wykształcona i poetycznie kochająca Ojczyznę, była prawie w Lublinie początkiem rozruchów. Napisawszy bowiem pieśń: „Boże, coś Rosyę“, została przez policję uwięziona i w Sybir zesłana. Przy uwięzieniu spoliczkowała gbura moskiewskiego i wlała taki zapal w umysły młodzieży, że siłą ją odbić chcieli i w tej chwili powstanie uczynić. Ale ona zaklęła ich na miłość Ojczyzny, aby nieprzygotowani nie powstawali i została wywieziona. Z drogi uciekła i udała się do Multan, a stamtąd, gdy rewolucya wybuchła, do obozów polskich, gdzie jako żołnierz i adjutant, dała dowody największej odwagi i zdolności, a jako kobieta tak umiała sobie nadać takt i ton, że wśród kilkutyśycznego obozu, różnorodnego żołnierstwa, każdy ją poważał.

Wiśniewski: Wspomnienia kap. wojsk polskich, str. 44.

16. Leon Frankowski.

Usługi, jakie Leon Frankowski oddał sprawie powstania, zaledwie pobieżnie skreślone być mogą, bo w olbrzymiej tej podziemnej pracy, która się organizacją narodową nazywała, zginęło 100.000 wielkich czynów, olbrzymich poświęceń i cichych ofiar, stłumionych grobowem milczeniem, milczeniem, które było warunkiem powodzenia.

Po raz pierwszy wystąpiła postać Leona wśród manifestacyi. Miał wówczas rok 18. Odtąd był jednym z najczynniejszych, najodważniejszych i najrzęczniejszych organizatorów manifestacyi. Nikt od niego śmieiej i z zimniejszą krwią nie przyklepał plakatów, nikt spokojniej wśród kręcących się policyantów nie rozdawał odezw. Był to wówczas chłopczyzna niski, szczupły, z dziecięcym wyrazem twarzy, z wiecznym uśmiechem na ustach, z potarganym zawsze włosem, w zabłoconych bucikach i poplamionym studenckim mundurku. A jednak ta niepozorna postać była znana, kochana, szano-

wana od sal Tow. rolniczego aż do warstatów rzemieślniczych i straganów Starego miasta; chociaż bowiem miał duszę prostą i naiwną, chociaż mowcą nie był, ale czuł każdy instyktowo, że pod zszarganym mundurkiem bije najczystsze, najzaczniejsze serce, bezmierna miłość Ojczyzny, nie zbrudzona żadną ambycją osobistą. Prócz walki o niepodległość, Frankowski nic innego nie pojmował, nie rozumiał i pojąć nie chciał. Powołaniem jego i specjalnością była konspiracja powstańcza. To też konspirował znakomicie.

Z tej miłości dla kraju pochodziła nieporównana, pełna wdzięku i poezji prostota jego. On tak się żył, zrosł z je-dyną myślą swoją, tak poza nią nie widział i nie pojmował, że poświęcenie ciągłe i bezwarunkowe stało mu się potrzebą i koniecznym warunkiem życia, on ani nie przypuszczał, że inaczej mógł robić, inaczej istnieć i pracować, żeby mógł się nie narażać i nie konspirować.

To bezwiedne instyktowe prawie poświęcenie, stanowiło jeden z głównych rysów szlachetnego tego charakteru. Żadnych wielkich frazezów o poświęceniu, o ofiarach. Z prostotą dziecka i ze spokojem bohatera biegł do kresu swego zawodu, kresu o którym wiedział dobrze — do szubienicy. Dla niego było to zupełnie naturalnem. Dlatego też w Komitecie centralnym Leon Frankowski był jednym z najwybitniejszych członków.

Organizatorską zdolność nie wzięt z ksiąg, ani też z doświadczenia, ale tajemnice jej odgadł, przeczuł przez intuicją i stał się wybornym organizatorem. W najtrudniejszych okolicznościach w miłości Ojczyzny czerpał on środki najwłaściwsze, najprostsze i najkrótsze.

Wysyłany wciąż tam, gdzie było najciężej, pracował bez przerwy i wytchnienia. Z chwilą powstania, z chwilą spełnienia najdroższych jego życzeń, rzucił się Leon z podwójną energią do dzieła. Zrozumiał, że powstanie rozwinąć się może i zwyciężyć tylko szaleem zapału i rzucaniem się na wszelkie czyny bez pamięci i rachunku. Z pod Lubartowa, gdzie należał do nocnego ataku na armaty, w dniu 22. stycznia jednym ruchem opanował Kazimierz i okolice, i zabrał kasy na rzecz skarbu narodowego. Oddział, który oddał pod dowództwo militarne Zdanowicza, natychmiast starał się uzbroić i do pewnego przyprowadzić ładu. W kilkanaście dni rzeczywiście

zrobił go jednym z lepiej wymustrowanych, najlepiej do walki gotowych.

Gdy w jednej z potyczek został ciężko ranny i wzięto go wraz z innymi w niewolę, leczono go starannie, pieszczono prawie, spodziewając się, że ta dziecięca dusza złamie się wśród cierpień fizycznych i porobi zeznania im potrzebne. Lecz gdyby Moskale znali go lepiej, nie zadawaliby sobie tyle trudów.

Dn. 16. czerwca 1863 krzyż zmartwychwstającej Polski — szubienica — uświęconą została tą nową, jedną z najszlachetniejszych ofiar.

W chwili egzekucji był spokojny, jak zwykle. Chciał jednakże zginąć jak żołnierz i żądał zmiany szubienicy na rozstrzelanie. Po odmownej odpowiedzi wstąpił na szafot. Koniec ten był naturalnem, harmonijnem uwieńczeniem pełnego poświęcenia życia.

Struś: Ludzie i wypadki 63 r., cz. I. str. 120.

17. Józef Kwiatkowski, mieszczanin.

Skazany na więzienie, schronił się w Paryżu.

W Paryżu doczekał się Kwiatkowski powstania 23-go stycznia 1863 r. Powstanie przedwcześnie wybuchło potrzebowało przede wszystkim broni. Sprowadzenie jej było sprawą pierwszorzędną. Jeżeli zaś zważymy, z jakimi trudnościami połączony był transport, przyznać musimy, że dostarczanie jej powstańcom należało do zadań najbardziej zawikłanych. Omylić policje prawie wszystkich krajów, popchnięte spiskiem istniejących wtedy rządów do wspólnego przeciwko powstaniu naszemu działania; przewieźć tajemnie przez kilka granic ukrytą broń — zaprawdę trudniej było, niż wygrać bitwę. Kwiatkowski podjął się tej, zdawałoby się niepodobnej do wykonania misji.

Mianowany głównym agentem do zakupywania broni w Wiedniu, stamtąd różnemi drogami i różnemi sposobami, często niezmiernie dowcipnemi, wyprawiał broń na pole bitwy. Ze wszystkich agentów broni on jeden nie ściągął na siebie nagany Rządu Narodowego, wszystkie bowiem jego transporty doszły na miejsca przeznaczone.

(Polska w walce, t. I. str. 171).

18. Biały Janek.

W organizacji powstańczej Rządu Narodowego, bardzo ważną jej częścią była policja Narodowa.

Zadaniem Narodowej policji było przeważnie, a nawet wyłącznie przeciwdziałać i paraliżować tajemne i podstępne usiłowania policji moskiewskiej w staraniach odkrycia organizacji powstańczej. Oprócz tego podobnie jak rząd moskiewski — przez swoją policję usiłował wcisnąć się w organizację narodową i tą drogą dowiadywać się o działaniach i zamiarach Rządu Narodowego — tak samo i Rząd Narodowy — przez swoją policję musiał szukać zetknięcia ze wszystkimi urzędami i władzami nieprzyjacielskimi od naczelnymi do najniższych. Były to wojenne miny i kontrminy. To podwójne zadanie policji czyniło ją jedną z najważniejszych instytucji powstańczych. Zorganizowanie jej było trudnym i niebezpiecznym, wymagało bardzo wielkiej przezorności, przenikliwości i odwagi, obok rozumnej i rozważnej ostrożności.

W pierwszych miesiącach powstania organizowanie i samo działanie policji narodowej było łatwiejszym. Z wyjątkiem władz wojskowych — wszystkie inne władze i urzędy były polskie. Policja była przeważnie z Polaków złożona. Wypadki poprzedzające powstanie podniosły ogólny nastrój i poczucie patriotyczne ludności, szczególnie w miastach. W Warszawie nastrój patriotyczny doszedł do zenitu. To ułatwiało rozwój organizacji powstańczej. Nie wtajemniczeni i nie należący ściśle do samej organizacji chętnie spełniali powierzone im zadania i czynności. Posłuch dla Rządu Narodowego był niemal ogólny. Sama policja moskiewska dostarczała policji narodowej i wogóle powstaniu — chętnych i oddanych ludzi.

Jakoś w kwietniu — jednej nocy wyszło do powstania osmdziesięciu żołnierzy policyjnych z oficerami. Ja sam miałem sposobność zetknięcia się z nimi i udzielenia im potrzebnych instrukcyj, gdzie, jak i do którego oddziału udać się mają.

Zarodki organizacji policji narodowej istniały jeszcze przed powstaniem jednak bez charakteru ściśle ograniczonego. Organizacja, w tej formie, w jakiej przetrwała przez całe

powstanie, została dokonana już po jego wybuchu. W głównych zarysach odpowiadała ona równolegle organizacji nieprzyjacielskiej. Był więc naczelnik ze swoimi pomocnikami. Warszawa była podzieloną na dzielnice odpowiednio cyrkulom — byli komisarze, rewirowi, ajenci. Oprócz tego w każdym urzędzie, nie wyjmując władz i urzędów wojskowych nawet jeneralnego sztabu i przybocznej kancelarii namiestnika, byli ludzie oddani sprawie narodowej. Wszystkie nici tej organizacji skupiały się w ręku naczelnika policji — a oprócz niego w ręku naczelnika miasta i jednego z członków Rządu Narodowego.

Trudne i niebezpieczne stanowisko, naczelnika policji narodowej — Komitet Centralny (który dopiero w maju 1863 r. przybrał tytuł Rządu Narodowego) — oddał w początkach powstania w ręce Jana Karłowicza, znanego jeszcze z organizacji przedpowstańczej; pomocnikiem naczelnika był Jan Masson. Karłowicz dla jasnych włosów nazywany był „Jankiem białym“ — Masson zaś silny brunet „Jankiem czarnym“. Obadwaj młodzi około lat 30-stu, obaj przyjaciele mieli wiele cech wspólnych w charakterze i usposobieniu. Obaj gorący patrioci, energiczni, aż do zuchwałości, gdy tego zachodziła potrzeba, a przytem rozumnie ostrożni, doskonale się uzupełniali. Janek biały, więcej stanowczy, szybko się orijentujący, był rzeczywistym i doskonałym naczelnikiem. Janek czarny posiadający więcej sprytu i przebiegłości — był wyborynym wykonawcą.

Dwaj ci ludzie założyli podstawy policji narodowej, która przetrwała do końca powstania, najmniej stosunkowo dając ofiar Moskalom na pastwę. Składała się z ludzi młodych przeważnie. Jeżeli kto z jej członków tak na miejscu się skompromitował t. j. ujawnił, że dalsza działalność jego stawała się niebezpieczną, to szedł do szeregów powstańczych walczyć bronią. Na polu walki otwartej każdy widział nieprzyjaciela. Organizacja cywilna była też walką — ale z nieprzyjacielem ukrytym, chytrym, przebiegłym, to też często członkowie policji znużeni i wyczerpani tą skrytą walką — sami domagali się wyprawienia ich do oddziału — w otwarty bój!

W krótkim czasie oba te imiona „Janek biały“ i „Janek czarny“ — a szczególnie pierwszego z nich — stały się ogólnie znane i były niemal na wszystkich ustach. Janek biały,

śmiały, odważny był wszędzie i nigdzie — gdzie najniebezpieczniejsze zadanie było do spełnienia, szedł sam, nie dając się wyręczyć.

Prędko też policja nieprzyjacielska nabyła przekonania o ważności organizacji i Janka białego. Nie знаła jednak nazwiska, a że fotografia w owym czasie nie była rozpowszechnioną — więc i wygląd osoby nie mógł być tak łatwo policji znajomym. Rozpoczęło się jednak polowanie na Janka białego. W kwietniu Janek biały, ścigany i tropiony musiał ukrywać się, mieszkając i nocując przygodnie.

Podziwiać istotnie należało odwagę i wytrwałość tego człowieka. Siłę mu dawała jedynie głęboka miłość Ojczyzny i wysokie zrozumienie ważności pola działania, który mu przypadło w udziale. Takie życie, z wiszącą nieustanną groźbą i niebezpieczeństwem, nie ustając w pracy, prowadził do listopada 1863 r.

Zdawało się nieraz Moskalom, że już go mają, wpadają do domu, gdzie miał nocować, często zastają tylko ciepłe jeszcze łóżko, wpadają do kawiarni, do restauracji, gdzie miewał schadzki i narady, ale już przyszli 5 minut zapóźno.

Janek zbierał osobiście owoce z przeprowadzonej przez siebie organizacji. Wiedział doskonale o każdym kroku nieprzyjaciela — prawie, że wiedział naprzód, co nieprzyjaciel zamierza. Sieć jego organizacji była zarzucona wszędzie — donoszono mu wszystko. Podwładni wszyscy spełniali swoje obowiązki gorliwie i sumiennie. Janek biały umiał wszystkich natchnąć tym duchem, tą miłością Ojczyzny — która całą jego istotę ogarniała. Wszyscy go kochali, ufali mu i byli posłuszni na skinienie.

Opowiem tu epizod, który najlepiej uwydatni postać tego prawdziwego bohatera.

Po wyjeździe z Warszawy W. K. Konstantego i objęciu rządów w Królestwie przez generała Berga działanie organizacji stawało się coraz trudniejszym. Berg przedewszystkiem zreorganizował policję. Obsadził najważniejsze postęunki Moskalami. Miało to dla nas pewną dobrą stronę — bo byli to ludzie nowi, obcy, nie znający kraju ani stosunków — a odznaczali się brutalstwem i dzikością — byli to prawie wyłącznie oficerowie gwardyi.

Musiano zatem zostawić na stanowiskach tak w jawnej

jak w tajnej policji — wielu Polaków — wybierając takich, którzy odznaczali się niby najgorliwszą służbą. Wielu jednak z tych podstawionych należało do organizacji narodowej — służyli oni nadal tej sprawie, choć z większą ostrożnością.

Byli jednak i tacy — którzy służąc przedtem wiernie nieprzyjacielowi, teraz tem gorliwiej, chcieli tę swoją służbistość i wierność okazać. Były pomiędzy nimi charaktery słabe, zbląkanane; obroza silnie zaciśnięta przytłumiła szlachetniejsze uczucia — choć gdzieś tam w głębi duszy tlała jeszcze jakaś iskierka.

Jednym właśnie z takich był w tajnej policji moskiewskiej niejaki Zagórski. Był to człowiek bardzo niebezpieczny, zajadły i nieubłagany tropiciel — posiadający nieograniczone zaufanie przełożonych, używany do najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych wypraw. Janek biały usiłował wszelkimi sposobami pozbyć się go, lub uczynić nieszkodliwym. Nie było jednak możliwości do niego trafić. Był zręczny, przebiegły, umiał zawsze się wymknąć.

Janek biały postanowił za jakąkolwiek cenę — jeśli go nie zjednać to ubezwładnić. Przeczul w Zagórskim owego człowieka zbląkanego, w którego sercu tliła się jeszcze szlachetniejsza iskierka, którą należało rozdmuchać.

Janek biały, tak ścigany przez Moskale, przez tego samego Zagórskiego, za którego uchwycenie, nia wiem jakaby dali Moskale nagrodę — postanowił osobiście rozmówić się z Zagórskim. Poszedł do Zagórskiego, przedstawił mu się, że jest Jankiem białym — którego szukacie. Zagórski, wobec tej prawie tytanicznej odwagi człowieka, którego tak tropił, a który sam oddawał mu się w ręce — struchlał i oniemiał.

Janek biały miał w sobie siły ducha, potęgi i zapалу, że potrafił w przemowie swojej — u tego zdawało się skończonego zdrajcy, odszukać i rozniecić iskierkę szlachetności i miłości, tlejącą jeszcze w głębi serca. Zagórski z płaczem rzucił mu się do nóg — Zagórski był już zjednany.

Pozostał w służbie moskiewskiej — lecz odtąd wiernie służył sprawie narodowej.

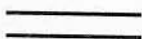
Moskale zachodzili w głowę — nie mogąc trafić na ślady zdrady. W końcu padło podejrzenie na Zagórskiego. Uwięziono go. Zagórski jednak tak mądrze i przebiegle działał,

że mu nic dowieść nie zdołano. Wysłano go jednak na Sybir i tam umarł.

Jan Karłowicz w listopadzie 1863 r. znużony, wyczerpany, wyjechał do Paryża. Przed wojną prusko-francuską przybył z innymi do Lwowa i pod Lwowem osiadł. Zmarł w S. Remo i tamże pochowany.

Cześć jego pamięci!

J. K. Janowski: Księga pamiątkowa 40-lecia, str. 933.



CZEŚĆ TRZECIA.

ŻYCIE OBOZOWE. — POTYCZKI.

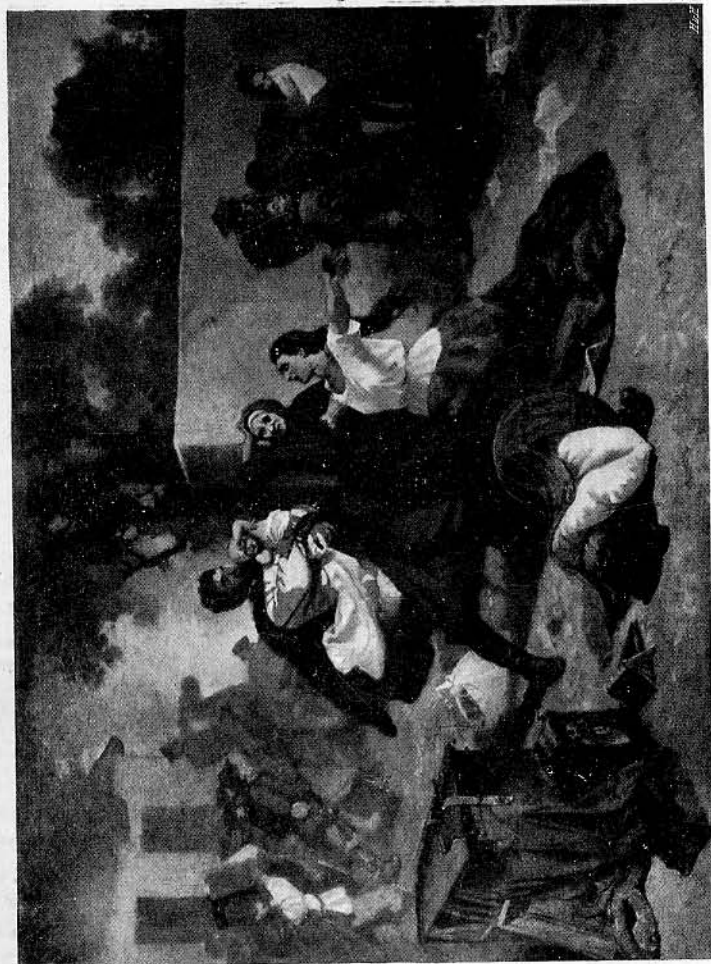
1. Wyprawa do obozu.

Oczekiwaliśmy niecierpliwie wybuchu walki, marzyliśmy o wojsku polskiem — o przyszłych zwycięstwach! Czytaliśmy wszystko, co odnosiło się do naszej historii, literatury, poezyi, uczyliśmy się pieśni narodowych, fechtunku, komendy.

W chwili wybuchu powstania kończyłem lat 18, brat mój 19.; o ile ja byłem chłopcem czerstwym i zdrowym, o tyle on zdolniejszy, lecz wątpliwy i słaby; obaj rozumieliśmy, że nie jest zdatny na żołnierza, ale przejęty zapałem nie mógł on urzeczywistnić pragnienia walczenia za ojczyznę. Naczytawszy się opisów kampanii legionów, Księstwa Warszawskiego, wojny 31 r., wyobrażaliśmy sobie, że i teraz będzie formowana armia, że powstaną biura wojskowe i magazyny, więc brat mój rezygnując z miejsca w szeregu, zamierzał, choć mniej sławnie, służyć w jednej z tych gałęzi wojskowości. — Na wieść o powstaniu oczekiwaniem, lecz nie spodziewaniem tak rychło, zawrzało w Krakowie, rozpoczęły się gorączkowe przygotowania odpowiedniej odzieży, poszukiwanie i zakup jakiegokolwiek broni, prochu, lanie kul, robienie naboju. — W kilka dni później mówiono już o formującym się w Ojcowie, tuż za granicą oddziale; opowiadano o transportach przewiezionej jakoby z zagranicy broni, o przybywających ze szkoły wojskowej w Cuneo oficerach Polakach; gazety doniosły o licznych potyczkach z wojskiem rosyjskiem w głębi Królestwa.

Młodzież uniwersytecka, rzemieślnicza i starsza szkolna zaczęła znikać z miasta — nadszedł czas wyruszenia i dla nas; ale brat mój zasłabł, była zima, więc przekonywałem go, że powinien zatrzymać się jeszcze, dopóki organizacja wojska nie postąpi o tyle, żeby się znalazło dla niego miejsce poza szeregiem, że ja powinienem iść naprzód, a wywiadziawszy się, jak sprawa stoi, zawiadomić go w chwili właściwej. Biedny mój brat płakał rzewnie w rozpacz, czuł się pokrzywdzonym, lecz musiał uleść — postanowił wstrzymać się jeszcze.

Pierwszych dni lutego grono kolegów rówieśników: Librowski, Jahner, Wybranowski, Kern i ja, wyruszyliśmy w nocy najętą furą do granicy; dalej pieszo do Ojcowa, dokąd bez przeszkód przybyliśmy przededniem. Unoszona najwznioślejszymi uczuciami śpieszyła nasza piątka do obozu. Księżyc oświecający malowniczo piękną drogę do doliny Prądnika, jodłowe lasy i fantastyczne skały ojcowskie przyprószone śniegiem, wśród których snuje się legenda o Łokietku; cisza nocy, tajemniczy pochód drużyny zbrojnej w trzy stare dubeltówki, jeden pistolet i jeden pałasz, wszystko to sprawiało nam złudzenie niezwykłych, w stał zakutych, skrzydlatych rycerzy idących na pewne zwycięstwo.... Nagle rozlega się okrzyk: „Stój, kto idzie?“ i zagradza nam drogę stojący na pikiecie kosynier, pierwszy widziany w życiu kosynier! Po wyjaśnieniu, kto jesteśmy i poczęstowaniu kolegi z manierki idziemy dalej ciekawi i spragnieni widoku obozu. Wchodzimy do hotelu „Pod Łokietkiem“; szyldwach wskazuje nam kwaterę oficera, któremu mamy się zameldować — jakoż w pokoju pełnym śpiących pokotem na podłodze, siedzi mąż w krótkim kożuszku, w baraniej czapce z trójkolorową kokardą, przy pałaszu, a po przedstawieniu się zapisuje nasze nazwiska w dużą księgę — gdy wymienilem moją, podaje mi rękę, bo zna mojego ojca, chwali gorliwość patriotyczną i zachęca, abyśmy wstąpili do plutonu pod jego komendą — zgadzamy się najchętniej, a tymczasem radzi nam przespać się i za dnia zgłosić się do niego. Był to pan Wrotnowski, aptekarz z Działoszyc, który uniesiony zapalem odbiegł pięknej i młodej żony i został oficerem ułanów.



ARTUR GROTTGER: POŻAR DWORU POD MIECHOWEM

Wśród bezładnych prawie gromad (w Ojcowie) wyróżniał się mały oddziałek, może około 100 ludzi, złożony przeważnie z młodzieży szkolnej; cały oddział był uzbrojony w strzelby myśliwskie, przyczem niektóre były zaopatrzone nawet w bagnety, dorabiane w Krakowie, co budziło zazdrość i zachwyty kosynierów, a komenderowała tym oddziałem postać niezwykle oryginalna. Był to Rochebrun Francuz lat średnich, podobno podoficer, czy podporucznik żuawów francuskich, sprowadzony niedawno do Krakowa przez hr. Piotra Moszyńskiego dla nauki fechtunku i gimnastyki dorastających synów: oświadczył on chęć służenia sprawie polskiej i zapewne w roli mentora jednego z nich, starszego Emanuela, znalazł się w Ojcowie. Rochebrun, prawdziwy żołnierz, jakich niewiele było w obozie polskim, pełen fantazyi i werwy francuskiej, był dla powstania cennym nabytkiem, toteż został mianowany kapitanem z poleceniem formowania kompanii strzelców. Wziął się do rzeczy energicznie i wkrótce wykazał niezwykle zdolności. Nizki, chudy, czarny, z fizygnomią typowo francuską, ruchliwy, gestykujący, chociaż nie umiał ani słowa po polsku, lubił przemawiać często, posługując się jako tłumaczem Moszyńskim; wkrótce zwrócił on na siebie i na swój oddziałek uwagę wszystkich powstańców, którzy z podziwem patrzyli, jak strzelcy z każdym dniem lepiej się mustrują i stają się coraz więcej podobni do prawdziwego wojska. Rochebrun niezmordowany w ćwiczeniu swoich żołnierzy, był także surowy w przestrzeganiu regulaminu wojskowego; zaprowadził rygor i ład; przyjmował do swoich szeregów tylko tylu ochotników, dla ilu miał broń palną, dobierał zaś ochotników zdrowych i dobrze ubranych.

Grabówka-Frycz: Wspomnienia żołnierza z r. 1863 — 4.

2. Pomoc udzielona koledze.

Nasza piątka trzymała się razem. Wszyscy wyszliśmy cało, tylko śmiertelnie zmęczeni, zziębnięci, rozbici na ciele i na duchu. Ledwie uszliśmy tyle, że Miechów został za nami, jakieś paręset kroków, Librowski, jeden z piątki, warty i słaby, siada na szosie, żegna nas i chce zostać, niezdolny jest iść

dalej — nie zastanawiając się, chwytny go pod pachy i wlecemy, jak martwego, nagle jakiś kolega, powstaniec idący obok, pada przeszyty kulą od strzelających za nami Moskali. Librowski, jakby ożył; wyrwa się: „pójdzie sam, byleśmy wzięli tamtego“ — porywamy go — ten krzyczy, błaga go, żeby go zostawić, dobić; kładziemy go na nosze z halabard, ale go unieść zaledwie możemy, dobywamy ostatka sił, gdy się w porę nawija któryś kawalerzysta, ściągamy go z konia, gdyż nie chciał oddać go dobrowolnie, sadzamy rannego, chwije się, mdleje, podtrzymujemy go, wreszcie dopędzamy furę pełną rannych, kładziemy go na nią, bierzemy znowu Librowskiego, idziemy.

Grabówka-Frycz: Wspomnienia żołnierza.

3. Wyjazd do powstania.

Styczeń r. 1863 był w Galicyi hałaśliwy. Powstanie w Polsce zelektryzowało wszystkich. Szlachta zjeżdżała się od domu do domu; a gdzie się zjechało zaraz i sejmik, którego przejść granicę, jak z bronią, pod czyj dowództwem?... We mnie krew polska zakipiała, krew nieodrodna ś. p. ojca mojego Napoleończyka, którego jako kapitan przeżył wszystkie napoleońskie bitwy w legionach polskich. Dla mnie dość było, że krew polska się leje, że wroga bije — cóż tu dyplomatyzować? Kto zdrow, a z mężnym sercem, hurra na wroga!

Ależ dzieci? żona — majątek zawikłany? Dzieci? — Któż jak nie kochający ojciec powinien pracować, aby w spuściźnie zostawić dzieciom nazwisko prawego Polaka? A czyż nim może być ten, który za piecem siedzi, gdy bracia krew za Ojczyznę przelewają? Żona! — Czyż historia nasza nie dość daje przykładów, że prawe Polki same mężów do obozu wysyłały, gdy rzeczpospolita wymagała tego? Zawikłany majątek? Poruczyć prawemu juryscie, aby rozwiłkła choćby sprzedaż tegoż i zapewnił żonie i dzieciom byt. To były odpowiedzi serca na zapytania rozsądku. A więc dalej w drogę! Natenczas szumno się wyjeżdżało do powstania. Otwarty powóz zajeżdżał do hotelu w Krakowie,

siadłem z Ferdynandem w ubiorach obozowych, dubeltówki leżały koło nas, a przed nami obozowe efekta. Z wszystkich numerów znajomi, nieznajomi wybiegali, a każdy z uściskiem w rękach, z błogosławieństwem na ustach! Gdyśmy przez ulicę przejeżdżali, znajomi i nieznajomi żegnali nas, a z okien, pod któreśmy przejeżdżali, nasze Polki powiewały chustkami i błogosławiły nas. Na rogatce zapłaciłem myto i nikt o więcej nie pytał. Komorę austryacką o kilkadziesiąt kroków objechaliśmy, a moskiewska nie istniała. Chłopi wybiegali naprzeciw nas, błogosławiąc nam i pytając się, czy wiemy drogę do obozu polskiego; z karczem gromadnie wybiegano z muzyką, która grała: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Tak przybyliśmy 16. lutego do Ojcowa.

Wiśniewski: Wspom. kapitana wojsk pols. 1863. str. 3. i 8.

4. Wiśniewski w obozie.

Wiedząc, że Sztabowi nie mogę być użytecznym w kreśleniu planów, obrałem sobie za stanowisko w obozie, trzymać się szeregów, zjednać sobie miłość w obozie i tą miłością utrzymywać w nim porządek, dobry duch i nieograniczone poświęcenie dla sprawy. I zadanie moje udało mi się całkowicie. Sercem tak łatwo zdobyć serca. Zbrałem się ze wszystkimi, nie zważając na pochodzenie każdego z osobna. Dla mnie dosyć wiedzieć było, że jest moim kolegą, że jak ja tak i on pierś swą nastawia kulom moskiewskim. Ogłosiłem, że nie posiadam własności, że wszystko co mam jest nasze wspólne! Nie pozwoliłem sobie być nigdy jakiejś wygodki, czy to w jadle, czy w napiwku, a każdym kęsem chleba dzieliłem się z kolegami. Byłem służbistą, a co do joty wykonywałem rozkazy, nie pozwalając, aby który z kolegów w czem bądź mnie wyręczył. W każdym sporze między kolegami starałem się być pojednawcą i w ten moment robiłem zgodę. Czuwałem nad tem, aby wiara w szeregach nie sejmikowała i nie dozwalałem żadnej dyskusji nad rozkazami starszych. Nieograniczone posłuszeństwo jest pierwszą cnotą żołnierza. Swoją drogą własnymi pierściami lub plecyma zasłaniałem kolegów, gdy mniemałem, że mi się krzywdza dzieje. I tak pamiętam, maszerowaliśmy pod do-

wództwem Langiewicza i Jeziorańskiego. Ostro było zakazanem, wśród marszów przechodząc przez wieś, z szeregów wpadać do chałup, aby zapobiedz możliwym nadużyciom. Kosynier jeden rwał się do chałupy, podoficer wstrzymywał go, z czego zawiązała się głośna między nimi dyskusja. Wpada major Czachowski, a dowiedziawszy się o powodzie kłótni, bez sądu wojennego na miejscu, w naszych oczach z rewolweru pali w łeb kosynierowi. W szeregach zrobiło się ogromne zamieszanie i hałas. Byłem natenczas porucznikiem strzelców. Maszerowałem z moimi tuż za kolumną kosynierską, gdzie się ten wypadek stał. I moi strzelcy zaczęli się na ten fakt burzyć. Naszym majorem był Grudziński. Tenże wpada z pałaszem na moich strzelców, chcąc ich płazować. Wystąpiłem i oświadczyłem, że będąc porucznikiem jestem kitem między nim, a strzelcami; że jeżeli chce płazować, to moje plecy stoją mu na usługi, że przezemnie ma prawo wydawać rozkazy. Zrozumiał poczciwy major, że plecyma własnymi ochroniłem kolegów od sromotnego uderzenia, zażądał odemnie, aby strzelcy ucichli i odszedł. Ja zaś okazałem kolegom, że siebie dla nich naraziłem i prosiłem o spokój. Cisza nastała, gdyby mak zasiał. — Innym razem, pamiętam, staliśmy na polu — o kilkaset kroków płynęła rzeczulka. Byliśmy zmęczeni, spragnieni. Jeden z moich strzelców pobiegł ku wodzie. Jenerał Śmiechowski spostrzegł to i wysłał swego adjutanta młodziutkiego chłopaka dla nawrócenia strzelca. Adjutant podskoczył konno, a zamiast zadość uczynienia swej powinności sposobem godziwym, uderzył reitpajczem przez głowę strzelca, którego w ten sposób uderzony i shańbiony, zapomniał się do tego stopnia, że wobec całej armii, w oczach generałów skolbował adjutanta. Tym sposobem dopuścił się największej zbrodni, jaka na żołnierzu ciężcy może. Jenerałowie wpadli na naszą kompanię z krzykiem i hałasem. Wywleczono winnego z szeregu i oddano pod straż. Zwołano sąd wojenny i zadecydowano karę śmierci. Przykro mi się zrobiło, chciałem go uratować. Ze spokojem wytrzymałem hałaśliwą burzę. Gdy się jenerałowie trochę uspokoiłi, wystąpiłem z szeregu ku Jeziorańskiemu i przemówiłem: „Jenerale! jako porucznik tego oddziału i jako może najstarszy wiekiem w całym obozie, mam sobie za obowiązek opowiedzieć, co się stało: Kolega chybił, że

podniósł rękę na adjutanta, ależ sam widziałem, że adjutant pierwszej uderzył go reitpajczem po głowie. My wszyscy, co tu jesteśmy, jesteśmy ludźmi honoru, bo niesiemy życie dla ojczyzny, a człowiek honoru, gdy dostanie w twarz, działa już potem bezprzytomnie. Za czyn bezprzytomny kara nie powinna następować. Proszę więc o pardon!“ I znowu po wojskowemu salutowałem generała, a wiara nasza krzyknęła: „prosimy o pardon“. Chmurna twarz generała rozjaśniła się i odpowiedział mi: „Dobrze, ale na drugi raz porucznik będzie odpowiedzialny“. „I owszem, odrzekłem, ale tylko dopóki ja, lub któryś z moich kolegów nie będzie w twarz uderzony“. Strzelca oddano mi, rzucił on mi się w ramiona i szczerze zapłakał. A wiele razy później w Krakowie mnie zdybał, tyle razy ścisnął mnie mówiąc: „Tobie życie winien jestem!“ Generał, jak mi później powiadano, rad był temu mojemu wystąpieniu, bo jako Generał musiał podpisać wyrok śmierci, a jako Polak szczęśliwy był, że mógł zachować syna ojczyźnie. Takim działaniem zyskałem miłość całego obozu, a miłością tą utrzymywałem porządek i karność u podwładnych i miłości tej zawdzięczam życie moje, które kole-dzy uratowali mi pod Kobyłanką.

W. Wiśniewski: Wspomnienia kapit. wojsk polskich 63 r., str. 21—24.

5. Obóz w Goszczy.

Czasy pobytu w Goszczy najpiękniejsze, najmilsze zоставiły po sobie wspomnienia! Wszystko zaś tak się składało, aby przez cały czas naszego w nim pobytu pięknym się wydawał. Pogoda była wyjątkowa w marcu; w powietrzu czuć już było pierwsze wiosny tchnienie, a śnieg na stokach północnych choć się jeszcze błyszczał — błonia z południową wystawą już przysychały. Na tych błoniach tu i ówdzie wojska nasze odbywały ćwiczenia, a już sam widok szeregów maszerujących, uzbrojonych, ochotnych, gotowych do walki z wrogiem, choć mizernie ubranych, napełniał serce otuchą i radością. Kawalerya nasza imponowała najwięcej, a szczególnie oddział umundurowany w białe kierezye krakowskie. Te kierezye krakowskie wywołały jakieś sympatyczne wrażenia,

jakieś reminiscencye błogie przywodzące na pamięć Raclawice, w pobliżu których właśnie się znajdowali. Boże! jaki to był śliczny obóz! jakie cudowne widoki! A wieczorem! Księgi by można i pisać i zapisać o tem wszystkiem, cośmy wtenczas nafantazyowali przy ogniskach biwakowych o walkach naszych przyszłych, o zwycięstwach, o zainteresowaniu się ludów Europy sprawą polską, o przybyciu Garibaldiego i Kossuta, o interwencji Francuzów, o entuzjazmie Warszawy na widok wkraczających naszych szeregów. Kto widział wówczas ten obóz w Goszczy, kto patrzył na owe wojsko polskie ożywione jednym duchem, ten musiał nabrać przekonanie, że z takimi ludźmi można cudów dokazać.

Grzegorzewski: Wspomnienia osobiste, 67 str.

6. Pierwsza wedeta.

Noc była spokojna, księżyc za chmurami, ziemia pokryta jeszcze śniegiem — gdzieniegdzie wyżyny tylko czerniały.

My stoimy na wedecie, stoimy przejęci ważnością naszego zadania, wyteżając wzrok na wszystkie strony. Wtem widzimy postacie jakieś, jakby ku nam się zbliżające, więc teraz tem silniej wpatrujemy się w ciemny przestwór i czekamy. Postacie owe, jak cienie, poruszają się to na prawo, to na lewo, to ku nam, lecz nic wyraźniejszego nie można odróżnić, choć łyż z patrzenia płyną. Sądziliśmy, że jakiś oddział Moskali, nie wiedząc o naszym obozie, mija nas z boku, lub też spostrzegłszy, zdaleka obserwuje. Tymczasem i dzień zaczęło. Im więcej brzask rozpraszał ciemności, tem dokładniej kształty owych moskali występowały na śniegu, jakby coś nieruchomego.

Gdy się trochę rozwidniło, przekonaliśmy się, że to krzaki i wtedy odzyskaliśmy równowagę nerwów. Strach o bezpieczeństwo obozu był powodem halucynacji.

Grzegorzewski: Wspomnienia osobiste, str. 30.

7. Langiewicz w Górach Świętokrzyskich.

Langiewicz wyparty ze swego trójkąta, począł na nowo organizować się na Łysej Górze. Pozycja to była jedyna

i jak w sam raz odpowiadająca partyzanckiemu działaniu i dla powstańców nieobliczone korzyści przynosząca, bo źle uzbrojeni i nie wyćwiczeni równowazyli tę stronę swoją wyższością pozycyi. Góra stroma, wysoka, porośnięta starożytnym lasem, przedstawiała tysiące sposobności do zasadzek i ukrytej, a bezpiecznej obrony. Sam klasztor znajdujący się na jej szczycie, obszerny, rozległy, otoczony dokoła murem, a podówczas prawie pusty, bo zaledwie zamieszkały przez jednego mnicha staruszka, nie opuszczającego już wcale łóżka, przedstawiał nietylko punkt obronny ale i ochronę przed mroźną i dżdżystą porą, jaka poczęła panować.

Była to iście romantyczna pora w żywocie powstania styczniowego. Wśród zimy, bez broni, pod wodzą milczącego zawsze jenerała, z nimbem tysiąca wieści o ich bohaterstwie, garstka zaprawna już w walce, sadowi się jak orląt gromada na szczycie lesistej góry, w starym benedyktyńskim, Chrobręgo czasy jeszcze pamiętającym klasztorze; głodna, a przecież nie upadająca na ducha, obdarta, a z szyderstwem na ziemie stojąca, bezbronna, a dumająca o walkach nowych i oswobodzeniu Rzeczypospolitej od morza do morza, nosi na sobie charakter średniowieczny, niby żywcem wydarty ze starego rycerskiego romansu.

Czengiery, nie pozwalając wzrósć Langiewiczowi w nowe siły, które jak zwykle garnęły się do niego ze wszystkich stron, uderzył na jego stanowisko na Łysej Górze. Lecz po całodziennej walce został odparty. Pierwsze to było zwycięstwo powstania — dodało mu ono otuchy, zapалу i zachęciło wielu. Tą razą zwyciężyła doskonałość pozycyi. Langiewicz jednak nie trzymał się tu długo, ale, nie wiem dlaczego puścił się nieco ku południowi i zajął Staszów. Nazajutrz zaatakował go pułkownik moskiewski Zwierow. Powstańcy rozrzuciwszy się po domach, utrzymując rzęsisty i na blizki dystans ogień, zmusili i tą razą Moskwę do cofnięcia się. Po tem nowem zwycięstwie Langiewicz wzrasta w siłę, organizuje się lepiej, jazdę ma liczniejszą i nieźle uzbrojoną, broni więcej, dowódców lepszych. Sztab jego jest liczny, któremu ulega i daje sobą powodować. W tym sztabie pojawiają się kobiety, między któremi pierwszeństwo trzyma głośna panna Pustowojtów. Była to córka moskiewskiego jenerała z Lublina, którą wypadki wciągnęły do konspiracji, nizka,

krępa, brzydka, ubrana po mężku i z charapem w rękę adjutantowała Langiewiczowi... Z pomiędzy podwładnych dowódców wybitnie pod tę porę Czachowski, były wojskowy polski, a później właściciel jakiejś wioski pod Radomiem; człowiek już niemłody, siwy, gwałtowny, surowy nadzwyczaj, jeśli nie srogi, ale zresztą ogromnej energii i żelaznej woli. Był to radykalista par excellence, człowiek, jakich więcej trzeba było powstaniu. Dowodził trzecim bataljonem strzelców w oddziale Langiewicza. Podwładny mu bataljon odznaczał się największą karnością, bo Czachowski nie żartował, nie tylko kbił, co się zmieściło, ale rąbał nieposłusznych szablą lub strzałem z pistoletu rozsadał czaszkę. Skarżono się na niego, bo te różnorodne żywioły nie pojmowały tego, że w takiej zbieraniu jedynie surowa karność może zaprowadzić jaki taki porządek. Mimo to wszystko porządku jeszcze nie było, jakiby być powinien był. Często-kroć wedety całe noce przypędzały na stanowisku, bo zapomniano o nich; przy wyruszaniu w pochód zostawiano ich, bo znów zapomniano, że potrzeba przeciw takowe ściągnąć; jedne kompanie miały jeść do sytu, drugie prawie umierały z głodu, albo rozdano im w chwili wymarszu po kawale surowego mięsa. Był to bez zaprzeczenia nieporządek, którego wreszcie w takim stanie rzeczy, wśród ciągłych walk i marszów uniknąć niepodobna było, a i tak cudów dokazano, że potrafią jaką taką zaprowadzić organizacją.

Po bitwie Staszowskiej Langiewicz ruszył ku szosie kielecko-buskiej i o dwie mile od Kielc zatrzymał się na tejże szosie w wiosce Morawicy. W Kielcach Moskale sądzili, że ich będzie atakował, padł więc na nich strach wielki, na gwałt porwali się do broni i poczęli obsadzać znacznie-sze punkta miasta. Tymczasem Langiewicz wyruszył dalej w kierunku zachodnim i stanął obozem pod Małogoszczem, gdzie ku niemu dążył Jeziorański. Był to marsz śmiały i jeden z najświetniejszych w kampanii Langiewicza. Zrobił go w przeciągu 3 dni a więc dość spokojnie i wolno, przerznął w dwóch punktach drogi bitej idącej od Kielc, punktach oddalonych od tego miasta na 2 mile zaledwie, ocierając się niejako bokiem o drżących od strachu Moskali i narażając swoje skrzydła i tyły, gdyby nieprzyjaciół był śmielszy, po-dał rękę dążącemu ku niemu od północy Jeziorańskiemu.

Wykonał ten ruch śmiało, odważnie i szczęśliwie, połączył się z Jeziorańskim, zajął dość dobrą pozycję i już zdwojony w liczbie groźną chmurą zawisł nad Kielcami. Wreszcie ożywił w tej stronie kraju upadającego ducha, bo po rozbiciu Cieszkowskiego nie było tu już żadnego oddziału, prócz paru drobniejszych snujących się koło linii kolei warszawsko-wiedeńskiej.

Sulima: Wspomnienia ułana, str. 35.

8. Po Miechowie.

Siedemnastego lutego, 1863 r. po krwawej bitwie Miechowskiej.

Z odległości nie większej nad trzy kilometry od Miechowa, przy trakcie od Wolbromia karczma.

Przed karczmą garstka jezdnych posiadała z koni i karmi je sianem. To resztki niedobitków z 2-go plutonu jazdy. Smutni, przygnębieni, u niejednego łza w oku świeci, patrzą na miasto, w którym przed chwilą toczyła się walka krwawa, w której tyłu kolegów grób znalazło!

Naraz buchnął w górę słup czarnego dymu — za chwilę drugi, tam trzeci — Miechów się pali! Moskwa swoim zwyczajem nietylko morduje, ale pali i grabi.

Miasto w kilku punktach podpalone, dym gęsty i czarny kłębam wzbija się w górę. Słysząc szum ognia, trzask palącego się drzewa, jakieś dziwne, dzikie, przerażające głosy, które lekki wiatr donosi do uszu naszych.

To jęki i płacz mordowanych, to wycie pijanej krwi i wódką tłuszczy żołdactwa, któremu starszyzna rozkazała „pohulać“. Więc hula, dopóki czuje świeżej krwi zapach, dopóki nie zastygną trupy dzielnych Ojczyzny obrońców! A garstka białych, zrozpaczonych niedobitków, ze łzami w oku, z sercem bolejącym, zapatrzyła się w ten obraz pełen zgrozy z smutku, zasluchiwała w te jęki ponure i głuche. Rwie się dusza i serce tam, gdzie na ulicach walają się jeszcze trupy poległych kolegów, gdzie jęczą ranni wleczeni do dołu przed kościółkiem św. Barbary; tam znajdują wspólny grób!

Naraz: „Na koń, do broni“, krzyknięto przed karczmą. Podbiegają podoficerowie, Fryzowicz, Potocki i Chełmoński.

W ganku stoi podporucznik A. Fibich i podoficer Zakrzewski. Na koń, na koń, wołają obaj. Bracia, koledzy, mówi Zakrzewski, Moskwa pijana pali i rabuje, wpadniemy do miasta i pomścimy naszych braci! „Na koń komu miły Bóg i Ojczyzna!“

Rozbiegli się podoficerowie do swoich sekcji; popręgi ściągnięto, mundsztuki założono; dwudziestu kilku ludzi, dwudziestu kilku niedobitków siadło na koń, gotowych pomścić braci lub prawdopodobniej zgiąć, jak oni...

Przed karczmą tymczasem Fibich, Zakrzewski i jeszcze dwaj inni — radzą. My na koniach przy swoich sekcjach czekamy, słuchamy.

— Z czemże pójdziemy, — czy jest chociaż kilka pistoletów, choć kilkadziesiąt ładunków, — toć i lance porzucili, bo nie umieją nimi władać — zawadzały tylko.

— Mamy ręce, mamy zęby, aby szarpać i gryźć, odzywa się Zakrzewski.

— A iluż nas? pytano — garstka, może dwudziestu pięciu lub trzydziestu. Czyż nie znajdzie się jeszcze tyluż Moskali w Miechowie na tyle trzeźwych, by nas przed wejściem do miasta wystrzelać?

— Mieszkańcy nam pomogą; przy ich pomocy wyrznięm do nogi pijanych.

— A czemże, bracia, rznąć będziemy?

— To zgińmy jak inni, woła dzielny Zakrzewski.

— Zgińmy, ale drogo nasze życie sprzedamy, — zgoda.

Tymczasem ani czem walczyć, ani czem bronić się nie mamy.

Rozmowa ta, którą całą wysłuchaliśmy stojąc, gotowi do marszu, — ostudziła nieco pierwszy zapał. Spojrzeliśmy po sobie znacząco. — Ani pistoletów, ani ładunków. Jedyna broń pałasz, którego powiedziałszy prawdę, nie bardzo użyć umieliśmy.

— Pójść do Miechowa dlatego, by się dać zabić, to nie zasługa.

— Jeżeliśmy wyszli cało, to dla tego, by póki sił i życia służyć Ojczyźnie — doszło znów naszych uszu.

— Złączymy się z jakim oddziałem i zaopatrzeni w broń i ładunki znajdziemy nieraz sposobność pomścić klęskę dzi-

siejszą. Obrońców Ojczyzny nie tak wielu jeszcze dzisiaj. Życia nam lekceważyć nie wolno.

Były to ostatnie słowa narady, jakie nas dochodziły, poczem zakomenderowano marsz i ruszyliśmy drogą ku Ojcowu, jadąc stępem i w największym porządku.

Czy ta garstka niedobitków zasługiwało na miano „uciekiniarów“ z pod Miechowa? — Nie!

Do Ojcowu przybyliśmy prawie o zmierzchu. Tu już zastaliśmy pierwszy pluton jazdy i rannych przywiezionych z pod Miechowa.

Gdybyśmy w chwili odpoczynku przed karczmą mieli ze dwadzieścia strzelb jakich takich i ze trzydzieści kos, śmierć kolegów byłaby strasznie pomszczoną.

Moskwa była tak pijana, tak przejęta rabunkiem i grabieżą, że oficerom wydającym sprzeczne rozkazy, przykładła bagnety do piersi, podczas gdy reszta bez broni tarzała się pijana po rynku z pianą na ustach, bełkocąc przekleństwa na buntowników.

Niestety ani jednego karabina, ani jednego ładunku, ani jednej błyszczącej kosi — jaka była rzeczywiście postrachem Moskali.

Umieściwszy konie w stajni, nie rozkulbacząc jednakże, czekaliśmy rozkazu niespokojni, że nie widzieliśmy ani naszego dowódcy plutonu Józefa Gaszyńskiego, ani podporucznika Fibicha, który z nami przybył z pod Miechowa. Podobno oficerowie zebrali się na radę w domu „pod Łokietkiem“.

Naraz podniosła się jakaś wrzawa, bieganina, nawoływania. Od strony domu „pod Łokietkiem“ słyszymy komendę: „na koń, na koń!“ Wpadamy do stajni, poprawiamy siodła i mundsztuki i w oka mgnieniu wyprowadzamy konie na drogę.

W szeregach słychać głosy: Moskale za nami!

Bagrations z piechotą i dwoma działami w Owczarach.

Złączymy się z nami pierwszy pluton; stoimy czwórkami, podczas gdy słychać wrzawę i turkot wozów, którymi wywożą rannych.

Nareszcie wraca spokój; ciemno już dokoła, rusza i nasz pluton powiększony o czterdziestu kilku ludzi z pierwszego plutonu, którym dowodził porucznik Rose. Maszeru-

jemy czwórkami, ku Pieskowej skale i na łączce u podnóża „pałki Herkulesa“ stajemy. Na przodzie pierwszy pluton — nasz za nim. Na przodzie radzono, dość długo, nareszcie zdecydowano. „Mamy przejść granicę“, powiada jeden drugiemu. „Idziemy do Galicyi“.

Nie potrafię dziś opisać, co się działo ze mną w tej chwili, zabolalo mię serce, trząsałem się jak w febrze. Co się stanie po przejściu granicy? Wspomniałem rodziców, braci, z których młodszy walczył w okolicy Łodzi i naszą wioskę z tym poczciwym polskim ludem. Czy ujrzę Was jeszcze kiedy? Płakałem, jak dziecko; nie miałem siły stłumić łkania, spostrzegł mię w takim stanie nadjeżdżający od pierwszego plutonu Kazimierz Czerny i zapytał o przyczynę.

— Więc po to tu przyszedłem, aby zamiast bić się, uciekać za granicę, wrócić może, dostanę się do oddziału — wreszcie wrócić w moje strony.

— Czy znasz okolicę? pyta Czerny.

— Nie znam — ale to mi wszystko jedno, pójdę, gdzie oczy poniosą.

— Zaufaj mi — mówi Czerny; wpadniesz łatwo Mojskalom w ręce po nocy zwłaszcza. Jedź z nami, w Krakowie dostaniemy broni, zbierzemy ochotników i wrócimy do Królestwa.

Wkrótce potem wyruszyliśmy przygnębieni milczący.

Przebyliśmy granicę. Po północy przybyliśmy do Czerny. Mieszkańcy nie przyjęli nas gościnnie. Odmawiali chleba nawet za dobrą zapłatą, ledwie użyczyli garści słomy na wypoczynek. A kiedy zasnęliśmy twardo, gospodarze nasi na naszych własnych koniach popędzili do Krzeszowic, dając znać o naszym przybyciu.

Za nimi zjawił się oddział węgierskich huzarów i kompania piechoty, którzy łapali nas jak opryszków, obdzierali nawet z kocy, któreśmy wyjęli z pod siodeł, gdy nam chłopie konie zabrali — zdarli mi nawet z rękawa czerwoną tasiemkę, znak podoficerski.

Dostawiono nas do Krzeszowic, następnie wieczornym pociągiem do Krakowa i umieszczono w forcie przy rogatce warszawskiej, gdzie przebyliśmy do 4 g. rano.

O czwartej zajęchały wojskowe czterokonne wozy, do

których nas wsadzono, otoczono eskortą i wprowadzono na Wawel.

M. Chełmoński: (Księga pamiątkowa w 40 lecie powstania, str. 90).

9. Ogłoszenie dyktatury Langiewicza.

Około 11 godziny rano, na błoniu stosownie obranem za wsią, ustawiono całe wojsko w wielki kwadrat w ten sposób, że ołtarz przygotowany do ceremonii znajdował się w środku tegoż. Do ołtarza powołano starszyznę i tam wobec zebranych odczytał Jeziorański manifest Langiewicza do narodu o objęciu władzy dyktatorskiej, a ks. Kamiński odebrał przysięgę od dyktatora na wierność narodowi. Rozległ się okrzyk „niech żyje dyktator“, który powtórzyliśmy w szeregach i skończyła się ceremonia.

W czasie przysięgi Langiewicza miało miejsce dziwne atmosferyczne zjawisko. Słońce świeciło jasno na niebie, białe chmurki wolno przeciągały w przestworze, a w chwili uroczystej tak się ułożyły, że słońce wprost na nie świeciło. Widok nie był zwykły, bo były trzy słońca na niebie. Połączenie tego zjawiska atmosferycznego z aktem ogłoszenia dyktatury bardzo dobre wrażenie na wojsku zrobiło. Zdawało się, że znaki niebieskie wróżą nam lepszą przyszłość, a oświecając blaskiem swoim akt historycznej doniosłości, wróżą nową erą dla Polski, zapowiadają koniec smutku i żałoby narodowej. Gdyby nie te 3 słońca, to ogłoszenie dyktatury przeminęłoby bez głębszego wrażenia, bo wojsko nie entuzjastkowało się tą nową formą rządu.

Grzegorzewski: Wspomnienia osobiste, str. 72.

10. Pod Kobylanką.

Przez Łańcut, Sieniawę zdążyły małe partye powstańcze na punkt zborny w lasach zakordonowych koło Kobylanki; jednej nocy nastąpiło rozdanie broni i formacja; broń była kalibrowa, przeważnie karabiny austriackie z bagnetami, amunicji poddostatkiem. Z raportów patrolujących wiedziano

uż o gromadzeniu się zewsząd sił nieprzyjacielskich. Jakoż po dwudniowej swobodzie obozowej, w śliczny dzień 3-go maja nastąpiło pierwsze starcie, atak nastąpił popołudniu od strony południowej naszego obozowiska. Korzyści terenu wspierały nas, bo pozycja nasza okolona od strony południowej grzązkiemi, jak po wiosennych roztopach moczarami, z rzadkiem olchowym zalesieniem była dość nieprzystępną, zaś od strony południowo-zachodniej zastłonięci byliśmy pasem granicznym, a to wzgórze, któreśmy zajmowali, stanowiło zalesienie podszytej młodzieżą sośniny. Od północy był las grubopienny, także sosnowy, odgraniczony dość szeroką, jasną linią rewirową. Zwycięskie w tym dniu odparcie ataku przypisać należy także udanej dywersji naszej konnicy na boki Moskwy. Trwało to starcie 3 do 4-ch godzin, wieczorem stały już spokojnie dwie oddzielne mogiły, a właściwie stosy poległych; większy był naszych stryjasków.

Dnia 6-go maja rozpoczęła się bitwa całodzienna kanonadą silną od strony owych moczarów. Z poza drzew naszej wyższej pozycji obrona i odparcie było tem skuteczniejsze, o ile dotkliwsze straty atakujących, spowodowane przez moskiewską artylerję, której strzały mylnie były skierowane na własne lasem zakryte kolumny i zdzięsiątkowane — na tych moczarach kartaczami. O szczegółach tej pomyłki, opowiadał potem zbiegły artylerzysta rosyjski. Straty i po naszej stronie były znaczne, a szczególnym żalem napeliła nas śmierć młodzieńca, wychowanka szkoły batignolskiej, syna dowodzącego wraz z Jeziorańskim, generała Waligórskiego. Nastąpiła może godzina przerwy, rannych i zabitych zbieramy po lesie, gdy ozwały się znów trąbki i bębny od strony północnej; widoczny był drugi błąd taktyki rosyjskiej, atak spóźniony, niejednoczesny z poprzednim. Łańcuch strzelców naszych, ustawionych przy linii rewirowej w pogotowiu, oczekiwał już chwilę, gdy z lasu wysuwa się kompania za kompanią w kolumnach rozpierzchłych i wrzawa bitwy zahuczała w pełni. Pod silnym naporem świeżego żołnierza, cofają się nasi w stronę bezpiecznego kordonu granicznego, gdzie oddział huzarów ustępuje głębiej, porzucając widowisko ciekawe; a nasze gęste strzały z poza granicy rażą potężnie nawałę moskiewską, pędem przelatującą przez nasz obóz i ogniska niedopalone. Walka ucicha, jeszcze nie sza-

rzało, gdyśmy wrócili na swoją pierwotną pozycję. Straty obopólne wielkie; noc głucha ogarnia ogólnem przygnębieniem przerzedzone nasze zastępy, wśród cmentarzyska tyłu poległych; przeraźliwy pisk sów i kukanie puchaczy wystraszonych z pieleszy rodzinnych, potęguje zadumę grobową, buchnęły jednak płomienie ognisk i jakoś nam jaśniej się zrobiło i weselej. Była może północ, gdy rozszedł się rozkaz, o mającej za chwilę nastąpić wyprawie, a właściwie nocnym napadzie na park artylerji rosyjskiej w pobliżu stojącej. Komentantem tej wyprawy na ochotnika był kapitan Zebkowicz i wnet stanęła falanga spora pod jego komendą. Odchodzimy na bok i przy dalszych ogniskach, urządzamy sobie ucztę śmiertelną. Wino czerwone i białe zafundował z hojnością książęca, znany nasz opiekun — pijemy szklanekami, gdy nowy rozkaz odwołał ryzykowną tę wyprawę. Skończyła się zatem na zdrowiu fundatora ta uczta. Nadmienić należy, że prócz wina dostały nam się i dukaty, bo fundator ów był zarazem kupcem-amatorem na czapki kozackie, które płacił złotem, a których kolekcya zdobi obecnie ściany zamku w Krasiczynie. Na drugi dzień po marszu całodziennym wzdłuż granicy, naciskami przez coraz silniejszego nieprzyjaciela, przeszliśmy do Galicji.

Michał Neuster: Księga pamiątkowa w 40 lecie powstania, str. 310.

11. Ochotnicy na straceńców.

Oddział powstańczy Habicha posuwał się w dusznym skwarze sierpniowego popołudnia drogą od Wolbromia do Ojcowa. Zbliżał się właśnie do Głonowa, gdy przednia straż ostrzegła go, że z lasu wychylają się kolumny Moskali. Był to silny oddział pod dowództwem ks. Szachowskiego, liczący blisko 1½ tysiąca piechoty, 500 kawaleryi i 2 sotnie Kozaków.

Habich rozejrzał się ze smutkiem po swoich szeregach. Były szczupłe i lichy uzbrojone. Twarz dowódcy zaszępiła się ciężką troską. Nagle odwrócił się do nieruchomych zamarych w oczekiwaniu szeregów powstańczych:

„Bracia! zawołał — potrzebuję 10 ochotników. Zostaną

oni w Glonowie, aby powstrzymać Moskali i będą w 10 opierać się całej ich sile do ostatniego tchnienia, a tymczasem reszta oddziału schroni się do lasu“.

Umilkł na chwilę, wodząc bystreimi oczyma po twarzach powstańców. Szeregi zakołysały się nieco, jakby przeleciał po nich wicher mroźnej śmierci i skamieniały znowu w oczekiwaniu i ciszy.

„Kto na ochotnika?“ — „Ja“ — odezwało się grzmiotem 300 piersi, cały oddział rzucił się naprzód potrząsając karabinami i kosami.

Roziskrzyły się oczy Habicha. „Niech żyje Polska“, zakrzyknął pełną piersią, a po szeregach przeleciał długo nie milknący, jak grom mocny okrzyk: „Niech żyje Polska!“

Z szeregów wysunął się Krukowiecki, syn smutnej pamięci jenerała z r. 1831 i prezentując broń, rzekł: „Pozwól mi pójść, naczelniku!“

„Dobrze! obejmiesz dowództwo nad całą dziesiątką“.

Wybrano 10 najlepszych strzelców i szczupła garstka rzuciła się biegiem w stronę Glonowa, żegnana okrzykami pozostałych towarzyszy.

Piątrowy, mурowany dwór glonowski zwrócony frontem do drogi, którą Moskale mieli nadejść, stał zupełnie opuszczony, mieszkańcy znać uciekli przed grozą wojny.

Był to dogodny punkt obrony dla powstańców. Zatarasowano mocne żelazem okute drzwi; powstańcy ustawili się koło okien. Krukowiecki słynny w całym oddziale jako najlepszy strzelec kazał 2 szeregowcom stanąć za sobą i nabijać wystrzelone karabiny.

Wśród powstańców zapanowało milczenie wytężonego oczekiwania. — Ostrożnie i zwolna poczęli wsuwać się przez bramę kozacy. Rozglądali się podejrzliwie dokoła; ich małe, skośne oczka latały niespokojnie po wszystkich zakątkach podwórza. Dwóch powstańców podniosło karabiny do ramienia, Krukowiecki wstrzymał ich skinieniem ręki.

„Szkoda prochu na to paskudztwo — szepnął pogardliwie. Kozacy myszkowali po podwórzu, potem wybiegli na gościniec. Za chwilę doleciały z oddala ich dzikie, nieludzkie wrzaski.

„Spostrzegli naszych“, domyślili się powstańcy. Raz



jeszcze obejrzeni karabiny i ładownice, zdawało się słycać już było głuchy łoskot zbliżającej się piechoty i jazdy moskiewskiej.

Pierwsze szeregi piechoty nieprzyjacielskiej weszły na podwórze spokojnym, miarowym krokiem, jak na mustrze. Powstańcy podnieśli karabiny, ten i ów przeżegnał się szybko. Palił zakomenderował półgłosem Krukowiecki. Huknęły strzały. Jak piorunem rażony zwał się z konia jadący przedem oficer. Kilku żołnierzy wypuściło z rąk karabiny i z jękiem padło na ziemię; przednie szeregi skłębily się na chwilę, poczem z rykiem szalonej trwogi poczęły rozsypywać się po podwórzu, tłoczyć się na napierających z tyłu. Strzały powstańców padły tak niespodziewanie, że w całym oddziale moskiewskim zapanował na chwilę zamęt; odezwały się krzyki komendy, oficerowie poczęli płażować cofających się żołnierzy.

Uśmiech tryumfu rozświetlił twarze powstańców. „Damy wam bobu!“, szepnął któryś. Zagrzmiała druga salwa. Moskale cofnęli się z podwórza, unosząc rannych. Opamiętali się jednak rychło. Poczęli obchodzić dwór dookoła, obsypując go zdawało gradem kul karabinowych. Potem z wrzaskiem rzucili się do szturm; ziemia zajęczała pod ciężkimi stopami żołdaków. Z okien dworu huknęły strzały — dziesięciu najbliższych legło trupem. Krukowiecki chwycił raz po raz karabin z rąk stojących za nim powstańców, nieprzerwanym ciągiem padały z rąk jego strzały, a każdy śmiertelny, rażący najbliższych, najbardziej natarczywych, wydzierający z moskiewskich szeregów oficerów i starszyznę. Kilka pierwszych szeregów biegnących do szturm Moskale legło pokotem; inni zatrzymali się na chwilę, potem poczęli cofać się i uciekać. Szturm powtórzył się jeszcze raz, drugi i trzeci. Ale żołdactwo szło już do szturm coraz większą trwogą napełniały ich te milczące mury domu, z którego okien wychylały się lufy karabinów, patrzące na napastników ciemnym okiem niechybnej śmierci.

Po trzecim szturmie nastąpiła długa cisza.

Z okien dworu widać było, że większa połowa piechoty moskiewskiej z całą kawaleryą i kozakami poszła w poгон za oddziałem Habicha.

„Bądź co bądź już uszli kawał drogi“, pocieszali się obleżeni, kontenci, że nie darmo oddadzą życie.

Nagle uwagę ich zwrócił jakiś dziwny szum, trzask, potem huk coraz potężniejszy, rozlegający się z góry od dachu.

„Podpalili nas“, wykrzyknął któryś; widmo straszliwych męczarni konania w zaduchu dymu, wśród żrących płomieni stanęło przed powstańcami.

Moskale zawyli radośnie i zwartym półkolem zbliżać się poczęli do domu. Z szeregu ich wystąpił oficer i powiewając białą chustką, zawołał: „Polacy! wzywam was, poddajcie się. Za chwilę zginiecie w płomieniach. Nie będę mścił się na was za tylu zabitych żołnierzy. Oddacie mi tylko waszą broń, a car najmiłościwszy rozporządzi o waszym losie. Powtarzam, za chwilę zginiecie“.

Powstańcy milcząc wysłuchali tej przemowy. Krukowiecki wychylił się oknem: „Polak umiera, ale nie poddaje się nigdy“, odpowiedział krótko i twardo. W tejże chwili z szeregów moskiewskich padł strzał. Kula zdarła kaszkiet Krukowieckiemu. „Zdrajcy!“, syknął Krukowiecki, podnosząc karabin do ramienia. Żołnierz moskiewski zachwiał się i runął, wypuszczając z rąk karabin. Huknęły znowu strzały gęstą, nieustającą salwą, żołdactwo nacierało coraz bliżej, strzały powstańców, choć zawsze śmiertelne, były coraz rzadsze.

Brakło im nabozi.

Strzelał już tylko Krukowiecki, ilekroć wiatr odgarnął kłęby dymu zasłaniające Moskali.

Jeden z powstańców wyjął książkę do nabożeństwa i począł odmawiać litanię za konających. Słowa modlitwy rozległy się ponuro przy huku karabinów wśród syku i trzasku płonącego dachu. Cały oddział powtarzał głosem uroczystym, spokojnym: „Zmiłuj się nad nami, Panie“. Potem ze wszystkich piersi wypłynęła pieśń, którą lud wiejski śpiewa na pogrzebach: „O Jezu mój! o Jezu mój! gdy będę w ciężkościach, sam przy mnie stój!“ Na pogrzebie własnym śpiewali powstańcy, czerwone iskry zaczęły już im sypać się na głowy.

Karabiny moskiewskie umilkły. Zdawało się, że ten śpiew pogrzebowy zaczarował napastników, że nie chcą mącić ostatniej chwili życia ginących, że pozwalają im umrzeć spokojnie, choć straszną śmiercią w płomieniach i dymie.

Krukowiecki również przestał strzelać, śpiewał z innymi.

„Co to?“ zawołał nagle, jakby się ocknął z letargu. — „Moskale uciekają. — Czy odsiecz?“

Powstańcy pędem zbiegli na dół.

Podwórze było puste. Wśród zmroku zapadającego wieczora czerniały tylko trupy, porzucone tornistry, kociołki. W ciszy wieczornej słychać było tylko westchnienia konających, huk płomieni, trzask walącego się wiązania dachu.

Nie widać napastników, ale też odsieczy ni śladu.

Z poza węgła stodoły wysunął się ostrożnie jakiś cień i zbliżył się z wolna ku powstańcom.

„Kto tam?“ zapytał Krukowiecki.

„To ja, Grzymała, karbowy“ — odezwał się głos nieśmiały. Z pomroku wychyliła się płowa czupryna chłopca, w oczach jego błyskały promyki chytrej radości.

„Nie wiecie dlaczego Moskale uciekli?“ zagadnął Krukowiecki. „Nie było tu nijakich powstańców“, uśmiechnął się Grzymała. Ja tak jeno zwiódłem rusków. Patrząc, że te juchy usadziły się na panów a tu dwór cały w ogniu — myślę ja sobie — poczekojta. Tak lecę do starszego i godam. Jaśnie W. Panie Generale, tam od lasu okrutna siła Polaków wali“.

„No, a gdzież ci Polacy?“ przerwał Krukowiecki. „A od lasu rychtyk wielga siła wali — kończył Grzymała, tylko, że nie powstańców, jeno owiec i bydła, a kurzawa ci taka była zdala, jakby z tysiąc ułanów gnało“. Powstańcy huknęli śmiechem, aż się echo na podwórzu rozległo.

Zapomnieli, że przed chwilą dysponowali się na śmierć; śmiali się długo i serdecznie z konceptu chytrego chłopca i z tchórzliwości Moskali. „Ale tego ich panowie pokruszyli“ — dziwił się Grzymała, obchodząc pobojowisko.

Przeliczono trupy, było ich 60 i kilka, z tych blisko połowa legła pod oknem, z którego strzelał Krukowiecki.

Według rękopisu *Nowińskiego*.

12. Epizod z Lubelskiego. Popas w Ciotuszy.

Już było dobrze po północy, około w pół do trzeciej zrana 11 listopada, św. Marcina. Śniegu jeszcze nie było, ale mróz ścisnął i była gruda. Wedety były porozstawiane i zdawało się, że żadne niebezpieczeństwo nie zagraża nam w tej

chwili. Część ludzi już się posiliła i wróciła do koni, drudzy czekali na krupnik z baraniną, który się dogotowywał, a kilku nas, może około 10-ciu, weszliśmy do salonu, gdzie był fortepian. Świdziński przysiadł się zaraz i zaśpiewał nam swym dźwięcznym barytonem hejnał Ujejskiego: Górą serca i czoła — następnie ja zagrałem walca — wiara poodpinała pałasze i pobrawszy się pod boki, poszli w taniec, nie domyślając się, że za chwilę inny taniec będzie. Okrążyli salę może dwa razy, kiedy Rogowski wchodzi pospiesznie, zabiera z fortepianu swoje pistolety, zatyka je za pas, i najspokojniej w świecie, jak gdyby szło o najbłahszą rzecz, powiada nam: Panowie! kozacy są we wsi! — wszyscy skoczyli do pałaszy, do czapek i rzucili się ku wyjściu. Wszystkie konie już stały gotowe przed dworem — zaledwie kilka pozostało w owczarni, a między nimi i mój. Łońierz na warcie za zbliżeniem się i po rozpoznaniu moskali dał ognia — co koń wyskoczy powrócił do dworu: lecz kawalerya kolumny moskiewskiej maszerowała na przodzie, więc po strzale alarmowym ruszyła z kopyta i w ślad za wedetą przybyła do Ciotuszy, nie śmiała wszakże przez bramę wjazdową wejść na dziedziniec znajdujący się przed dworem, ale pozostała na zewnątrz i stamtąd zaczęła razić strzałami, które zresztą żadnej nam szkody nie przyniosły — moskałom chodziło o to, ażeby nas zabawić i tym sposobem dać czas piechocie przyszlusować na miejsce potyczki. Wedeta nie musiała być bardzo oddalona od Ciotuszy, gdyż wystarczyło kilkanaście minut na obsaczenie piechotą całego folwarku.

Nasi skoro dopadli koni, powyciągali pałasze, zawieszając je u rąk na temblakach, chwycili za rewolwery i jak wichler skoczyli na przebój ku jedyjnemu wyjściu t. j. ku bramie wjazdowej, — w przeciągu pół minuty usłyszałem kilkanaście strzałów i tentent kopyt końskich na zmarzłej ziemi, potem wszystko ucichło; spać nasi popędzili w pole.

Kiedy wraz z innymi wybiegłem ze dworu, poskoczyłem do owczarni po konia — było tam jeszcze 4-ch czy 5-ciu naszych a między nimi i Orlicki. — Konia szybko okiełznałem i wyprowadziłem z owczarni. — Orlicki coś nasłuchiwał i wietrzył: „czemu nie bierzesz konia?“ zapytałem. — „Nie głupim, żeby mię złapali?“ odpowiedział, ja wolę piechotę“. W kilka miesięcy później Świdziński, z któ-

rym byłem na internie w Königracu, opowiadał mi, że Orlicki piechotą umknął — strzelali za nim, konno gonili, ale on swojemi słusznymi nogami tak dobrze przebierał, że dopadł lasu, a miał węż tak delikatny, że w kilka godzin odnalazł oddział.

Koń mój słysząc strzały, wspinał się na dwóch łapach i dał naprzód, a kiedy włożyłem nogę w strzemię, zaczął mi tańcować młynka, usuwając się zadem w bok; namęczyłem się bez rezultatu i dopiero, kiedy przyparłem go do ściany owczarni, zdołałem dosiąść nicponia, ale straciłem około 10 minut i wystarczyło, aby mieć odcięty odwrót ze wszystkich stron.

Poskoczyłem naprzód ku dworowi i wyjeżdżając z za węgła, zwolniłem kroku — przed dworem spostrzegłem linię dość ściśniętą kawaleryi złożonej z kozaków i dragonów, wyciągniętą ku lewej stronie, aż do budynków folwarcznych — kawalerzyści pukali przed siebie na wiatr, bo nasi już Pan Bóg wie gdzie byli, jeden z kawalerzystów dostrzegł mnie i zawołał: kto idiot! odpowiedziałem swój, małczat! ale konia natychmiast zwróciłem i popędziłem m ku owczarni, myśląc, że tam poza budynkiem znajdę jakieś wyjście i natrafiłem na kanał, o istnieniu którego wcale przedtem nie wiedziałem; — wtem słyszę z drugiej strony kanału idącą piechotę, wnet mię dostrzegli i zaczęli odwozić kurki, a któryś zawołał: kto idiot! znowu odpowiedziałem swój! i nie spiesząc się, jechałem równoległe z nimi z 50 m., nagle skoczyłem naprzód, myśląc, że znajdę jakiś mostek jeszcze wolny — niestety! był mostek, ale już zajęty, więc pędem zwróciłem ku wielkiemu dziedzińcowi folwarcznemu i tu znowu zwolniłem biegu, aby się zorientować. Pod światła dworu i oficyn dworskich dostrzegłem mnóstwo kawaleryi w bezładnej kupie, jak to się zawsze zdarza nocą, po ukończonej rozprawie. No! pomyślałem sobie, jeżeli kiedy, to już chyba dzisiaj pójde do Abraamka na piwo, a jeżeli nie ubiją, odjadę, to będę sobie jakoś radził; bo zawsze wierzyłem w moją szczęśliwą gwiazdę. Jechałem stępo wprost na moskali, bo nie było co zwlekać i dopiero będąc na jakie 20 m., ukrociłem cugli, ścisnąłem konia kolanami, aż stęknął, spałem ostrogami i jak piorun runąłem w sam środek kupy; gwałtownością pędu zwałem na ziemię jednego konia z kawalerzystą, a najbliższego

z prawej strony jakem liznął moim mieczem przez rozum, aż mu ten wraz z baranią czapką spadł na ziemię, jakby pół główki odsieczzonej kapusty — napad mój był tak gwałtowny i niespodziewany, że ja parłem naprzód bijąc na prawo i na lewo, co było przed ręką, a oni cofali się i usuwali o ile mogli, lecz za chwilę taki się zrobił ścisk naokoło mnie, że już niejednego głównią szabli po łbie kałatnać zdołałem, ale i sam w ten sposób dostałem w gębę, co przyprawiło mnie o utratę dwóch zębów. Dotąd wychodziłem zwycięsko, bo żaden nie dostał mię jeszcze ani ostrzem pałasza ani grotem lancy — wtem jeden moskał z przodu przechylił się na koniu, ciął pałaszem, przeciął mi cugle i ranił konia w kark — koń stanął dęba i w tej chwili, kiedym starał się utrzymać równowagę, oberwałem pałaszami w głowę, w twarz i po rękach, razem 8 cięć — wielka jasność stanęła mi przed oczami, potem zamroczyło mię na chwilę — koń padł w tył i szczęściem, że mnie nie przygniótł — wtedy dopiero najechali kozacy, zaczęli kłuć lancami — każde uderzenie sprawiało mi wrazenie lekkiego dotknięcia rozpalonem żelazem, ale bólu nie czułem, dwa tylko pchnięcia zabolowały mię, jedno pod lewą pachą, między żebra, bo żelaziec tak szczerlnie wlaźł między kości, że moskał musiał trzy lub cztery razy szarpnąć, zanim go wydobył — drugie pchnięcie było bolesne — pod biodro. Wszystkich uderzeń lancami otrzymałem 14, a cała ta bójka trwała 3 do 4 minut. Upływ krwi sprawił mi pewną błogość, zdawało mi się, że zasypiam jakimś miłym snem. Nie tracąc czasu, kozacy, dragoni pozeskakiwali na ziemię i zaczęła się toaleta.... Ściągnęli ze mnie wszystko, zostałem na grudzie w kałuży krwi, nagi jak święty turecki — moskale zaczęli się krzątać około swoich nadwyreżonych, posprząтали ich i odnieśli nie wiem gdzie.... Ja literalnie zamarłem i to mnie ocaliło, tamując upływ krwi, bo choć ran niebezpiecznych miałem tylko dwie lub trzy, lecz sam upływ krwi z 22-ch otworów mógł mię życia pozbawić.

Aleksander Zdanowicz: Noc św. Marcina, str. 20.

13. Napad na Domaczew.

Od pewnego czasu Bug był płytki, przeszliśmy go w bród i w największej cichości stanęli pod samem miasteczkiem Domaczewem. Jazda nasza natychmiast obokoczyła miasteczko i zajęła drogi; my zaś podzieleni na kilka oddziałów, z dodanymi przewodnikami z różnych stron mieliśmy wejść do miasteczka. Moja sekcyja t. j. trzecia pierwszej kompanii strzelców, pod dowództwem podoficera Bartoszewicza, stanowiła jeden taki osobny oddziałek, koło 30 ludzi liczący. Według instrukcyi szliśmy przez łąki i trzcinowe zarośla, potem przez miejskie ogrody, dwójkami, przeskakując przez rowy i drapiąc się przez płoty w największej cichości. Już byliśmy pod samymi budynkami, gdy Bartoszewicz ujrzał coś podobnego do żołnierza stojącego na pikiecie, a noc była dość ciemna. Skinął więc na pierwszą dwójkę t. j. Szbickiego Litwina i mnie i wskazał nam gestem, żeby się podczołgać i bez hałasu tę wartę sprzątnąć. Zbliżywszy się poznałem, że to nie żołnierz, lecz drogowskaz, lecz w tej prawie chwili usłyszałem plusk wody i ciche wołanie mego towarzysza; Szbicki czolgając się wpadł w studzienkę trawą zarosłą; niewiele mu to musiało zrobić różnicy, bo i tak wszyscy byliśmy mokrzy do nitki, gdyż przed chwilą przez Bug przechodziliśmy. Wyciągnąwszy go, ruszyliśmy dalej, gdy wtem Bartoszewicz, przełaząc przez płot, uderzył zamkiem karabina o kamień, strzał się rozległ i kula urwała mu palec u ręki. Wnet też dały się słyszeć głosy w miasteczku, a niebawem i strzały; już bez ostrożności biegliśmy naprzód i znaleźli się na szerokiej drodze. Tu uderzył nas zbliżający się tentent koni, z nastawioną bronią oczekiwaliśmy, gdy głos „naprzód“ dał poznać, że to nasi. Weszliśmy do miasteczka i stanęli, według wskazówki porucznika Miłkowskiego, przy tylnej ścianie szeregu domów od strony ogrodów. Do domów tych nasi z innych oddziałów strzelali, a z okien żywy ogień im odpowiadał. Miłkowski zdał mi dowództwo po Bartoszewiczu, lecz dotąd byliśmy beczcyjni, gdyż z naszej strony domy, w których bronił się nieprzyjaciel, nie miały okien, nie było więc celu strzelać do ścian. Nie byliśmy również

na ogień wystawieni. Po chwili jednak spostrzegłem, że z naszej strony właśnie znajdują się przy domach drabiny, za pomocą których wdrapaliśmy się na dach jednego z domów, zajętych przez nieprzyjaciela. Z tyczki, wyjętej od fasoli i z chustki zrobiłem chorągiew improwizowaną i zatknąłem ją na kominie, a wesoły okrzyk naszych ją powitał. Gonty wnet rozerwane zostały i znaleźliśmy się na strychu; strzały grzmiały pod nami. Po drabinie wpadamy do sieni, dwaj Rosyanie spostrzegają nas i dają ognia, lecz nikogo nie ranią, uciekają do izby i drzwi zatarasowują. Jednym każę drzwi wybijać, a drugim pułap odrywać. Wdzieramy się wśród strzałów do izby jednej i drugiej; nieprzyjaciel cofa się do sąsiedniego domu z tym komunikującego i barykaduje wejście. Zapalamy światło, jedni rozbijają barykadę, drudzy będący na strychu, przez pułap próbują dostać się. Wtem dochodzi mnie woń gryzącego dymu, każę więc wybijać dziurę w gontowym dachu i widzę, że dom sąsiedni obejmuje płomień. Ogień szerzy się szybko i już nasz dom dosięga, każę więc strych opuszczać i dołu jedynie pilnować, aby się nieprzyjaciel nie wymknął. Przerażeni obłężeni żołnierze jedni wyskakują oknami i chcą próbować ucieczki, lecz padają lub chwytani poddają się, kilku jednakowoż stało się pastwą płomieni, a mianowicie ci, którzy ukrywali się w głębinie kryjówki nie spostrzegli pożaru, aż wtenczas, kiedy już było zapóźno myśleć o ratunku. Walka ustała i nasi rzucili się do gaszenia ognia, który wkrótce został opanowany; powstał widocznie od strzałów. Dwa domy w znacznej części zostały spalone, żydzi wrzeszczeli i co mogli wynosili na ulicę, więc trzeba było czuwać, aby nasi nie dali się skusić i nie dopuścili się kradzieży. Aby nie wywołać złego wrażenia, Krysiński (dowódca) zachęcił nas do składki na pogorzalców, a potem Rząd Narodowy wypłacił jeszcze 10.000 złp.

Jan Natęcz Rostworowski: Wspomnienia z 63 r.

14. Walki na wzgórzu koło Sawina.

Myśleć o zwycięstwie nie było można, chodziło tylko a to, aby się nie dać zgnieść.

Byliśmy zupełnie otoczeni. Dziesięć czy dwanaście dział i przeszło 3.000 ludzi świeżych ścisnęło nasze dwa, około 1.500 ludzi liczące oddziały, od kilku dni w ciągłych utarczkach będące. Przeszło dwóch żołnierzy na jednego rekruta, stosunek dla nas wcale nie obiecujący. Każdy widział, że się trzeba przerznąć lub zginąć. Dla dopięcia tego należało opanować wzgórze, leżące przy drodze do Sawina, zarosłe lasem wysokopiennym i pod zasłoną oddziału tam się odstrzelującego cofnąć na Sawin, przejść błotnistą rzekę Uher i wejść w lasy na prawym jej brzegu położone. O wzgórzu to od tej chwili głównie walka się toczyła, lecz nieprzyjaciel rozumiał dobrze, że jak je utrzyma, wszystkich nas mieć będzie. Począł się więc trzeci akt tej walki najuparciej toczony. Ogień obustronny był tak silny, że dawni wojskowi utrzymywali, że nawet w wielkich bitwach na jednym punkcie tak gęsto kule nie padały i ziemia tak szybko trupami się nie pokrywała. Naczelnicy sami i oficerowie z karabinami w rękę stali na czele swych kompanii na owem smutnej pamięci wzgórzu. Nie było okrzyków, ani zachęcań, każdy szeregowiec pojmował, że mały ten lasek musi być jego cmentarzem lub portem, w którym znajdzie ocalenie.

Trzy razy wydarł się z piersi naszych okrzyk radości, gdyśmy dotykali tych sosen, tyłoma kulami podziurawionych, i tyleż razy słyszeliśmy grzmiące „hurra“ nieprzyjaciela, gdy wzgórze to odzyskał. Już późnym wieczorem po raz czwarty stanęliśmy na tem wzgórzu. Kompania wyborowa z oddziału Kozłowskiego, strasznie zdziesiątkowana kompania Leszczyńskiego, naczelnicy, oficerowie, część Litwinów z krwią okrytym Eytminowiczem na czele, moja komenda, wszystko w poszarpanych o krzaki łachmanach, czarne od dymu, z ostatkiem sił wtargnęło znów w lasek. Zaczęła się w samym lasku mordercza bitwa, strzałów już nie było, bo nabijając broń nikt nie miał czasu, kilka tylko działo sypnęło kartażami i kilkanaście rewolwerowych strzałów huknęło. Zamięszanie coraz większe, mrok zapadał, zgrzyt kos i bagnetów, krótkie wykrzykniki i szelest przyspieszonych oddechów, a wśród tego z początku jeden, potem kilka głosów, potem las cały ozwał się bezładnym chórem: Święty Boże! Święty mocny! Już nie żadna manifestacyjna ani polityczna pieśń.

Lud polski w godzinę śmierci przypomniał sobie śpiew, z którym od dzieciństwa przed ołtarzami na kolana padał.

Już ciemno było prawie, gdy zostaliśmy panami wzgórze i lasku. Nieprzyjaciel ustępujący jeszcze z własnych swych armat dostał grad kartaczy, które nasi za nimi sypnęli, a potem nietylko działa zagwoździli, lecz koła u nich porąbali, bo brać ich z sobą ani myśleć nie można było. Sam słyszałem, jak oficer rosyjski zwracając się do drugiego zawołał głośno: Jej Bohu, młodycy!

J. N. Rostworowski: Wspomnienia.

15. W puszczy Białowieskiej.

Ruszyliśmy ku puszczy Białowieskiej. Dość późno w nocy przechodziliśmy przez rzekę, która spływała przez kłody zapadłe jedne na drugie, prawie nic nie można było dojrzeć i przełaząc z drzewa na drzewo, nogi usuwały się w wodę; wreszcie stanęliśmy na resztę nocy, aby wypocząć. Nazajutrz rano podeszliśmy na granicę Białowieskiej puszczy pod rzekę Narew: wiadomym brodem ruszyła przez wodę piechota, a oficerowie, nieco w lewo na koniach; dochodząc nieco bliżej ku przeciwnemu brzegowi rzeki, konie głęboko zapadały w wodę, nawet płynęły. Wieczorem stanęliśmy pod kolonią niemiecką Czołem: znaleźliśmy tam cokolwiek żywności, którą z zapalem po dwóch dniach głodu zjedliśmy i wnet w pochód na noc. O świcie przechodziliśmy wieś Babią górę i zaraz po przejściu piechota ruszyła przez błota nagie i grzęzkie po nieskończone długich kładkach, a konni z Korsakiem w odchód błot pod lasem i zesliśmy się na miejscowości nieco podniesionej, okrytej w części krzakami. Słońce świetnie wschodziło, spoczęliśmy, żorawie nad nami krzyczały. Spocząwszy krótko, dążyliśmy do pobliskiej wsi Siemianówki, gdzie mieliśmy wybierać żywność, gdy przybył z tyłu goniec, że Moskale idą za nami, spiesznie zatem przeszliśmy do lasu Siemianowskiego i zajęliśmy brzeg gęszczawy o samej 10-ej rano. Nakazano największą cichość, zabroniono rozkładać ogniska, pikiety od pola umieszczono na najwyższych drzewach i tak trwało kilka godzin z tą zmianą, że nareszcie dozwolono wykopać kosami studzienkę, a nawet rozłożyć

jedno ognisko. Otrzymaliśmy ku wieczorowi wiadomość, że Moskale zewsząd wyruszyli na nas. — A więc ruszyliśmy w pochód ku głębszym ostępom puszczy Białowieskiej i nazajutrz rano stanęliśmy na wypoczynek w grabowym lesie okolonym gęszczami. Ledwośmy spoczęli i rozstawili ciche pikiety, jedna z nich spiesznie znać dała, że spostrzegła podpełzającego ku nam moskala i że moskal ujrawszy go, znikł natychmiast; inna powiadomiła również o dostrzeżeniu moskali na drodze. Mając na karkach moskali, zrobiliśmy przemarszów kilka. Przewodnikiem jedynym w marszach po tych ostępach głuchych był szef Wróblewski z mapką leśniczą, gdzie wykazane były działa, tryby i ich numera. Zmęczeni całodziennym marszem o głodzie stanęliśmy na noc przy którejś z tryb i rozłożono jedno ognisko. O ranku ruszyliśmy dalej, z ostępów w ostępy, a im dalej w tem więcej dziksz. Drzew powalonych stopy, wznoszące się na trybach jedne na drugie, przegradzały nam drogę: należało nam wdzierać się na wierzch i spuszczać się po tem na dół, a konie przy trybach przez gąszcz gwałtem przeciągać. Wywroty jodeł i sosen, upadłych od burz i starości, stawały przed nami, jak ściany wysokich domów związane z korzeni i oblepione ziemią, która przy waleniu się drzew oderwała się od gruntu, jak progi wysokie, przez które przeleźć ledwie z wysileniem można było, błota i porośla zapełniały miejsca od wywrotów wolne i ludzie ledwie wydołać mogli w marszu, orzezwiając się wodą, która ukrywała się dość często pod wywrotami, konie prawie ginęły. W jednym z ostępów wchodziliśmy na wzgórze dziko a wspinał się porośle jesionami i klonami. Wróblewski odwrócił się do postępujących za nim i wskazując na potężne lasy: „ogrody Gedymina“, wyrzekł: Nurzając się w ostępach, oddział poruszał się naprzód: natrafiliśmy na świeże ślady żubrów i na drzewa, których korę u dołu ogryzły. Nareszcie spotkaliśmy włościanina i od niego powzięliśmy dokładną wiadomość o miejscu naszego pobytu. Nie wiele opodal stamtąd rozwinęło się przed nami niezmiernie błoto okryte trawą. Włościanie kosili pod lasem i składali w stogi. Chcieliśmy kupić u nich żywności, ale nie mieli. Pobrnęliśmy na drugą stronę błota do przeciwległych lasów. Konie zapadały w ziemię, musieliśmy je przeprować, podkładając każdemu pod brzuch parę dragów, któreśmy we 4-ch podnosili, a jeden

z przodu wzięwszy za cugle, kierował na miejsca gruntu twardsze. Pomimo tego 2 konie już na środku błota tak zapadły głęboko, że je porzuciliśmy.

Aramowicz: (Marzenia. Pamiętnik o ruchu partyzanckim w województwie grodzieńskim, str. 28).

16. Powstanie w Mińskiem. Wyprawa Horelecka.

W cieniu sosen i jodeł, podszytych wiotką leszczyną, snuje się jakby w domu garska zbrojnych ludzkich postaci, chociaż już szarzyć zaczyna. Sądziłbyś po ich szarym kolorze ubrania i po ciszy głębokiej, jaka pośród nich panuje, że to zakłęci mieszkańcy tego dzikiego uroczyska, przed którymi truchleje lud wiejski. Tylko lekki dymek, podnoszący się z kilku dogasających ognisk i zapach skwarków, dają ci poznać, że stoisz przed obozem żyjących ludzi, wojowników, którym ostrożność kazała głęboką ciszę zachowywać.

Nie bój się ich jednak, jeżeliś poczciwym człowiekiem! Ci ludzie zbrojni, to sól tej ziemi litewskiej, są to powstańcy litewscy z r. 1863, co niemal z procą w rękę wyzwali na bój samego szatana wcielonego, carat moskiewski i jego dziki żoldactwo o tyle liczne, że czapkami mogłoby ich zarzucić.

A choć są tak nieliczni, niedoświadczeni w rzemiośle wojennym młodzi i źle uzbrojeni, i zdają się prędzej wyglądać na szyderstwo swej sprawy, jak na jej obrońców — ufaj w ich moc, bo są oni w istocie tak potężni, że pamięć o nich przeżyje wszystkie orężne sprawy naszych najezdników, a ich poświęcenie jest tak daleko sięgającym w przyszłość, iż wszelkie wysilenia wrogów na złamanie go, nietylko płonem okaże się, ale do reszty wysie z nich siłę zaborczą. Siła brutalna tylko jest im na dzisiaj odmówiona, bo mają świadczyć o mocy wyższej — o prawdzie. Ramię zaś rycerskie, jakie stworzą, będzie tem, co dźwignie olbrzymi miecz sprawiedliwości, którym utnie się wszystkie sto głów hydry despotyzmu. W nich jest wszystko, co naród najwięcej umiłował: zapal bohaterski, pogarda życia, miłość Ojczyzny, duch niepodległości, słowem wszystko, co splata się na wieńce poezji ży-

cia, co złoci wiarę ludzką, czem tchnie pierwiastek boski miłości...

W czynie, w ofierze, cała treść dziejów zamyka się, a ogień miłości, co w niej płonie, jest tym skarbem niepożyty, który życie daje całym pokoleniom. Naród żyje dotąd, dopokąd w uczuciach odbijają się cnoty bohaterów jego.

W sennej oddali, jakby organów tony i archanielskie pienia, płynie postać mnicha z Jasnej góry, obok hetman cały w stal zakuty, co to ani z soli, ani z roli, ale z tego, co go boli urósł; z kometą przed sobą król szkarłatny, lew północy, buńczukami z pod Wiednia drogę znaczy, wódz w sukmanie krakowskiej i w konfederatce, miecz złamany trzyma i sypie promieniami miłości na wszystkie strony świata, tuż przy nim stoi mąż z nożem ku sercu zwróconym i wieszcz litewski z lutnią, z której żywy strumień życia niepodległego tryska; dalej kilka większych promiennych postaci męczeńskich ze stryczkiem na szyi, albo z łonem postrzelanem i cały tłum w blizny męczeństwa i bohaterstwa okryty. Przed nimi powiewa sztandar biały, na którym krwawymi głoskami stoi napisano: Polska.

W górze i w dole, w koło nich, jakby burza świetlana, roją się błyszczące postacie w zbrojach skrzydlatych, w kontuszach, z pod których blaskiem gwiazd niebieskich świecą blizny z boju wyniesione. Tęcze nadziei i brylantowe promienie wiary i wytrwałości oplotły ich w koło.

Z tych tłumów jest rodem i ten zastęp, co go widzisz pod zwieszonymi gałęziami opiekuńczego boru.

Pośród gąszczy leśnego stoi kilkanaście drzew rzadziej rozsuniętych, które krzewy leszczyny, jakby żywym płótem otoczyły. W środku stoi jodła ze zwieszonymi gałęziami, jak namiot ostrosłupisty, pod którym na ciemno-zielonym kobiercu z borówek, siedzą trzej ludzie. Broń ich stoi oparta o jodłę, pod którą siedzą, jak również torby na żywność i burki w trąbkę zwinięte. Na ziemi, przed nimi, leży roz warta mapa topograficzna tej części kraju, gdzie teraz obozem leżą.

Strój na nich prosty bez żadnych oznak wojskowych, dwaj są ubrani w szare chłopskie katanki, a trzeci nosi czamare polską; małe torebki przez plecy i rewolwery przy boku, to wszystko, czem się wyróżniają od reszty snujących

się w milczeniu ludzi. Ci trzej są to dowódcy oddziału powiatu mińskiego. Pieczęć znojęw życia partyzanckiego odbiła się mocno na ich zarosłych twarzach i zgrubiałych rękach, a pogoda duszy, z męzką rezygnacją i hartem żołnierskim, odbijają ślicznie od ich postaci. We wzroku ich co utkwił pilnie w mapie rozłożonej, maluje się cała trudność położenia, z którą walczyć postanowili wytrwale.

Nie mogąc w trzydziestu kilku ludzi przysporzyć warzynnów swej ziemi, postanowili przynajmniej ocalić honor wojenny województwa mińskiego, nie dając się pochwyć stokrotnie silniejszemu nieprzyjacielowi. Cała myśl ich wycęza się na to, by ominąć wszelkie przeszkody i niepostrzeżenie okazywać swe siły tam, gdzie wróg niespodziewa się tego wcale. Potrzebne wiadomości topograficzne nie tyle z map czerpią, ile z pięciomiesięcznej praktyki w prowadzeniu oddziału po tych głuchych puszczech. A młody naczelnik Ruszczyć, świeżo nominowany przez Rząd Narodowy, umiał wodzić oddział po tych bezdrożach leśnych, jakby urodził się w tych lasach. Dwaj pomocnicy jego, J. Piłeczka i Harap, biorą udział tylko w naradach co do celu wypraw i pilnie czuwają nad tą garstką powstańców, by z nich móżdż utworzyć kadry dla przyszłej armii powstańczej. Zgoda i harmonia, jak przystało na prawdziwych obrońców ojczyzny i ludzi fachowo obeznanych z rzemiosłem wojennym, panuje pomiędzy nimi i stanowi główną siłę tego malutkiego oddziału. Siła ta zastępuje im krocie, tak niefortunnie gdzie indziej pomarnowane.

W ciszy poruszają się na około swej starszyny w szare katanki, w długie buty za kolana i w czarne kepi wojskowe pizybrani powstańcy; wszyscy młodzieńcy, najstarszy zaledwie dwadzieścia kilka lat liczyć może; lecz oko wprawne poznaje w nich odrazu najdzielniejszych żołnierzy do tego rodzaju wojny. Wiara w swych dowódców i spokój zupełny maluje się w ich postawach i we wzroku; a w obozie 100.000 armii, obwarowanym potrójnym łańcuchem fortyfikacji, niema tej pewności, jak u tej garstki, co zaledwie parę widel jest w stanie wystawić. Uśmiech dziecinny ożywia ich twarze, w spojrzeniu łagodność człowieka cywilizowanego świeci; ani twarzą marsowych, ani orlego wzroku, ani bark rozrosłych — nic tutaj zgoła nie świadczy o tej

sile fizycznej, potrzebnej do obalenia olbrzyma. Tam o sosny oparta stoi ich broń, a musi być straszną, kiedy przy swej niemocy fizycznej targnęli się na cmy od stóp do głów uzbrojone, co ich czapkami zarzucić mogą? Zwyczajne myśliwskie dubeltówki bez bagnetów, rzadko u którego rewolwer albo pistolet i kindżał za pasem — oto całe ich uzbrojenie!

W. Kończyc: (Polska w walce o niepodległość, t. I. str. 235.)

17. Ruch w poznańskim.

Na pierwszą wiadomość o powstaniu w Kongresówce zawrzało pomiędzy Polonią w Berlinie, jak w kotle parowym. Młodzież dotąd spokojnie ucząca się wysprzedaje wszystko, składa pieniądze na broń i kosza podróży. Był młodzieniec w mińskiej guberni operowany przed tygodniem przez sławnego Langenbeka, rana niezagojona, powtórzenie operacji niezbędne. Zrywa się z pościeli, biegnie wraz z innymi do kraju. Był przy nim ojciec staruszek, nie studził tego zapału, ale sam pomagając w obandażowaniu nogi chorej, powtarzał: „I mnie pilno, jako marszałek powinienem być pierwszy przy apelu na czele mego powiatu, dalej synu — w imię Boga! tam na rodzinnej, odradzającej się ziemi noga szybko ci wyzdrowieje“. Dziś jeszcze na wspomnienie tego starca i tego dzieciucha schorzałego, biegnącego za głosem powstającej ojczyzny — przejmują mnie dreszcze czci i poszanowania. Nie dziw tedy, że zapał ogarnął wszystkich.

Była także z ziemi poznańskiej kompania, złożona z samych Kaszubów. „Któżby był pomyślał, że w częstce tej, o której istnieniu może i niejeden nie wie wcale, uważanej za straconą, tak gorąco biją serca polskie. Wybrało się ze 200 chłopca z tamtych stron, a idąc od wybrzeża Bałtyku ku granicy województwa Płockiego na drogę, nie przyjęli ani złamanego szeląga żołdu ani innej pomocy. „Za najem nie idziemy się bić, mówili, za braci naszych. Dajcie nam broń na moskala, o resztę się nie kłopotczcie. Iszli piechotą, podwód nie przyjmując, wśród zimy, własnym kosztem, z oczyma wyteżonemi w stronę, skąd dusza ich zdawała się słyszeć jęki knutowanych braci, chwycili za broń, przeszli granicę,

padli pod obuchem przemocy. Może myślicie, że rozpierzchli się i pobiegli chyżo do domu? — Nie, mimo perswazyi naszych mężów stanu, stali na pograniczu gotowi na apel. Dopiero później, gdy i starszyzna wojskowa powiedziała im, że wszystko stracone, że lżą w oku powlekli się znowu o własnych środkach do domu. I któż są ci bohaterowie? oto biedny chłop — kaszuba, pośmiewisko obcym i własnym rodakom.

18. Zmęczenie wodza.

Stanęliśmy na noc w Hucie Krzeszowskiej. Sztab stanął we dworze, my przy koniach na okólniku. Było 14 stopni mrozu, wiatr, ziemia zmarznięta bez śniegu i ślizgawica. Drzemałem jakiś czas przy koniu, lecz mróz i głód strasznie zaczęły mi dokuczać. Przez parę poprzednich nocy odbywałem rekonesanse i podjazdy i czułem się niewymownie zmęczonym. Wstałem więc i zacząłem się przechadzać, a narazcie zaszedłem do naczelnika zobaczyć, czy jemu nie lepiej się powodzi. Wszyscy spali pokotem na słomie w ciepłym pokoju. Znalazłem trochę wódki i chleba, łyknąłem i zaniósłem swoim, a potem znowu wróciłem do dworu, aby się cokolwiek ogrzać. Usiadłem przy piecu i straciłem w części świadomość, co się ze mną dzieje. Słyszałem, jak ktoś wszedł i zawołał: Panowie, mamy na karku moskali! Lecz się nie ruszyłem nawet. Po chwili wbiegł Franciszek i krzyknął mi w ucho: „Panie na koń!“ Słyszałem, lecz nie wstałem. Pórwał mię więc, wstrząsnął silnie i prawie wyniósł na dwór. Zimne powietrze ocuciło mnie, wskoczyłem na koń i za chwilę byłem przy Krysińskim. Stał na wysokiej grobli okrytej gołoledzią, a spadzistej na oba boki, za nim o kilkanaście kroków moja banda bezemnie, a na mem miejscu przed szeregiem stary Furaliński. Niezmiernie przykro mi się zrobiło, pierwszy raz nie dotrwałem na mem stanowisku i spóźniłem się. Wachmistrz, widząc mnie, ustąpił mi miejsca i cofnął się do szeregu. „Zostań tu, dziś ty, wachmistrzu, dowodzisz“, rzekłem i posunąłem się, aby zająć miejsce w szeregu. Ale stary żołnierz chciał się z dworskością znaleźć i niby nie rozumiejąc zawołał: „Cóż to! nie rozumiecie, że



ARTUR GROTTGER: DWA POKOLENIA

pan porucznik przed frontem mówi: jak się macie chłopcy? — „Życzymy zdrowia panu porucznikowi!“ zagrział okrzyk zwykły. Ja pomimo to powtórzyłem rozkaz i stanąłem, jako szeregowiec, bo nie czułem się godnym prowadzić tych ludzi, z których żaden ani razu służbie nie uchybił, gdy ja sam jej tylko uchybiłem. Furaliński tej nocy nas prowadził.

J. Łukaszewski: Zabór pruski w czasie powstania styczniowego, str. 72.



CZEŚĆ CZWARTA.

NAJMŁODSI.

1. Poruszenie w szkole.

Kraj w owych czasach był w stanie wysokiego podniecenia, gdy za radą dyplomacji europejskiej: „trzeba krwią dowieść, że żyjecie“, manifestanci trzy godziny wytrzymywali ogień rotowy przed gankiem (8. kwietnia 61 r.). Ale było to, jakby ktoś kawałek pieczonego mięsa, lecz zawiniętego w kolczastą siatkę metalową, rzucił zgłodniałemu człowiekowi. Nie mogąc ugryźć, choć zapach w siebie wciągał, nieszczęsny głodomór musiał wpaść w wściekłość i rozpacz.

Zawiązał się tedy Komitet Centralny, potworzyły się dziesiątki i dziesiątynicy, pomnożyły się zebrania, narady, tajne znaki, słowem było czuć proch w powietrzu.

Choć przed nami, czwartoklasistami, zachowywano to wszystko w tajemnicy, jednakże i my doskonale wiedzieliśmy, co się święci.

Chleba i bułek nie jadałiśmy, lecz chowało się to wszystko starannie na suchary. Wyrzekaliśmy się nawet kawy porannej i innych potraw po zupie przy obiedzie; dopiero gdy gospodarz naszej stancyi wytłómaczył nam, że gdy stracimy siły, nie będziemy mogli działać, przestaliśmy się w ten sposób hartować, prosząc jednak o dawanie najprostszych żołnierskich potraw, jako najzdrowszych.

O wydawaniu pieniędzy na cokolwiek bądź mowy nie było. Wszystkie przeznaczone na drugie śniadanie, na owoce

itd. złotówki, zbierało się starannie i kupowało za to juchtowe buty z długimi cholewami, ciepłe koszule i t. d., którzy rychby rodzice z domu napewno w tych czasach nie przysłali.

O mustrowaniu się po całych dniach zaraz po powrocie ze szkoły, o nocnych alarmach, o stawaniach na pikietach w koszulinach na zimnym korytarzu, niema co i mówić, tak to było wówczas rozpowszechnione.

Pamiętam, raz z dwoma kolegami wybiegliśmy z domu i podczas silnej wichury śnieżnej przyszliliśmy do sąsiedniej wioski, kierując się ku kościołowi. Ostatkiem sił dobrnęliśmy do plebanii, a gdyśmy proboszczowi, pytającemu się, co nas tu przywiodło w taką porę i po nocy, objaśnili, że się hartujemy i przyzwyczajamy do marszów i niewygód, zacny ksiądz napoił nas starym miodem, wyciął, rozplakał się i wreszcie rozgrzanych, nakarmionych i obwinionych w kożuchy i derki, odwiózł do Lublina, biorąc na siebie prześląganie naszego profesora, u któregośmy stali na stancyi.

Brykczyński: Moje wspomnienia, str. 4.

2. Próba żołnierza.

Zebrawszy kilku ochotników, przedarli się chłopcy do obozu powstańców.

I tu nastąpił tragiczny moment, albowiem jakiś już dobrze siwy pan kapitan, ustawivszy wszystkich ochotników we front, powybierał nas wszystkich młodszych około 40-stu, palnął admonicę o szkole i stanowczo odmówił przyjęcia do jakiegokolwiek bądź rodzaju broni.

Odeszliśmy więc mocno skonfundowani, a niektórzy ze łzami w oczach i dawaj naradzać się, co będziemy robić? Gdyż z całej naszej liczby wybrakowanych, dwóch tylko zgadzało się wracać do domu, ja zaś postanowiłem szturmować dalej o przyjęcie, w razie zaś ostatecznej odmowy, wojować na własną rękę, jeździć z raportami, psuć telegrafy, palić mosty i t. d. Tymczasem, dowiedziawszy się, że naczelnik ze sztabem stoi we dworze, udałem się do niego, ale dwaj strzelcy, stojący w bramie, skrzyżowali bagnety i trza się było cofnąć.

Zacząłem więc szukać Parady (znajomego dowódcę

chłopa), którego między ochotnikami nie widziałem. Dowiedziawszy się, że jeszcze wczoraj został zamianowany dowódcą kosynierów, udałem się do niego. Parada oświadczył mi, że do niego przyjmowanie ochotników nie należy, ale on tak robi, że mnie z pewnością przyjmą. Jakoż poszedł ze mną do naczelnika, a gdy stojący w bramie strzelcy przed nim stanęli frontem, przyznają się, że miałem wielką chęć pokazać im figę.

Parada podszedł do jednego z oficerów na głównym miejscu siedzącego i zaczął coś z nim mówić, ten zaś po krótkim czasie roześmiał się, spojrzął na mnie, a zwróciwszy się do jednego z owych siwych oficerów, rzekł tak, że i ja usłyszałem: „Więc niechże go pan major wyegzaminuje“.

Olbrymięgo wzrostu, potężnej budowy pan major kiwnął na mnie, a gdy podszedłem bliżej i stanąłem frontem, wyprężywszy się jak struna, wolno groźnym okiem przeciągnął po mnie z góry do dołu i mocno śpiewnym litewskim akcentem rzekł: „A przynieście no tu karabim i ładownicę, ten rekrut taki wprawdzie zdaje się, coś umie“.

Podano natychmiast karabin i ładownicę, którą zaraz włożyłem na siebie, poprawiwszy wprzód rzemienia, który był za długi, a karabin wziąłem w prawą rękę, spuściwszy go, jak na komendę: „do nogi broń“!

Pan major popatrzywszy na moje palce, trącił siedzącego obok niego oficera i znowu zaśpiewał: „Patrzajno, kolego, jak się temu rekrutowi do karabina oczy śmieją, jak kotowi do szperki“. Potem kazał mi „do woli broń“ wziąć i „do nogi broń naraz“ i widocznie dogodziłem mu, bo zerwał się z krzesła i krzyknąwszy: „Ależ ten chłopiec, jak anioł karabinem robi, to żołnierz z krwi i kości, nie ubliżając nikomu, on więcej umie, od niejednego z takich paniczów, co złote portepe noszą, oficerami się tytułując“. To mówiąc, chwycił mnie pod łokcie i lekko, jak piórko, wraz z karabinem postawił na stole, a dobywszy pałasza, zawołał: „Patrzcie no koledzy“ i zaczął komendę, ową polską przepyszną, dźwięczną komendę. Gdy nareszcie doszło: gotu-u-uj! cel! pal! ja stosownie do słów komendy huknąłem w ścianę, aż szyby zadrżały, wapno się posypało z sufitu, a mój Litwin porwał mnie znowu ze stołu i dawał ścisnąć, całować, tak mu się to ściśle spełnienie rozkazu podobało.

Tymczasem, kując żelazo, póki gorące, zacząłem wstawić się za pozostałymi kolegami, tłómacząc, że i oni i tak uczyć się nie będą, a dobrawszy się do partyi o chłodzie i głodzie, dali dowód wytrzymałości i zahartowania.

Stanęło tedy tak, że postanowiono z nas wszystkich sformować osobną kompanię, złożoną z tych 46 wybrakowanych, dodano nam 14 prawdziwych już żołnierzy, takich, co proch wążali i nazwano nas „ptasznikami“.

Brykczyński: Moje wspomnienia, str. 22.

3. Pierwsza pikieta.

Postawiono mnie na skraju poręby, w takich zaś razach lepsza najciemniejsza noc, niż księżycowa. A tu, jak na złość, księżyc świeci w całej pełni, wyglądając, jak sadło; tak się o nim malowniczo wyrażał Pietrek.

Stałem tedy pod drzewem, dając „pilne baczenie“ na ową porębę, a spać mi się chciało tak straszliwie, że musiał co chwila oczy wodą z wódką przemywać, żeby się nie zamknęły.

W rękach, według ordynansu, musiałem trzymać swoją lepażówkę z odwiedzionymi kurkami i palcem na cynglu; bo z naszym porucznikiem żartów nie było, a zapowiedział nam, że w czasie wojennym zarówno za niewystrzelenie w razie podsuwania się nieprzyjaciela, jak i za wystrzelenie bez przyczyny i fałszywe zaalarmowanie obozu, kula w łeb!

Stoję tedy, wytrzeszczam zlepiające się oczy i patrzę i widzę doskonale, jak na czworakach z kindząłem w rękach, pełźnie do mnie jakaś postać, we włochatej czapce. Zmieniam się tedy i krzyknąwszy groźnie: stój! kto idzie? czekam odpowiedzi. Gdy jednak potwór się nie rusza, podchodzę bliżej i widzę, że to piniak i gałąź, a ów błyszczący kindżał — kawałek świeżo obłupionej kory. Resztę dopełnił księżyc no i zmęczenie.

Wracam do swojej lipy i tym razem wyraźniej widzę, jak jakiś olbrzymi człowiek celuje do mnie. Więc znowu: „stój! kto idzie?“ brak odpowiedzi, ale i absolutna cisza. Tym razem znowu przywidzenie!

Nareszcie już prawie zasypiałem, gdy usłyszałem wy-

rażnie szmer zbliżających się kroków i zobaczyłem skradający się ostrożnie jakiś cień. Ale na moje groźne: „stój! kto idzie?” odpowiedział mi wyraźnie: „Warszawa“.

Dałem tedy odezwo: „Wolność“ i poznawszy mego podoficera, sprezentowałem broń, zapomniawszy na śmierć, że na pikiecie broni się nie prezentuje. Wziąłem więc zwolna do nogi, ale na moje szczęście, poczciwy Piasecki się nie spostrzegł, albo może udał, że nie spostrzega. Zmieniono mnie zaraz — szybko wróciłem do obozu, zwałem się, jak kłoda i chrapałem.

Brykczyński: Moje wspomnienia, str. 44.

4. Zwycięstwo „ptaszników“ w potyczce pod Mołozowem.

Leżeliśmy spokojnie za drzewami, doskonale zaszyci i przysłuchiwali się gwiżdżącym i warczącym kulom, a że u nas było zupełnie cicho, nie odpowiadaliśmy bowiem wcale, więc każdą kulę było doskonale słychać, jak świszczwały pomiędzy liśćmi lub uderzały o pnie drzew.

Postrzelali tak czas jakiś, potem chwilę postali i przekonawszy się, że nas niema, ruszyli naprzód już całą kupą. Uszedłszy znowu paręset kroków, widocznie zobaczyli nas, gdyż stanęli w jednej chwili, jak mur, postali, aż nareszcie już wszyscy rozwinęli się, w długą linię, tyralierską i zaczęli zbliżać się do nas, gęsto strzelając, ale bardzo zwolna idąc.

Gdy już nareszcie przybliżyli się tak, że już można było guziki rachować i kolor lampasów rozróżnić, porucznik palnął do nich pierwszy, a w ślad za nim posypały się gęste strzały z naszej strony.

Ja trzymałem na muszce jakiegoś ogromnego chłopca, który widocznie coś sobie do mojej lipy upatrzył, bo 2 kule jedną za drugą w nią wsadził. Wiatr dym doskonale na bok unosił, więc go widziałem, jak na dłoni i pamiętam, że mi przyszło na myśl: „Psujesz ty moją lipę, popsuję ja ciebie“!

Mając go tedy doskonale na muszce, lekko ściągnąłem prawy cyngiel, następnie szybko lewy, on zaś skręcił się i palnąwszy jeszcze, jakby na wiwat w górę, padł jak kłoda na ziemię. Nie byłem z przyrodzenia zły, ale przyznaję, że na widok tego ognia doznałem zupełnie takiego wrażenia,

jakiego się doznaje na widok padającego z „dymem“ dzika albo wilka, tylko jeszcze w znacznie wyższym stopniu, dawaj tedy odgryzać ładunki, a nabijać, a strzelać, aż mi się lepażówka rozgrzała.

Oni nas też nie żalowali, aż las jęczał od huku strzałów i świstu kul. Ja tymczasem przecierając strzelbę kłakami, dopiero spojrzałem na bok, nasi pracowali niezgorzej, ale już kilkunastu leżało na ziemi. Wtem przylatuje do mnie z prawej strony Panienka (był to śliczny chłopiec, syn jakiegoś obywatela z Hrubieszowskiego, któregośmy tak nazywali wskutek nadzwyczajnej delikatności rysów, co mu jednak nie przeszkadzało nader celnie strzelać) i dawaj prosić o pożyczenie ładunków. Wyjmuję tedy paczkę i próbujemy kaliber, pasują, jak ulał, daję mu więc 24 sztuk. Przez ten czas jakoś u nas osłabło, wyglądam sobie swobodnie między konarami i widzę, że znacznie dalej już stoją. Naraz, jak świsnie kula, oderwała kawałek kory i pęc nią Panienkę w nos, aż się w jednej chwili krwią zalał. Kochałem go, jak wszyscy, a nie wiedząc, czem dostał, przerażony chwytam go w pól i dawaj obmywać mu twarz wódką, której miałem pełną manierkę. Pokazało się zaraz, że mu krew z nosa leci. Dalej tedy przemyczać, następnie posadziłem go za lipą, nabiłem mu sztućce, a sam zabrałem się znowu do roboty. Tymczasem u nich ucichło, cofnęły się znacznie w tył, zostawiwszy kilkunastu swoich porozrzucanych w owej pszenicy, a widziałem także doskonale, że rannych na noszach noszono. U nas też było kilku zabitych, których odciągnięto w głąb lasu i kilkunastu rannych; tych zaraz zaczęto opatrywać. Paniencie przestała krew iść z nosa, padliśmy więc znow za lipę, zakąsiliśmy doskonale chlebem i pieczoną kurą, którą skądś Panienka wynalazł i gawędzimy sobie w najlepsze, kiedy znowu zaczyna się ogień. Nieprzyjaciel odsunawszy się na jakieś 800 albo i więcej kroków, rozpoczął do nas silny ogień, który, jak zwykle, na taką odległość, ogromnie dużo napsuł gałęzi, wronich gniazd i wystraszył wszystko ptactwo w całym lesie.

My, jak zwykle w takich razach, nie odpowiadaliśmy, leżąc spokojnie za drzewami. Po długiej takiej pukaninie, przekonawszy się prawdopodobnie, że nas już co najmniej wszystkich wystrzelali, ogromnie trąbiąc, bębniąc i krzycząc:

uraaa! — ruszyli kłusem do ataku, podczas, którego jednak w dalszym ciągu nie omieszkiwali owe wrony nad lasem latające straszyć. Tak przybiegli do nas na jakich 100 kroków. Widziałem ich doskonale i jeszczeby szli dalej, kiedy Pannienka ściągnął jednego oficera, silnie wymachującego pałaszem i biegnącego z prawej strony kolumny. „Oto mój nos pomszczony“, szepnął do mnie, śmiejąc się, a w tem buchnęła z naszej strony salwa, naprzód z prawych luf dubeltówek, a po chwili z lewych. Już po pierwszej salwie atakujący drgnęli i stanęli, a po drugiej urządzili tak wspaniałą rejteradę, że aż z pomiędzy pszenicy, kurz w górę poszedł. Jednakże odbiegłszy na jaką wiorstę, stanęli. Widocznie zdetonowała ich owa druga salwa, której się nie spodziewali. Z naszej strony wszystkiego jeden przy tym drugim ataku oberwał, a i to lekko po rękę — przewiązany, żartował sobie z tej rany. Dalej tedy przeliczać ładunki, czyścić broń. Gęby mieliśmy czarne, jak murzyni, bo czarnymi rękami pot się ścierało i muchy spędzało, a i z wodą już kilka dni nie mieliśmy do czynienia, słowem, wyglądaliśmy tak, że choć w pierwszą parę na bal kominiarski, ale zato usposobienie! Serce nam rozpierała jakaś duma szalona, jakieś zadowolenie niesłychane, jakieś podniesienie ducha i poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Bój, zwycięstwo! Czarowne słowo, z niczem nie porównane. Ono to chłodziło grenadyerów napoleońskich wśród bezwodnych, spiekłych pustyń egipskich, a rozgrzewało wśród mroźnego dnia pod Austerlitz. Ono ożywiało starą gwardyę, prowadzoną przez Ney'a, kiedy podczas 30^o mrozu 1812 r. zaintonowała, jak jeden mąż: „Veillons au salut de l'empire“. Mnie wychowanemu w tradycjach napoleońskich, brzmiało w uszach po francusku: „mourir pour la patrie c'est le sort le plus doux, le plus digne d'envie“ (Umrzeć za ojczyznę, to los najśladniejszy, najgodniejszy zazdrości).

Jedna taka chwila za życie wystarczy; żal mi tych, co jej nigdy nie doświadczyli, bo takie życie, to coś niepełnego, czegoś najpiękniejszego w niem brak!

Broń zdawała się nam w rękę, jak piórko, nie w dół nam ciążyła, ale jakby unosila w górę, każdy niby skrzydeł dostał i wnet w lot pofrunie! Jakoż znowu przysłała mi do głowy piosenka żołnierska francuska:

„En avant marchons, Contre leurs canons,
Contre leur feu et la mitraille,
Courrons á la victoire“!

Aż w tem ze wszystkich piersi buchnęło, jak grom: „Jeszcze Polska nie zginęła“, a echo rozległo się szeroko po lasach i rozłogach.

Brykczyński: Moje wspomnienia, str. 64.

5. Ptaszniki.

Okolo południa zajęliśmy pozycyę na skraju lasu, gdzie już nas oczekiwał jakiś oficer z ułanem, który oddawszy rozporządzenie naszemu porucznikowi, zabrał z sobą wszystkich ułanów i tęgim kłusem wraz z nimi odjechał.

Nam kazano przygotować broń i rozstawiono nas za drzewami długą linią, a strzelców umieszczono na prawem skrzydle. Po krótkiej chwili usłyszeliśmy tak, jak wczoraj, z drugiej strony lasu, tylko, o ile się zdawało, nieco bliżej, huk armat i strzałów karabinowych. Widocznie więc znowu nasze centrum zaatakowano.

Trwało to dość długo, aż nareszcie zobaczyliśmy z prawej strony, naprzeciw tego miejsca, gdzie stali strzelcy, wysuwającą się od wsi, kolumnę nieprzyjacielską, która jednak tym razem nie rozsypywała przed sobą tyralierów i nie strzelając, zbliżyła się do nas, aż dopiero zbliżywszy się na kilkaset kroków, zaczęła sypać gęstym ogniem. Po chwili zawarzały bębny i rzucili się na nas kłusem do ataku, ciągle strzelając. Było ich znacznie więcej, niż wczoraj i byli to inni żołnierze, jacyś nowo przybyli. Podpuściliśmy ich, jak wczoraj, na 200 kroków i przyjęli morderczą salwą, po której zwinęli się w kłęb, wyrzuciwszy z pomiędzy siebie sporo zabitych i ranych, cofnęli się paręset kroków w tył i stamtąd bezpieczni przed ogniem naszych niedalekonośnych dubeltówek, gdyż tylko ci strzelali, którzy mieli gwintowaną broń.

Nauczyli się, złodzieje, bodaj ich cholera! mruknął ze złością stary podoficer. W tej chwili usłyszałem głuche palnięcie, a on siadł, karabin wyleciał mu z ręki, pochylił się na bok, drgnął parę razy i upadł. Kula trafiła go w samo serce!

Spojrzałem na prawo i na lewo po linii i zobaczyłem dużo naszych, leżących to na wznak, to na na boku, z wypuszczanymi z rąk strzelbami. Byli to wszystko zabici i ranni, żywi bowiem leżeli na brzuchu i broń trzymali w rękach. Kule leciały, jak grad rwąc korę, odbijając się od ziemi, świszcząc i wyjąc różnymi głosami. Na nieszczęście, drzewa tu były daleko cieńsze, niż na wczorajszym stanowisku, nie można się było za nimi dobrze ukryć.

Więc co raz który z naszych drgnął, wypuszczał strzelbę z rąk i konwulsyjnym ruchem przewracał się na stronę. Kazano się nam tedy cofać, gdyż chociaż porucznik pchnął dwóch posłańców do głównej komendy z raportem, jak tylko wychyliła się ze wsi owa szturmująca kolumna, pomocy jakoś widać nie było.

Ja jeszcze pierwiej zauważyłem stojącą o kilkanaście kroków z tyłu grubą lipę, więc w kilku susach byłem już za nią, szukając jakiegoś drugiego odpowiedniego drzewa z tyłu. Jakoż wkrótce dojrzałem znowu drugie, więc szust za nie i t. d.

A tu kule grają i wyją, jakby je kto do tego wynajął, zrobiło mi się jakoś mdło na sercu, kiedyż bo ta piekielna muzyka przycichnie choć trochę? A ona zamiast przycichać, jeszcze się wzmacza, i naraz wśród warczenia bębna, zahuczały wystrzały jeszcze głośniejsze, zlewając się wraz z echem w jeden ciągły huk, jak grom. „Słyszysz, Stefek! są już w lesie!“ — krzyknął mi z lewej strony Panienska, odskakując za ogromną sosnę, z poza której zaraz złożył się i wypalił.

Wyglądam, a tu przedemną, na jakie 30 kroków, stoi trzech, a raczej dwóch, gdyż jeden zaraz upadł. Widocznie zobaczyli nas, bo złożyli się ku nam, zanim jednak zdolali wystrzelić, taf, taf! położyłem jednego, a drugi, jak sarna, przesadził przez kłodę i tyłem go widział. Dawaj tedy nabijać, przyczem dałem Paniencie znowu paczkę ładunków, tak, że mi zostało tylko dwie i skaczemy z nim, jak sarny, ciągle przystawając dla odpoczynku za grubszymi drzewami. Kiedy las się przerzedził i już w kierunku naszego centrum więcej krzewów, niż drzew było, stanąłem za krzakiem, żeby tchu nabrać, aż tu niewiadomo skąd, wyskakuje widocznie za nami specjalnie biegnący oficer i składa się z rewolweru, więc ja też do niego, huknęły strzały jednocześnie, czy on

co dostał, tego nie wiem, bo w chwili, gdy ciągnąłem za cyngiel, uczułem w lewej nodze, jakby silne ukłucie, on zaś znikł za dymem, jakby się pod nim ziemia rozstała. Biegnę dalej do grubej sosny, na środku owej polanki rosnącej i nabijam tylko co wystrzeloną prawą lufę, ale kiedy ruszyłem dalej, czuję, że mi jakoś lewa noga nie swoja, dobiegłem jednak jeszcze do innego drzewa, za którym przysiadłem, aż tu o kilka kroków z boku, Panienska woła: „Stefek, tyś ranny!“ Przybiegł zaraz do mnie, a ja poczułem gorąco w nodze, cała nogawica czerwona, wyraźnie zatem jestem ranny. Dawaj tedy ściągać but, który był pełen krwi, zawijać spodnie i szukać owej rany. Jakoż pokazało się, że mam na samym brzegu przestrzeloną na wylot łydkę. Bólu dotąd nie czułem żadnego, dopiero gdyśmy zaczęli obmywać wodą z wódką ranę, zapiekło porządnie. Po nałożeniu szarpi i mocnym obandażowaniu, chciałem nałożyć but, ale wleść nie chciałem, więc rozciąliśmy cholewę, nałożyli but, a potem obwiązali rozciągniętą cholewę na zewnątrz i ruszyli dalej. Z początku ciężko było iść, ale potem rozchodziłem się i prawie nie czułem rany. Szedłem jednak już wolniej, bo kule gwizdać koło nas przestały. Wtem zatrzeszczały gałęzie przed nami i zobaczyłem kłusem biegnący oddział Galicyan, przed nim jechał jakiś oficer i przybiegłszy do mnie śpiewnym lwowskim akcentem zapytał: „Ilu was jest?“ Odpowiadam: „Było 120, a ilu zostało tego nie wiem, bo dużo naszych padło“. On na to: „Możecie się cofać dalej“ i poleciał. Po chwili, w kierunku, w którym pobiegli Galicyanie, rozległ się gromki okrzyk; huraaa! trzask suchych karabinowych wystrzałów, a potem wśród basowych ruskich karabinów, grzechot, jakby kto groch rzucał o ścianę, tak gęsty rewolwerowego ognia. Galicyanie bowiem, oprócz karabinów, mieli prawie każdy rewolwer i teraz po wystrzeleniu karabinów, zarzuciwszy je na paskach na lewe ramię, austriacką modą, wzięli się do rewolwerów, którymi na blizką metę i w krzakach wielkie spustoszenie zrobili.

Cały ten trzask i łomot szyko się zaczął oddalać w tym kierunku, skąd przybył i teraz na nieprzyjaciela przysła kolej biegać i chronić się za drzewami. Tylko że Galicyanie nie dali im czasu na zatrzymanie się i odstrzeliwanie, lecz parli pędem przed sobą przez cały ten las, a potem jeszcze

wyparłszy z lasu i wzięwszy się znowu do karabinów, na polu im porządnego łupnia zadali. Jak mówili nasi, z których wielu za Galicyanami pobiegło, że nawet połowa tych, co wpadli do lasu, nie została, a i z tych, co zostali, dużo było postrzelonych i wogóle o tym rewolwerowym ogniu cuda opowiadali. Była to jeszcze nowość, więc nadzwyczajne zrobiła wrażenie.

Ja tymczasem wlokłem się do naszego centrum, skąd dochodził jeszcze huk wystrzałów, choć coraz słabnący, noga mię wprawdzie nie bołała, ale iść było ciężko i jakoś niezgrabnie. Nareszcie przywlokłem się na miejsce opatrunku, gdzie mi zaraz nogę przewinięto, przytem jakiś młody doktor powiedział, żebym tylko o ile możności nie chodził, to za tydzień będę zdrow.

Nadciągali teraz nasi, niektórzy sami, inni prowadzeni przez kolegów, ale żaden nie był tak lekko ranny, jak ja. Wieczorem, gdyśmy się porachowali, zdrowych wraz ze mną zostało 37, reszta byli zabici, lub ranni.

Późnym wieczorem wrócili Galicyanie i zaraz ruszyliśmy w pochód na całą noc. Na drugi dzień słyszeliśmy znowu kilka dalekich wystrzałów z armat; to strzelano do naszych ułanów, którzy, jak mówiono, alarmowali ciągnące za nami oddziały. Zresztą całego tego pochodu nie pamiętam, gdyż złożony na doskonale wymoszczonym słomą wozie, wraz z trzema lekko rannymi kolegami, spałem cały ten czas, jak suseł. Rozbudził nas dopiero w jakimś gęstym lesie oficer, rozkazując oddać broń, którąśmy wszyscy przy sobie mieli na wozie.

Nawpół przytomny, przecierając oczy, spytałem go, co to jest? gdyż nam pozwolono broń zatrzymać przy sobie, ale on odrzekł tylko krótko: „Rozkaz, przechodzimy granicę, broń złożyć na ten wóz, co nadjedzie“. Z żalem niezmiernym, gorzko płacząc, rozstałem się ze swoją ukochaną lepażówką, obwinąwszy ją na drogę oddartym kawałkiem kilimku, na którym leżeliśmy i bandażem. Wkrótce nadjechał wóz, na którym złożyliśmy broń, a ja ucałowałem lepażówkę na pożegnanie. Wóz z bronią wkrótce zawrócił i popędził za innymi, także wyładowanemi bronią, które do lasu umykały. Co się z tą bronią stało, nie wiem. Otoczyli nas austriacy, dostaliśmy się do więzienia.

Grzegorzewski: Moje wspomnienia.

6. Szesnastoletni strzelec Langiewicza.

Będąc studentem 3 klasy gimnazjum św. Anny w Krakowie i widząc, że wszystko idzie walczyć za Ojczyznę, uciekłem i ja z domu, mając lat 16-ście i podążyłem do obozu Langiewicza, który się koncentrował w Goszczy. Wstąpiłem do 4-tej kompanii strzelców, przy aryergardzie, w trzecim dniu byłem wysłany z 4-tą kompanią na czaty, gdyż miała nadejść z Krakowa nowa broń i amunicja. Stojąc na widecie przy drodze, gdzie przechodziły markietanki do obozu z żywnością, poznałem jedną z Krakowa, dałem jej mój medalik z Matką Boską Częstochowską, by oddała go w Krakowie rodzicom i oznajmiła im, że jestem w obozie Langiewicza. Stojąc na drugi dzień na widecie w tem samym miejscu, ze zdziwieniem widzę moją matkę i siostry jadące do obozu, zatrzymałem je i uściskałem. Matka kazała mi ukłknąć, wyjęła flaszkę wody święconej, pokropiła mówiąc: „Idź synu, walcz mężnie za Wolność, Ojczyznę i Wiarę świętą“, toż samo uczyniły siostry, lecz musiały zaraz odjechać, bo padł strzał, jako hasło, że broń już nadchodzi. W pół godziny nadjechało sześć fur naładowanych bronią i amunicją, ruszyliśmy zaraz do obozu, prowadząc konwój, były tam sztuce belgijskie z szerokimi bagnetami, zaraz je zuawi rozebrali, ciesząc się, że będzie czem moskali haratać, na drugi dzień zaraz cały obóz liczący 5000 wiary, konnej i pieszej, dobrze uzbrojonej, ruszył przez Słomniki. Pomiędzy Miechowem a Słomnikami znowuśmy obozowali, rano cały oddział wyruszył na równinę, ustawiliśmy się w czworobok, w środku ustawiono ołtarz polny z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej. Kapucyn miał mszę św., potem mowę i Langiewicza ogłosili dyktatorem, poczem wszyscy składali przysięgę na wierność Ojczyźnie.

Ledwo uszliśmy wiorstę, już rozciągamy łańcuch bojowy, pokazała się sotnia kozaków, lecz widząc taki oddział, po kilkuset strzałach, posunęli się ku Miechowu, zostawiając 4 trupy. Jeden z naszych padł, pochowany został w lesie, saperzy zrobili mu krzyż, a my ruszyliśmy dalej, formując się w czwórki. I tak ciągle marszem stanęliśmy pod Chrobrem, przy pałacu Wielopolskiego, gdzieśmy obozowali, na drugi dzień trochę pałac splądrowaliśmy, ja sam będąc głó-

dny spróbowałem wieprzowiny z prosiaka, którego koledzy zabili i rozebrali. Po wypoczynku ruszyliśmy po południu dalej, na ślicznej równinie, kazano nam się wyciągnąć do linii bojowej, patrzymy coś burego pokazuje się na lewym skrzydle, a że pole było zorane, nie można było szyneli moskiewskich rozpoznać i zaczęto do nas bić granatami, po chwili dały się słyszeć strzały karabinowe, pokładliśmy się na ziemi i strzelali na odwet, kule armatnie leciały ponad głowami, karabinowe świstały koło uszów, my mieliśmy dobrą pozycję; moskale zaczęli się cofać, raz żeśmy ich już zdziesiątkowali, a po drugie już było pod wieczór. My mieliśmy wtenczas 20 rannych i 5 trupów; rannych umieściliśmy na folwarku, a nieboszczyków oddano na cmentarz i znowu dalej idąc całą noc, zmęczeni dotarliśmy do lasów, pokładliśmy się, lecz było zimno, zapalono ogień, bo sęgi były w lesie, niektórzy mieli jeszcze mięso surowe z Chrobrza, nadziali na patyki i piekli na ogniu. Lecz nie długo było tego spoczynku, armatnie strzały znowu zadudniały po lesie, rozsypaliśmy się w tyralierkę, każdy sobie obrał grubą sosnę, z trza której mógłby dobrze walić, a sam był zakryty, lecz trudno było wytrzymać pod tym gradem kul, musieliśmy stanowisko zmienić; obie strony walczyły zacięcie, aż tu pokazuje się brak amunicji, ja sam miałem trzydzieści ładunków, wyszły, ładownica moja próżna, pytam się kolegi Załuskiego: „masz co w ładownicy? dawaj“ — występuję prawą nogą, noga mi czegoś ścierpła, kolega Załuski powiada: „krew ci przez cholewę idzie“. Patrzę się, dziura w cholewie na przestrzał. Kula przeszła mi przez mięśnie łydkowe, nie naruszając mi kości; Załuski powiada: „dawaj szalik z szyi, ja zwiążę, bo ci krew ujdzie“, nachyla się i pada, dostał kulę w samo ucho, drugą stroną wyszła.

Z 4 kompanii mało nas zostało. Moskałom też widać amunicji brakło, zaczynają wołać „hurra“ na bagnety; lecz i oni byli dobrze przetrzebieni, bo ich wyszło ledwie dwunastu, możnaby ich było wziąć i dalej hurra. Nam się nawinęli kosynierzy, też rozbitki i ranni, aleśmy wroga i tak pokonali; ja dostałem jeszcze dwa pchnięcia w prawe udo i do reszty osłabłem; puściłem się więc dalej w las z resztkami rozbitków i tak od drugiej południu do czwartej

staliśmy w ogromnym ogniu. Mego kolegę, Załuskiego, opuściłem ze łzami. Było to 18. marca 1863 r.

I tak ranni i zdrowi, a było nas 22, puściliśmy się na poszukiwanie obozu; ciemno się zrobiło, śnieg zaczął padać, błędziliśmy tak całą noc, ja dostałem gorączki, osłabłem, koledzy mię wzięli pod ręce, nie chcąc zostawić na pastwę moskali. Tak idąc, słyszymy pianie kogutów, chwala Bogu, las się kończy, będzie dwór albo wieś. Koledzy zdrowi mówią, który ranny musi zostać, dzień się robi, lada chwila spotkamy się z moskałami, to was porąbią; dostaliśmy się do wsi, ja dowlokłem się do dworu, pukam we drzwi, słyszę głos kobiety — kto tam? — ranny, proszę otworzyć. Było ciemno, nie powiedziano mi, że tam są schodki, upadłem na ranną nogę, nie mogłem więcej postąpić, zaprowadzono mnie do pokoju. Państwa nie było, pozabierali co lepsze i wyjechali. Została tylko pokojowa, położyła mi materac na ziemi i tak leżałem bez duszy. Kapitan kozacki mię obudził, przypatrzył mi się, zawołał jeszcze dwóch oficerów i pyta mię po polsku: „skąd jestem“ — z Krakowa — taki młody, ładny chłopak!“ i woła na pannę: „proszę go zaraz stąd wziąć, bo kozacy za nami jada, to go tu porąbią, schować go gdzie do stodoły“. „A jak pójdą po siano“? panna zawołała. Kucharka i dziewczki zaniósły mię do stodoły, aby biorąc siano kozacy, mnie nie znaleźli, wybrały siano, położyły mnie twarzą do szpary w ścianie, żebym się nie udusił i przywalały sianem. Rzeczywiście w pół godziny słyszę trąbkę kozacką i ogromny tętent, stanęli na popas. Kapitan i oficerowie pili herbatę we dworze, a kozacy popasając konie, przyszli po siano, ja odmawiałem „Pod Twoją obronę“, a kozunie mię deptali, alem był dość głęboko, nie dobrali się do mnie; wyleżałem tak z godzinę, słyszałem znowu trąbkę do wymarszu, po chwili przyszła ta sama panna spłakana, bo myślała, że mnie znaleźli, wzięto mię napowrót do pokoju, dopiero mię posiliła mlekiem gorącym, rozebrała, rany obmyła, obandażowała, usnąłem w gorączce.

W Pinczowie był szpital, kazała zaprządz i odwiozła mię do niego sama w nocy. W szpitalu było już 12 kolegów rannych i 6 moskali przez kosynierów poharatanych, opatrywał nas dr. Gawroński i siostry Felicjanki z Chrobrza. Rany się nam goiły dość prędko, ze mną było źle, bo żyły

wszystkie były przerwane i tętna; musiano wycinać ciało poszarpane, żyły chwytać i zszywać jedwabiem, jednak w trzy miesiące już chodziłem. Piszę więc do rodziców do Krakowa, że mój ranny, że mi już lepiej i że jestem w Pinczowie w szpitalu. Ojciec przyjeżdża po mnie, lecz na nieszczęście w ten sam dzień przyjeżdża z Kielc kompania wojska z felczerami, żeby szpital zabrać. Przy każdym łóżku żołdak z karabinem i bagnetem, nie wolno się ruszyć, ojciec zmartwiony, co tu zrobić? Dr. Gawroński uspokaja, przynosi stołek, żeby sobie żołdak usiadł, potem flaszkę „choryłki“, żołnierz popił „charaszo“ i usnął, a Felicjanki i dr. Gawroński łap za prześcieradło, wiążą mnie wpół i przez okno spuszczają na dół. Dr. Gawroński wziął mnie do domu, zamknął w piwnicy, a moskale się rozbijali po Pinczowie, szukając mnie. Dopiero jak wymaszerowali z miasta z kolegami, którzy uciec nie mogli, myśmy także wyruszyli. Ojciec bał się jechać przez miasto ze mną, wyjechaliśmy więc tyłami z miasta. Na Nidzie woda była wielka, co tu zrobić, ojciec mówi w imię Boże jedź, furman rusza, ale bryczkę woda podnosi, ojciec znowu: „Matko Najświętsza ratuj nas“! Pan Bóg dopomógł, żeśmy szczęśliwie dojechali i przebyli całą drogę, a żaden moskał nas nie spotkał, bo ja byłem jeszcze w mundurze powstańczym, w konfederatce i w burce. Przyjechaliśmy do Krakowa szczęśliwie.

Leon Preis (Księga pamiątkowa 40-lecia, str. 351).

CZEŚĆ PIĄTA.

UDZIAŁ LUDU.

1. Objawy życzliwości wśród ludu.

Stojąc we wsi Grządka na Kurpiach tydzień przeszło, gdzie mustrowaliśmy zebranych już ludzi, objedliśmy gromadę zupełnie. Posłał Mystkowski do wójta, aby obliczył, co się gromadzie należy za wyżywienie żołnierza, lecz ten, przyszedłszy, skoro dowiedział się, o co chodzi, z oburzeniem odpowiedział: „Cóż to chcecie nam płacić, czy to nie nasz obowiązek dzieci własne żywić, czy my nie tacy Polacy, jak wy, żebyśmy mieli brać pieniądze za marną strawę, kiedy wy życie dajecie dla Polski“. Uściskaliśmy pocziwego Kurpia, a łza serdeczna, która cisnęła się nam do uczu, była mu zapłatą.

Z pamiętn. *Bron. Deskura* t. II. Wydawnictwa materyałów, str. 160.

Muszę wspomnieć jeszcze o jednym fakcie, który charakteryzuje usposobienie ludu w tej okolicy. W miesiącu czerwcu, zdaje się, wyszło rozporządzenie rządu narodowego, przez komisarza rządowego ogłoszone gminom, aby się gotował lud do pospolitego ruszenia. Byłem świadkiem w tych stronach, jak we wszystkich kuźniach wiejskich przekuwano na gwałt kosy, a masy włościan, nie wołane jeszcze, zaczy-

nały się już zbierać, i tak raz pod Ostrołękę przyszło półtora tysiąca kosynierów, którzy się kusili uderzyć na Ostrołękę, jak wojsko wyjdzie za powstańcami, a słaba załoga zostanie. Tadeusz Płuchowski, obywatel z Płockiego, mówił mi, że w 3 tygodnie po ogłoszeniu pogotowia, o którym mówię, przyjechał komisarz rządowy do niego, jako do Naczelnika cywilnego województwa i zażądał, aby zwołać gromady, ponieważ chce włościan uprzedzić, żeby kosy obrócili do swojej roboty w polu, gdyż rząd ma nadzieję, że przyjdzie do interwencji zagranicznej, nie może więc narażać ludu na morderczą dla niego walkę. Włościanin jeden z wzywanych gromad po powyższej przemowie wystąpił do komisarza, mówiąc: „Wyście zawsze tak robili, skompromitowaliście nas, bo Moskale wiedzą o naszym przygotowaniu. Przyjdzie czas, że my sami powstanie zrobimy, ale was tam nie będzie“. Gromady się rozeszły z szemraniem. Na dowód, jak włościanie byli dobrze usposobieni, niech posłużą jeszcze jeden przykład. W jednej z wiosek garwolińskiego okręgu na Podlasiu, miejscowy proboszcz tak usposobił swych parafian patryotycznie, że ci odebrawszy wiadomość o ogólnym powstaniu, 24. stycznia zebrali się z kosami, bo innej broni prawie nie mieli i przysli do swego dziedzica, żądając od niego, aby ich prowadził na Łaskarzew. Dziedzic ów, młody jeszcze człowiek, ale nie wojowniczego ducha, rad nie rad z włościanami iść musiał. Napad się nie udał. Włościanie zastali już Moskwę przygotowaną na ich przyjęcie, śmiałym jednak atakiem zmusili ją zamknąć się w domach, ale mając koły tylko, ustąpić z miasta musieli.

Pod Łaskarzewem, zdaje się, do boju prowadził oddział dr. Chałupczyński. Oddział ten był przeważnie złożony z włościan. Ksiądz Seweryn Paszkowski, proboszcz z Maciejowic, przyprowadził do oddziału przeszło 200 chłopów z swej parafii. Na Podlasiu zwłaszcza, gdzie mieszka drobna szlachta, lud był jak najpatryotyczniej usposobiony i sprawie narodowej oddany. W jednej z gmin powiatu Łukawskiego stawiło się do formującego się oddziału Zielińskiego około 500 włościan.

Pamiętnik Deskura t. II. Materiałów do powstania 63. r., str. 170.

2. Chłopi w Augustowskiem.

Włościanie sami poczeli się zbierać w lesie i zaczęli formować oddział. Do nich z Kowna pojedynczo przybywali ochotnicy wyprawiani stamtąd przez prostego, lecz wielkiej odwagi i uczciwości człowieka, którego nazwiska nie pamiętam. Pełnił on dla lepszego ukrycia się obowiązki lokaja nawet u moskiewskich wyższych oficerów, wysyłał też do obozu nie tylko znajomych mu kowieńskich mieszkańców, ale niekiedy i moskali z bronią, między którymi znajdował się mieszkaniec Warszawy deportowany do Kowna i skazany na służbę wojskową za udział w manifestacjach i ten to właśnie po przybyciu do obozujących włościan, jako z większą od nich ogładą i nieco już obznajomiony z wojskowością, począł formować oddział, nad którym objął dowództwo, nazwawszy się Szpakiem. Wszelkie potrzeby nowych tych powstańców tak pod względem odzieży, obuwia i bielizny, zostały przez naczelników zaspokojone, żywności dostarczali im włościanie. Wójt D. przez swe usilne starania wymógł na włościanach swej gminy kilkanaście myśliwskich pojedynków, które powyciągali ze schowania i do obozu przesłali... Z materyi przyjaciółkami kształtne czworograniaste czapki i tak oddział Szpaka kompletnie i porządnie został ubrany i na niczem mu nie zbywało. Broń tylko wzbudzała poniewolny uśmiech i litość.

Uszedłszy bez ukrywania się rąk nieprzyjaciół, pojechałem do Balwierzyszek, stąd do jednego z obywateli, który odesłał mnie do swego krewnego, mieszkającego w wiosce na ustroniu, gdzie po kilku dniach mej bytności otrzymałem ostrzeżenie, że z za Niemna 9.000 moskali wysłanych przez okrutnego Murawiewa-Wieszatela, przeprawia się w tę stronę i część wojska zbliża się ku tej wsi, w której przebywałem. Pospiesznie więc wybrałem się z dworu przez ogród na dość obszerną łąkę w końcu porośłą krzakami, a dalej puściłem się małym brzoźowym laskiem, do którego zaledwie wsze-

dłem, usłyszałem marsz kawaleryi, o kilkanaście kroków odemnie oddalonej. Słyszałem rozmowy żołnierzy i szcęk pałaszy. Po uciszeniu się gwaru wojskowego pochodu, przesiadziawszy jeszcze parę godzin w lesie, wracałem do dworu w tej myśli, iż moskale już odeszli i wszedłem do ogrodu. Ogrodnik spostrzegłszy mnie, uląkł się mocno i z cicha powiedział mi, że moskale są jeszcze we dworze i na dziedzińcu i że będą nocowali. Zwróciłem się więc znowuż przez łąkę do zarośli, a chociaż połowa dziedzińca była otwartą na prost łąki, którą przejść musiałem, nie byłem jednak przez moskali spostrzeżonym. — Dowiedziawszy się o upadku powstania, wystarał się o paszport za granicę.

Rafał Błoński: Pamiętniki z Augustowskiego, str. 388.

3. Kwesta.

Wspomnienia z lat dziecińczych 1863. roku.

Piękny czerwcowy dzień miał się ku schyłkowi, jasne promienie słońca złociły jaskrawo falujące łąny zboża, przetkane bławatami, — łąki w połowie skoszone, rozsiewające ostry, aromatyczny zapach macierzanki, mięty i krwawniku i niebotyczne bory sosnowe, wydające tę cudowną, upajającą woń żywicy, bory otaczające jak pierścieniem równinę, na której widniało kilka wiosek.

Cudzoziemiec świeżo przybyły, patrząc na ten cichy zakątek, nie przypuściłby nigdy, że w tę ziemię wsiąka krew męczenników, że w tych lasach szuka schronienia tysiące bohaterów, idących na pewną śmierć.

A jednak, — to był czerwiec 1863 r.!

Pani Z. wyszła na ganek „białego dworu“ (tak był zwany dwór w Ksawczynowie przez powstańców, znajdujących tu schronienie w gorących czasach), który otoczony włoskimi topolami, strzelającymi w niebo, jak wysmukłe wieżycze gotyckie, tulił się do wielkiego sadu.

Józienko — rzekła do swej córeczki, pogrążonej w czytaniu — czy chcesz iść ze mną na kwestę do Glinianek? — dziś na nie kolej.

O, mamusiu, wiesz, że ja zawsze chcę chodzić z tobą, aby zbierać dla naszych bohaterów; tym sposobem zdaje mi się, że i ja dla nich coś robię. Czemuż ja teraz nie jestem dorosłą!...

Pani Z. wzięła tackę i maleńką serwetkę, a włożywszy to w koszyczek, udała się z Józją do Glinianek, sąsiedniej wioski, którą na równinie dostrzedz można było, o jaki kilometr, na skraju lasu.

Dla skrócenia drogi wybrano ścieżynę, wijącą się wśród pól pokrytych kłoszącem się zbożem. Józia szła naprzód i to tu, to tam uszczknęła modry bławatek, lub liliowy kękol, układając z nich wiązanek; cisza zalegała dokoła, przerywał ją tylko świegot ptaków, lub z oddali dolatujący brzęk kos, ostrzonych na łąkach.

Dochodząc do pierwszej chaty, pani Z. wyjęła tackę, pokryła ją serwetką i położyła na niej papierowego rubla, twierdząc, że pieniądz jest magnesem, przyciągającym inne.

To zrobiwszy, weszła do chaty ze słowy: „Niech będzie pochwalony“...

— Na wieki, — odrzekła gospodyni chaty, krzątająca się około wieczery dla czeladzi.

Wszystkie bowiem okoliczne „białego dworu“ były to wsie gospodarskie, zamieszkałe przez włościan, mających po kilka, lub kilkanaście morgów gruntu.

— Przyszłam do was Maciejowa po kweście, zbieram pieniądze, płótno, co kto da, dla naszych żołnierzy, wy wiecie, trzeba dla nich broni, żywności, ubrania...

— O nasa złocista pani, cemubym nie dała, toć to nasi, oni się biją z moskalami, i mój brat Bartek posed i Franek mojej kumy, ćterech z nasej wsi posło, chłop w chłopą jak dębaki — a jesce kielo pójdzie!

I gosposia poszła w kąć izby, otworzyła malowaną skrzynię, wydobyła węzelek malutki, a z niego dwa złote polskie i położyła na tacce.

— Dam jesce na kosulę, moja Maryś psędła, a ja tkalam, cieniutkie płótno dla swoich, ale po prawdzie powiedziawszy, to i to swoi, bidaki tak się tulają po lasach!...

Z temi słowy Maciejowa zbliżyła się do otwartej skrzyni, wyjęła sztukę płótna, odmierzyła i odcięła na dwie kosule, a wyszedłszy na próg chaty, zawołała dziesięcioletniego Woj-

tusia, aby niósł płótno za panią Z., która pożegnawszy kilku serdecznymi słowy Maciejową, poszła dalej od chaty do chaty, witana wszędzie z radością, miedziaki i złotówki piętrzyły się coraz wyżej na tacy, a kawałków płótna już mały Wojtuś nie mógł unieść, zastąpiły go hoże dziewoje, które z łąk od siana powracały.

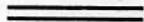
Słońce już dawno zaszło, na ciemnym szafirze nieba, miliony gwiazd się zapaliły, wielka tarcza księżycy wysunęła się powolnie z za lasu, rzucając srebrzyste, tajemnicze blaski na równinę, zroszoną niegdyś krwią bohaterów kościuszkowskich.

I cicho było dokoła, zdala dolatywało tylko szczekanie psów, skrzyp żurawi przy studniach i szum odwiecznego lasu, który tajemniczo szeptał coś, — jakby pacierz wieczorny, — jakby modlitwę za umarłych, których tyle, tyle tysięcy ta ziemia, zlaną krwią i łzami wówczas utuliła!

Pani Z. w towarzystwie dziewcząt, niosących zebrane płótno i gromadki wiejskich dzieci, wesoło gwarzących, wracała do domu drożynką, jakie zwykle łączą nasze wsie między sobą. Gdy cała gromadka doszła do przydrożnego krzyża, którego ramiona wyciągnięte jakby chciały ochronić od ciosów tę nieszczęsną ziemię, Józia ukłękła i złożyła u stóp krzyża swą wiązaną bławatów, za nią ukłękli wszyscy i z tych piersi gorąco kochających Ojczyznę, popłynęły w dal wieczorną, ku niebu usianemu brylantami gwiazd, słowa tej rzewnej modlitwy: „Boże Ojczyznę“... i „Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie“... a na zakończenie słowa pełne skargi, łez, krwi i buntu: „Z dymem pożarów“...

W ten sposób ś. p. matka moja zebrała między włościanami w wioskach okolicznych paręset rubli i kilkanaście sztuk płótna, jako ofiarę ludu; — a duch wielkiego Naczelnika, unoszący się ponad równiną Maciejowicką, radował się, widząc w tem żniwo kos raclawickich.

Józefa z Zagórowskich Anc: Księga pamiątkowa 40-lecia, str. 54.



CZEŚĆ SZÓSTA.

UDZIAŁ KBIET.

1. Komitet kobiet.

Inni lepiej odemnie wykażą znaczenie powstania styczniowego, opowiedzą jego historię, dadzą poznać jego przyczyny i następstwa. Co do mnie, ograniczam się po prostu na podaniu kilku drobnych rysów, dotyczących mnie osobiście w ciągu owego roku, którego nie nazwę rokiem straszliwym, jak Hugo nazwał rok pruskiego najazdu na Francję, bo straszliwym jest to tylko, co niszczy, co sprowadza rozkład i zgniliznę, co gasi wiarę, nadzieję, miłość, a takim nie był drogi nam rok 1863!

Skąd wyszła myśl stowarzyszenia kobiet, połączonych w piątki, dla niesienia pomocy rodzinom powstańczym, tego powiedzieć nie mogę; to wiem tylko, że należała do najpierwszej, jaka się zawiązała. Każda z nas pięciu miała obowiązek wносить co tydzień kwotkę do wspólnej kasy, odwiedzać rodziny, rozdawać im stały tygodniowy zasiłek, a co najważniejsza, zachęcać znajome panie do wiązania się w takie same piątki i do działania pod naczelną kontrolą naszą. Ta kontrola była konieczną, szło tu bowiem o równy podział wsparcia między rodziny. Sesje nasze odbywały się co tydzień, w obecności jednego z komisarzy Rządu Narodowego. W ciągu tygodnia panie przewodniczące innym piątkom, składały nam pieniądze tak od siebie, jak i od innych kótek,

tworzących długi łańcuch i odbierały nasze polecenia co do opieki nad biednymi.

Dwie towarzyszki moje hojnie zasilają skarb pieniędzmi, ale ze względu na stanowisko mężów, nie mogły działać otwarcie. Wszystkie więc obowiązki spadły na moją głowę. U mnie odbywały się wszystkie posiedzenia i narady i ja sama odbierałam listę od naczelnika miasta i spełniałam dane mi polecenia. W ręku moim był spis wszystkich wspieranych rodzin; do mnie odnosił się ogromny łańcuch piątek zawiązanych w Warszawie. Praca ta była wielka, musiałam na długi czas przerwać literackie zajęcia, a kreślić same cyfry, zapisywać nazwiska, zwłaszcza zaś kołatać o pieniądze.

Do tych praktycznych zajęć przybyło jeszcze jedno. Naczelnik miasta postanowił, że za moimi kwitami fabrykanci i kupcy mają składać sztuki płótna, buty i t. p., co im się liczyło w podatku, ja zaś obowiązana byłam dawać to płótno do szycia wspieranym kobietom i odbierać od nich koszule dla powstańców. Od czasu do czasu agent Rządu Narodowego zabierał te efekta. W dzień biały ładowano je na wóz; rzecz dziwna, nigdy to nie ściągnęło uwagi policyi, która miała posterunek naprzeciw moich okien. Niepodobna jednak, by tego nikt nie dostrzegł.

W mieszkaniu mojem cały pokój zawalony był rekwizytami, bywało nieraz po 500 koszul i po 300 par butów. Domy wszystkie wystawione były na najściślejszą rewizję; ta odbywała się zawsze w nocy. Szczęściem dla mnie, w tymże samym domu zajmował pierwsze piętro podeszły hrabia, od lat kilku dotknięty paraliżem, a przez to samo nie podejrzany. Hrabia miał zaufanego kamerdynera, który z młodą żoną zarządzał wszystkim w domu. Ci poczciwi ludzie, codzień o zmierzchu, zabierali odemnie całe stopy koszul i butów, a odnosili je zrana. Czasami hrabia, spostrzegłszy coś niezwykłego, pytał kamerdynera: „A cóż to, czy to fury przyszły ze wsi? Skąd te wszystkie rupiecie?” Zacny sługa wykręcał się, jak mógł i szczerze pomagał nam do końca.

W stosunku ze służącymi nastąpiła w tych czasach nadzwyczaj pomyślna zmiana; mieliśmy w nich najwierniejszych przyjaciół, ożywionych z nami jedną myślą, jednym pragnieniem. A nie były to jakieś szczególne wyjątki; nie

słyszałam wówczas o żadnej denuncjacji ze strony służących, przecież ówczesne działania odbywały się jawnie pod ich okiem. Okazywana im ufność podnosiła ich we własnem przekonaniu, budziła w nich uczucie godności. W ciągu dziesięciu miesięcy miałam kolejno trzech czy czterech służących, każdy z nich służył najgorliwiej, ale krótko, każdy biegł do powstania.

Korespondencye z naczelnikiem miasta odbywały się za pośrednictwem młodych aplikantów i dependentów biurowych. Codzień odbierałam co najmniej trzy takie odwiedziny. Zdarzało się nieraz, że przechodząc ulicą, spotykałam którego z tych panów idącego do mnie. Wstępowałam wtedy do pierwszej lepszej bramy, posłaniec wchodził za mną, wsuwał mi liścik i szliśmy dalej, każdy w swoją stronę. Działo się to wszystko pod okiem policyi, ale wówczas nikt nie myślał o niebezpieczeństwie; wiele zresztą rzeczy uchodziło, dzięki dobrej woli policyantów.

W Warszawie coraz cięższe czekały trudy. W miarę szerzącego się powstania, przybywało mnóstwo wdów i sierót, a ofiary pieniężne nie przybywały w odpowiednim stosunku. Trzeba było obmyślać rozmaite sposoby, niekiedy z wielkiem narażeniem. Wezwałam do rady jedną z najczynniejszych pań towarzystwa naszego: umyśliłyśmy poruszyć zamożnych Izraelitów przy Nowiniarskiej i Franciszkańskiej ulicy. Znałam ją oddawna starego handlarza koni, później zubożałego; zajmował się faktorstwem. Przychodził do mnie czasami, prosząc o pożyczanie rubla, którego nigdy nie oddawał. Stary Wolf sprzyjał widocznie sprawie naszej, przynosił mi wieści o rozrzuconych po kraju oddziałach. Przyszło mi na myśl spożytkować tę znajomość. Powierzyłam mu zamiar.

„Powiedz mi, rzekłam, mój poczciwy Wolfie, czy się nie narażę zbyt znacznie, kołając w progi rodaków twoich i ukazując im upoważnienie Naczelnika miasta opatrzone jego pieczęcią“.

„Żaden z naszych nie dopuści się zdrady, odparł Wolf, zato poręczyć mogę, ale chodzić od domu do domu to daremny mozoł; są tam i ubodzy, a z próżnego, jak mówią, to i Salomon nie należy“.

„Wskażże mi przynajmniej, mój Wolfie, nazwiska za-

możniejszych i numeru domów, gdzie mieszkają“. — „Ja lepiej zrobię, odrzekł Wolf: niech panie wybiorą się z listem Rządu Narodowego, ja będę szedł naprzód o jakie 10 kroków; przechodząc wskażę kijkiem kamienicę, do której wstąpić warto“. Uczyniłyśmy według rady Wolfa. Przed listem naczelnika miasta chyliły się głowy i rozmykały worki bogaczy, kwesta udała się wybornie.

Moskale wysłedzili miejsca, gdzie się odbywały schadzki Rządu Narodowego. Dnia jednego przychodzi do mnie ktoś znajomy, opowiada, co zaszło, zapytuje, czy pozwolę, aby narady odbywały się w domu moim, nim członkowie Rządu upatrzą inne miejsce. Struchlałam na te słowa, a jednak niepodobna było odmówić. „Z mojej strony, rzekłam, zgadzam się na wszystko, gotowa jestem przyjąć wszelkie następstwa, ale zaczem przyjdzie do tego, chciejcie panowie zbadać, czy dom mój dosyć dla was bezpieczny“.

„Uczynimy, co będzie można, odrzekł na to, w każdym razie, skoro się pani zgadzasz, pojutrze o godz. 4-ej oddal z domu służących, pozostań sama z towarzyszką, przyjdzie tu kilku panów, ja zapewne nie pójdę z nimi. Jeśli na powitanie podadzą wam rękę w taki sposób — to mówiąc podwinął jakoś palce — wtedy możecie przyjąć ich z całą ufnością“.

Co działo się ze mną w dniu umówionym, tego już opisać nie potrafię. O 2-ej podano nam obiad, żadna go nie dotknęła. Rozesłałyśmy służących w dalekie strony, skąd nie mogli wrócić przed wieczorem. Obie z moją pocziwą Zosią siedzimy przy stoliku martwe, jak głązy, liczymy minuty na zegarze. Bije czwarta... pociemniało nam w oczach. Nikt nie przyszedł, śnać ostrzeżono, że dom nie przedstawia warunków bezpieczeństwa.

Byłoto jakoś w połowie października, nie pamiętam dokładnie daty. Z rana odbieram wiadomość, że aresztowano tę właśnie panią, która obchodziła ze mną Nowiniarską i Franciszkańską ulicę. W tymże domu miał się odbyć pogrzeb dobrej mej przyjaciółki. Jedziemy z towarzyszką. W kościele zbliża się do mnie poważny prawnik, dawny mój przyjaciel: „Pani wyjechać musisz dziś jeszcze“, powiada stanowczo...

Pojechałam do krewnych na wieś i stamtąd wysłałam posłańca po paszport.

Dojeżdżamy do wsi wieczorem; gwarno w niej, ludno; po drodze rozstawione czaty powstańców naszych. W dziedzińcu pełno koni, we dworze zastawiona wieczerza. Biedacy znużeni pochodami, niepewni jutra, a przecież nie upadają na duchu. Dwaj z nich przybiegają do mnie, całują w ręce, witają, jak dobrze znajomą.

„Pani nas nie pamięta, rzecz jeden, ale my znamy dobrze panią. My obaj policyjanci: ja pełniłem służbę na Nowym Świecie, kolega mój na Nowolipkach: kazano nam śledzić panią na każdym kroku, my też śledzili, ale tylko dla siebie, para z ust naszych nie wybiegła“.

Uścisnęłam ręce tych nieznanym mi opiekunów, dziękowałam im całym sercem. Tyleż razy mogli mnie zgubić. „Nie taki straszny dyabeł, jak go malują, rzekł drugi, służyliśmy dla chleba, ale my też Polacy!“

„Wierzę wam, drodzy moi, największy dowód, że was tu dziś spotykam“.

Otrzymaawszy paszport, wyjechałam zagranicę.

Seweryna Duchńska: Wspomnienia moje. (Wydawnictwa materyałów z r. 1863., str. 191. t. II.)

CZĘŚĆ SIÓDMA.

OSTATNIE CHWILE POWSTANIA.

1. Ostatni z dowódców powstańczych: ks. Stanisław Brzoska.

W r. 1865. cisza cmentarna panowała w nieszczęśliwej Ojczyźnie naszej; wszystko, co było ruchliwego, zginęło na szubienicach, w walkach z wrogiem lub poszło na wygnanie; przestał powiewać sztandar bojowy wojsk narodowych, bo już rąk nie było do walki.

Na jednym Podlasiu tylko trzymał się ksiądz Stanisław Brzoska, tocząc bój z moskalami i do wściekłości ich doprowadzając tem, że nie mogli pochwalić się przed światem, że powstanie już zostało zgniecione ostatecznie.

W początku ruchu narodowego ks. Brzoska wstąpił, jako kapelan z początku do oddziału Lewandowskiego, a potem do oddziału Krysińskiego, który mu oddał pod dowództwo osobny oddziałek. W bitwie pod Staninem Brzoska był ranny. Gdy Krysiński wyjechał do Galicyi, Brzoska zebrał resztki oddziałów, sformował oddział z 1.000 ludzi i objął nad nim dowództwo. Po wielu potyczkach otoczony ze wszystkich stron, zmuszony był oddział rozpuścić, ale w lasach łukowskich utworzył oddziałek mniejszy, głównie ze zbiegłych z wojska rosyjskiego żołnierzy i zaczął niepokoić załogi moskiewskie, a taką miłość i szacunek w ludzie wiejskim miał wzbudzić, że w każdej chacie znajdował przytułek i bezpie-

czeństwo, a włościanie uprzedzali go zawsze o ruchach moskali. Brzoska z oddziałem swym ukrywał się stale w pośrodku t. zw. błot Jackich na wysepce związanej wązkim przejściem z twardym brzegiem błota, pokrytego zawsze wodą.

W październiku 64. r. nieprzyjaciel dowiedział się o tem schronieniu i otoczył go, ale Brzoska, uwiadomiony przez włościan zawczasu, wyniósł się w inne miejsce. Po pewnym czasie od przekupionych żydów dowiedział się pułkownik Tołmasow, że Brzoska z czterema ostatnimi towarzyszami nocuje we wsi szlacheckiej Przewuski. Otczywszy wieść piechotą i kozakami, dowódca oddziału nakazał jak najściślejszą rewizję każdego domu. W skrajnej zagrodzie kozacy zauważyli zamkniętą szopę, której właściciel nie chciał otworzyć. Rewidujący odbili zamek, ale w szopie nie znaleźli nikogo. Zauważywszy jednak, że na belkach leżą snopy, jeden z kozaków wlaź tam i zaczął kłuć snopy pałaszem, lecz w tej chwili został uderzony kolbą w głowę przez jednego z powstańców, który wyskoczył ze słomy. Kozak zleciał na ziemię, a powstańcy dawszy ognia, wyskoczyli z szopy i pobiegli ku bliżkiemu lasowi. Dowódca chciał im przeciąć drogę do lasu, lecz trafiony strzałem upadł. Podoficer ścigał uchodzących i dwu zabił, ale Brzoska z dwoma towarzyszami ocalał. W marcu 1865 r. Moskale dowiedzieli się, że Brzoska ukrywa się u Sołtysa pod Sokołowem. Z Warszawy wysłano znowu Laukisowa, ale najstaranniejsze poszukiwanie nic wykryć nie zdołały, chociaż denuncyacya żydowska wymieniła nawet dom Bilińskiego. 29 kwietnia naczelnik wojenny z 10 kozakami i dwoma żandarmami otoczyli dom Bilińskiego i zaczęli rewizję. Widząc, że kryjówka jego odkryta, ks. Brzoska przywitał ich strzałem, a gdy dokonywujący rewizję zaczęli uciekać, ks. Brzoska ukazał się we drzwiach chaty z rewolwerem w ręku, a za nim adjutant jego Wilczyński, który nabijał broń i podawał swemu dowódcy, ciągle ostrzeliwując się; ksiądz Stanisław zaczął biec ku lasowi, ale nieszczęściem potknął się i upadł. Nadbiegł wachmistrz żandarmów, a choć Brzoska przytknął mu rewolwer do czoła, broń jednak nie wypaliła. Schwytany, ranny w rękę ks. Brzoska, widząc niemożność dalszego oporu, oddał rewolwer żandarmowi, mówiąc: „weź go sobie na pamiątkę“.

W trzy tygodnie potem ostatni ten dowódca powstań-

ców wraz ze swoim adjutantem zginął na szubienicy. Nawet dzienniki moskiewskie mimowoli wyraziły podziwienie nad niezwykłą energią, charakterem i poświęceniem tego bohatera.

Strus: Ludzie i wypadki, str. 54. t. II.

2. Ostatni oddział.

Pod koniec roku Rząd Narodowy wydał odezwę wzywającą wszystkich powstańców przebywających gdziekolwiek i z jakichkolwiek powodów, żeby stawili się w najbliższych oddziałach — teraz wszelkie wahanie musiało ustąpić, trzeba było wykonać rozkaz. Właśnie gdy ukończyłem przygotowanie do wymarszu, nabywszy ubranie odpowiednie na zimę i rewolwer, zetknąłem się w Śledziejowicach z Eminowiczem, byłym oficerem austriackim, głośnym przed kilkoma miesiącami dowódcą oddziału w Sandomierskiem; w owej chwili wracał on z Wiednia po dłuższym urlopie. Podpułkownik Eminowicz, młodzieniec zaledwie 20 kilkuletni, miły, wesoły, podbił urokiem przygód niezwykłych i rozgłosem, jaki go otaczał — uprosiłem go więc, by mnie zabrał ze sobą. Przy jego boku miałem nadzieję skończyć z honorem... W straszną zawieję śnieżną, w noc ciemną, z jednym przewodnikiem, z rewolwerami w pogotowiu, gdyż naprzeciwko w Połańcu stali moskale i włóczyły się patrole kozackie, przeszliśmy zamarzną Wisłę, a doprowadzeni do najbliższego folwarku, zamieszkałego przez jakąś złą rodzinę, oczekując naszego przybycia, ruszyliśmy natychmiast dalej w głąb Królestwa. Zmieniwszy parę razy konie, zajechaliśmy do pp. Antoniów Jawornickich w Kiełczynie. Dom pp. Jawornickich był przykładem, do jakiej biedy dochodziły pod koniec powstania zamożne rodziny obywatelskie. Na każdym kroku, z każdego kąta wyglądała tu ruina. Kiełczyna była ostoją rozbitków, szpitalem rannych i chorych, spiżarnią głodnych oddziałów, a cmentarz tamtejszy — miejscem spoczynku poległych lub zmarłych z ran wybitniejszych powstańców, sprawozdanych przez pp. Jawornickich i tu grzebanych. Niezwykle przyjazny w tych czasach stosunek z wsią ułatwił pp. Jawornickim ich działalność — nie tylko nie obawiali się

zdrady, co zresztą się już nie trafiało, lecz mieli wszelką pomoc od chłopów.

Frycz: Wspomnienie żołnierza.

3. Ucieczka z więzienia *).

Postaram się skreślić Ci, mój drogi, w krótkości ostatnie przejścia moje, które w każdym razie są dość ciekawe.

Otóż prowadząc taką rozbójniczą wojnę, co to nigdy się pod dachem nie spało, ciepłej strawy prawie nie jadło, odzienia nie zmieniało, a żyło się i działało więcej po wilczemu, aniżeli po ludzku; prowadząc taką wojnę w przeciągu trzech miesięcy, zacząłem odczuwać zły wpływ tejże na moją sercową chorobę. Szczególnie szkodliwy mi te częste forsowne nie marsze, a biegania, bo zazwyczaj klusem wykonywaliśmy nasze nocne manewry. Same bitwy corps á corps, gdzie często trzeba było z dwoma i więcej przeciwnikami pasować się ciągle, powiększały moje gwałtowne bicie serca. Wiedziałem, że nie długo będę mógł takie życie prowadzić, ale nie mając nigdy najmniejszej nadziei wyjść cało z tej wojny, mało o to dbałem. Po dwunastu tygodniach jednak już zdarzyło mi się upaść bezprzytomnie w jednej z takich utarczek, ale miałem ludzi, bardzo do mnie przywiązanych, więc też wynieśli mnie z pośrodku nieprzyjaciół i ocuciliem się na rękach ich w lesie. Podobne omdlenia są dość częste w chorobach serca i zdarzały mi się jeszcze w Petersburgu. W kilka dni potem omdlałem już nie w bitwie, ale poprostu bez żadnej przyczyny w obozie. Zrozumiałem, że to się będzie powtarzać, i że nie dziś, to jutro dostanę się w ręce moskali. Ale na to nie było rady, zostałem więc dalej w obozie i wkrótce w jednej z takich nocnych utarczek ocknąłem się w rękę nieprzyjaciół. Jakkolwiek już dużo przykrych chwil przeżyłem, będąc w 12. roku życia oddanym z domu rodziców do szkoły kadeckiej w Petersburgu, lecz chwili tak przykryj jak ta, w której ocknąłem się skrepowany w rękach moskali, nie miałem jeszcze nigdy. Wśród różnych uczuć,

*) List wyjęty z papierów pułkownika Strusia (dr. Stella Sawicki).

uczucie gniewu było najmocniejsze, bo zacząłem wymyślać na żołnierzy, dlaczego mię związali. Mówiłem, iż jestem oficerem rosyjskim i że powinni mię rozstrzelać, a nie związać. Na krzyk mój żołnierze odpowiadali śmiechem i szturchańcami. Oficerowie powiedzieli, iż nie mają prawa pozwolić mnie rozwiązać, a tembardziej rozstrzelać bez sądu, ale kazali mnie odprowadzić do pułkownika. Pułkownik wysłał oddział ze 100 ludzi pod dowództwem oficera, który miał mnie odprowadzić do Kowna i tam oddać w ręce Murawiewa syna. Prowadzono mnie z ogromnemi ostrożnościami całe trzy dni, a choć przyjaźnie rozmawiałem z oficerem, pilnowano mnie zawsze tak ostro, że nie można było pomyśleć o ucieczce. Czwartego dnia przyszlśmy do jakiejś wioski nad Wilią o kilkanaście wiorst od Kowna. Tu oficer dowiedział się, że powstańcy krążą około miasta i lękał się iść dalej. Był to już wieczór, żołnierze zabierali się do spoczynku. Mnie odprowadzono na odwach, a oprócz odwachowej placówki, która się przechadzała po dworze, postawiono jeszcze jedną wartę przy drzwiach mojej izby, zaryglowawszy mocno okiennice. Widząc się już tak blizkim mety, pomyślałem sobie, że jeżeli dziś nie ucieknę, to nie ucieknę już wcale. Postanowiłem skorzystać więc z każdej pomyślnej chwili. Koło godziny jedenastej w nocy zmienili wartę przy moim progu. Żołnierz wszedł do mojej izby, ale widząc mię leżącego w kącie i sądząc że śpię — wyszedł i przymknął drzwi: przeczekałem jeszcze godzinę, potem podniosłem się cichutko i podszedłem do małego otworu w okiennicy; noc była cicha, a niezbyt ciemna; ogromne ognisko paliło się o kilka kroków od mojej chaty i oświecało postać odwachowej placówki, przechadzającej się z wolna po podwórzu. Podszedłszy do drzwi, ujrzałem przez szparę moją wartę siedzącą w kącie i drzemiącą. Karabin jego stał obok, oparty o ścianę. Popróbowiałem posunąć się dalej: drzwi nie skrzyknęły, nie było chwili do stracenia, choć serce tak biło, iż lękałem się, żeby stuk jego nie obudził warty. Wziąłem cichutko karabin, przybliżyłem się do drzwi, które prowadziły na dwór, gdzie chodził żołnierz odwachowy i o pięć kroków wystrzeliłem do niego. Padł, ani jęknął. Na ten strzał Moskał śpiący w kącie zerwał się, ale także nie zdążył wyprostować się, kiedy miał cały mój bagnet w piersiach. Zajączkał i usunął się cicho na ziemię.



Wyskoczyłem na dwór i dalejże w nogi, ale jakkolwiek stało się to wszystko w jednym mgnieniu oka, strzał mój jednak zbudził innych i nie zrobiłem tysiąc kroków, kiedy już usłyszałem ruch w całym oddziale. Biegłem jednak ciągle; serce coraz to mocniej biło, w głowie kręcić się zaczęło, czułem, że upadnę. Byłem nad brzegiem Wilii. Wskoczyłem do rzeki, żeby się odświeżyć. Rzeczywiście woda zimna obudziła we mnie nowe siły, chciałem dalej iść, ale spotrzyłem kilku jeźdźców moskiewskich i wlałem znowu do wody. Ogromny krzak łożyny rozrastał się w samej wodzie, zanurzyłem się więc po samą szyję, głowę ukrywając w krzaku i tak siedziałem myśląc, że po godzinie zaprzestaną szukać i będę mógł wyleźć. Oszukałem się jednak, bo nie tylko noc, ale i cały dzień następny moskale kręcili się ciągle koło brzegu rzeki tak, że musiałem często nurzać się zupełnie, żeby nie być odkrytym. Biorąc tę dwudziestoczwierogodzinną kąpiel, która mi przyjemności nie robiła, myślałem sobie, czy warto to życie, żeby dla niego tyle się męczyć? Ale chciało się postawić na swoim. Ledwo wieczorem zobaczyłem, jak moskale przeprawili się przez rzekę i poszli zapewne do Kowna. Nie wylażiłem jednak, aż zrobiło się zupełnie ciemno. Miałem na sobie prostą siermięgę chłopską, a w pasku pod koszulą stopięćdziesiąt rubli i zegarek złoty. Siermięgę zrzuciłem, bo była nader ciężka od wody, piasku i błota i w jednej mokrej bieliźnie, zabrawszy karabin owej zakłutej warty, poszedłem brzegiem Wilii. Doszedłem wkrótce do jakiejś wioszczyzny, wlałem do karczmy, zbudziłem arendarza chrześcijanina i dałem mu do wyboru, albo wziąć 50 rubli za czystą bieliznę, odzienie i kawał chleba, albo mój bagnet w piersi. Wybór padł na 50 rubli. Nie tylko dostałem to, com żądał, ale jeszcze mój gospodarz koniecznie nalegał, abym się położył w jego łóżku i odpoczął. Aczkolwiek można sobie wystawić, jak byłem zmęczony, nie posunąłem jednak wiary w patriotyczne uczucia pana arendarza do takiego stopnia, żebym mu zupełnie zaufał; odziałem się więc i gryząc mój kawałek chleba, powlokłem się dalej. Zaczęło świtać, kiedy przybyłem nad Niemen, koło Kowna; przeprawiłem się małą rybacką łódeczką na drugą stronę, wlałem na wysoki zarośnięty brzeg, położyłem się w lasku i zasnąłem. Dobrze

już było po południu, kiedym się obudził. Głowa mi pękała od bólu, febra trzęsła ciałem, gorączka paliła.

Księga pam. 40-lecia, str. 413.

4. Z listów więziennych Rafała Krajewskiego.

(Do sióstr)

Moje drogie! Stawiacie mi najniebezpieczniejszą pokusę — bo pokusę miłości waszej; mnie, com się już rozstał z myślą o słodkim pożyciu w rodzinie, obiecujecie otworzyć na nowo, gdziekolwiek będę, zmniejszony tylko, ale podobny jak dawniej dom rodzinny, w którymbym znów, jak dawniej, miał i dawał pokój i pociechę. Zapewniamie mnie, że każda z was ma dość odwagi i siły do zniesienia ciężaru tego życia, jakie mnie czeka. Wierzę wam, że w kochających sercach waszych czujecie źródło tej odwagi i siły; ale zapewne nie zastanowiliście się nad tem tak dokładnie, jak ja to mogłem zrobić, czując na sobie konieczność takiej przyszłości. Przedstawię wam więc, jak ja te sprawy widzę. Tracąc wolność materialną, duch człowieka nie może znieść gwałtu, odrywa się od tego wszystkiego, co może być więzami ściśnięte i stwarza sobie osobne, niezależne życie, gdzie się czuje wolnym i szczęśliwym. Tak pojmuje męczenników i apostołów, którzy dla tego doszli do tak wielkiego rozpromienienia ducha, że uczynili go wolnym od wszelkich wpływów, zapomocą których mogłaby być ściśniona ich duchowa wolność. Położenie, które mnie czeka, lubo nie wyrównywa temu uciskowi, w jakim duchy pierwszych męczenników czyniły swój rozbrat z ziemskim życiem, podobnem jest jednak o tyle, że mi pozostaje albo iść w niewolę z ciałem i duszą, albo rozerwać równowagę i duchowi wolność zabezpieczyć. Wybieram to drugie. Dla zapewnienia sobie takiej wolności gotów jestem oddać wszystko, co mogłoby mi być przeszkodą, boć to jedyny warunek, pod którym życie moje dalsze mieć może jakąkolwiek wartość. W takim położeniu cokolwiekbym postawił obok siebie ze świata realnego, będzie jednym więcej łańcuchem, krępującym wolność moją. Którakolwiek z was pojechałaby ze mną, czy za mną,

byłaby najboleśniejszymi więzami dla mnie, każdy krok, każdą niemal myśl musiałbym mierzyć miarą tego, jak one się odbijają na towarzysze mojej; oprócz niewoli, byłbym ciągle na łasce i niełasce tych, co dla lada jakiego powodu mogliby szukać drobnej zemsty za mnie na siostrze. Nie szukając nawet złej woli ze strony stróżów moich, ja sam jak byłbym ciągle kuszonym do ustępstw, poniżeń, ażeby za cenę ich wytargować cośkolwiek dla towarzyski mojej. Wiecie, że cokolwiek człowiek w życie swoje wplecie, czy to jako pracę, czy to jako uczucie, staje się dla niego obowiązkiem do spełnienia.

Wziąć jedną z was — jest to dla mnie wziąć obowiązek, ja w niewoli nie powinien mieć żadnych obowiązków materialnych, prócz tych, które na mnie przemoc nałoży — inaczej tracę resztę wolności.

Polska w walce o niepodległość, t. I. str. 90.

5. Wiersz Krajewskiego.

„I odpuść nam naszą winę,
Jak my winowajcom“.
Bracia! my w zbożną godzinę
Odpuśćmy słabym i zdrajcom...
Z upadłej sprawy — ojczyźnie
Zostawny posiew przyszłości,
Gdy krwi nie stało, w spuściznie
Oddajmy na siew swe kości...
Krew nasza lała się marno,
Bóg nie wsparł walki oręża;
Więc nowe rzucajmy ziarno,
Tę miłość, co świat zwycięża...
Siew dla przyszłości rozpleni,
Kto szubienicę w Krzyż zmieni.
Wołajmy: Odpuść im Panie,
W szczerej miłości i wierze,
A sprawa zmartwychpowstanie
I nowi wstaną rycerze...

Zbierajmy zacne imiona,
Upadłym podajmy rękę:
Złe wtedy na zawsze skona,
Gdy padnie na Bożą mękę.

(str. 205 u *Dubieckiego*: Traugutt.)



65757

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Strona
Ostatnia strofa	1
I. Chwile przed powstaniem. — Przygotowanie.	
1. Nastrój powstańczy w latach 1858—1861	3
2. Pieśń polska i naród w żałobie	4
3. Dzień 27. luty 1861. roku	6
4. Ostatnie chwile i pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego	12
5. Dzień 15. października 1861 r. w kościele św. Jana	15
6. Obchód rocznicy Unii w Kownie	21
7. Sołowijówka	24
8. Pogląd na powstanie	26
9. Organizacya. Komitet centralny	29
II. Kierownicy i bohaterowie powstania.	
1. Romuald Traugutt i jego dyktatura podczas powstania	34
2. Ludwik Narbutt	45
3. Śmierć Narbutta	49
4. Dołęga-Sierakowski	50
5. Aleksander Chmielewski	53
6. Książd Mackiewicz	54
7. Żuawi śmierci i dowódca Rothenbrun	55
8. Przybycie do oddziału Rothenbrun'a	56
9. Marsz Żuawów pod Chrobrzem	58
10. Wyprawa Lelewela	61
11. Obóz Rembajły (Kalit)	64
12. Formowanie oddziału Komorowskiego w Galicyi. Zwierkowski i Kahane	65
13. Czajkowski i jego Kozacy	66
14. Zgon Mieczysława Romanowskiego	68
15. Henryka Pustowójtówna	71
16. Leon Frankowski	71
17. Józef Kwiatkowski, mieszczanin	73
18. Biały Janek	74

III. Życie obozowe. — Potyczki.

	Strona
1. Wyprawa do obozu	79
2. Pomoc udzielona koledze	81
3. Wyjazd do powstania	82
4. Wiśniewski w obozie	83
5. Obóz w Goszczy	85
6. Pierwsza wedeta	86
7. Langiewicz w Górach Świętokrzyskich	86
8. Po Miechowie	89
9. Ogłoszenie dyktatury Langiewicza	93
10. Pod Kobylanką	93
11. Ochotnicy na straceniów	95
12. Epizod z Lubelskiego. Popas w Ciotuszy	99
13. Napad na Domaczew	103
14. Walki na wzgórzu koło Sawina	104
15. W puszczy Białowieskiej	106
16. Powstanie w Mińskiem. Wyprawa Horolecka	108
17. Ruch w Poznańskiem	111
18. Zmęczenie wodza	112

IV. Najmłodszy.

1. Poruszenie w szkole	114
2. Próba żołnierza	115
3. Pierwsza pikiet	117
4. Zwycięstwo „ptaszników“ w potyczce pod obozowem	118
5. Ptaszniki	121
6. Szesnastoletni strzelec Langiewicza	125

V. Udział ludu.

1. Objawy życzliwości wśród ludu	129
2. Chłopi w Augustowskim	131
3. Kwesta	132

VI. Udział kobiet.

1. Komitet kobiet	135
-----------------------------	-----

VII. Ostatnie chwile powstania.

1. Ostatni z dowódców powstańczych: ks. Stanisław Brzoska	140
2. Ostatni oddział	142
3. Ucieczka z więzienia	143
4. Z listów więziennych Rafała Krajewskiego	146
5. Wiersz Krajewskiego	147

SPIS RYCIN.

1. Artur Grottger: Słuchajcie dzieci!	(na okładce)
2. Artur Grottger: Pierwsza ofiara	po str. 8
3. Artur Grottger: Chłop polski i szlachta	32
4. Artur Grottger: Kucie kos	48
5. Artur Grottger: Śmierć Czachowskiego	64
6. Artur Grottger: Pożar dworu pod Miechowem	88
7. Artur Grottger: Walka	104
8. Artur Grottger: Dwa pokolenia	120
9. Artur Grottger: Pojednanie	144

UWAGA: Ryciny odbito z klisz, wykonanych do dzieła Dra Jana Bożo-
Antoniewicza p. t. Grottger, wydawnictwo Tow. nauczycieli
szkół wyższych „Nauka i Sztuka”, t. XI.